

# INFORMACJA



11 marca br. Daniel Olbrychski został doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego

**W numerze m.in.:**

**Borkowski, Buchowski, Czaja, Gaj, Gajda, Goczół, Hamada, Kaczorowski, Kozera, Kożuch, Kropiowski, Kurzak, Nicieja, Obrączka, Piecuch, Pobóg-Lenartowicz, Sadowski, Suwiński, Trela-Mazur, Wierciński, Woźny**

# Spis treści

Kronika uniwersytecka . . . . .	3	<i>Kult Siebie</i> (felieton Bartłomieja Kozery) . . . . .	62
<i>Honory – za sztukę aktorski, odwagę i honor</i> (relacja z uroczystości przyznania Danielowi Olbrychskiemu tytułu doktora h.c. UO) . . . . .	10	<i>Sofa filozofa: Zenon z Elei i odkurzacz</i> (felieton Joachima Piecucha) . . . . .	63
Listy gratulacyjne: Adama Michnika, Andrzeja Seweryna, Andrzeja Wajdy i minister Barbary Kudryckiej. . . . .	14	<i>Za szybkie pisanie – 26</i> (Adam Wierciński) . . . . .	65
<i>Fetysz Wajdy, ulubieniec Hanuszkiewicza</i> (opinia prof. Janusza Gajosa o dorobku artystycznym Daniela Olbrychskiego) . . . . .	16	<i>Łowiłem ryby w oceanie</i> (Andrzej Hamada) . . . . .	69
<i>Zło nazywa złem</i> (opinia prof. Jana Miodka o dorobku artystycznym Daniela Olbrychskiego) . . . . .	18	<i>Spotkanie</i> (wiersz Dobromira Kozucha) . . . . .	73
<i>Nie tylko Kmicic ma jego twarz</i> (laudacja prof. Stanisława S. Nicieji, z okazji nadania Danielowi Olbrychskiemu tytułu dra h.c. Uniwersytetu Opolskiego) . . . . .	20	<i>Friedlaenderowie</i> (Maciej Borkowski o najbogatszej rodzinie żydowskiej przedwojennego Opola) . . . . .	74
<i>Są inne czasy, inna głupota, inne podłości</i> (wystąpienie doktora h.c. UO Daniela Olbrychskiego) . . . . .	27	<i>Tajemnice „Tajemnicy Westerplatte”</i> (Aleksander Woźny) . . . . .	79
<i>Niepokój o Uniwersytet</i> (Stanisław Gajda) . . . . .	30	Cytaty z importu: <i>Negowanie polskości Lwowa to droga donikąd</i> . . . . .	84
<i>Słownik twarzy i dni</i> (Bartosz Suwiński o poezji Tomasza Różyckiego) . . . . .	33	<i>Lekarz zadżumionych</i> (Włodzimierz Kaczorowski o Carlu I. Lorinserze, honorowym obywatelu Opola) . . . . .	86
Wiersze Jana Goczoła . . . . .	36	<i>Docent Stefan Smak – w stulecie urodzin</i> (Piotr Obrączka) . . . . .	92
<i>Czas rodzenia i czas umierania</i> (Łukasz Kropiowski o malarstwie Krzysztofa Buckiego, w 30. rocznicę śmierci artysty) . . . . .	37	Odeszli: prof. Maria Śmiełowska, prof. Marian Szuszkiewicz, dr Leonard Owczarek . . . . .	94
Informacja o kolekcji prac Krzysztofa Buckiego w zbiorach Muzeum Śląska Opolskiego . . . . .	40	Nasi absolwenci: <i>Szli żołnierze a-leją</i> (wspomnienia Jerzego Pośpiecha) . . . . .	98
<i>Akwarela</i> (Krzysztof Bucki na portrecie Jana Goczoła) . . . . .	42	Listy, polemiki . . . . .	99
<i>Florenckie echa powstania styczniowego</i> (Anna Pobóg-Lenartowicz) . . . . .	46	<i>Zupełnie inne przedszkole</i> (Dominika Kałuzińska) . . . . .	101
<i>Martwy język, a nie wiednie</i> (Beata Gaj) . . . . .	49	<i>Politycy przy tablicy</i> (Agnieszka Wojcieszek, Kinga Markowska) . . . . .	104
<i>Wiosenne zaloty w mikrokosmosie</i> (Joanna Czaja) . . . . .	51	<i>Życie i paragraf</i> (Justyna Mazurek o symposium <i>Świadomość i kultura prawna w społeczeństwie obywatelskim</i> ) . . . . .	105
Autorzy „Indeksu” w parodiach Mariana Buchowskiego . . . . .	55	<i>II Studencki Dzień Kobiet</i> (Agnieszka Wojcieszek) . . . . .	106
<i>Co siedzi w szmince?</i> (Barbara Kurzak o składzie chemicznym kosmetyków) . . . . .	59	<i>O obrotach kół naukowych</i> (Magdalena Kurowska). <i>Portret „chorych na Polskę”</i> (Elżbieta Treła-Mazur o książce <i>Polska w Nowym Jorku</i> Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak) . . . . .	107
		<i>Opolskie strony w krakowskim „Słowniku”</i> (Piotr Sadowski o książce <i>Słownik historii i tradycji Uniwersytetu Jagiellońskiego</i> prof. Janusza Sondla) . . . . .	109
		Noty o autorach . . . . .	112
		Nowości wydawnicze . . . . .	113

## Zdjęcie na okładce: Tadeusz Parcej



### Zima w kwietniu

*Cztery pory roku*,  
rzeźby Henryka  
Hartmanna na  
dziedzińcu Collegium  
Maius UO,  
5 kwietnia br.  
(fot. Jerzy Mokrzycki)

## Indeks. Pismo UO

Wydawca: Uniwersytet Opolski. Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 18a  
tel. 77 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jerzy Mokrzycki, Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej. Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja  
Skład komputerowy: Henryk Kobiela, Druk: Quick Druk s.c. Dariusz Mroczkowski i Marek Mroczkowski

Zastrzega się prawo do adiustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówków, przypisów itp.,  
a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania.

# Kronika uniwersytecka

■ **6 lutego.** W Sali Plafonowej Collegium Maius UO odbyło się uroczyste przekazanie Uniwersytetowi Opolskiemu pawilonu paleontologicznego i domku dla studentów w Krasiejowie przez Stowarzyszenie Dinopark. W imieniu Uniwersytetu Opolskiego akt przekazania podpisał rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, Urząd Marszałkowski reprezentowali: marszałek województwa opolskiego Józef Sebesta oraz wicemarszałek Tomasz Kostuś.

■ **7 lutego.** Gościem rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji i prorektor dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, prof. UO, był minister sprawiedliwości Jarosław Gowin, który podczas wizyty w Opolu odbierał tytuł członka honorowego Stowarzyszenia Horyzonty.

■ **12 lutego.** *Filozoficzne podstawy składni* – wykład pod tym tytułem wygłosił w Collegium Civitas UO dr hab. Mieszko Tałasiewicz (Uniwersytet Warszawski). Organizatorami spotkania byli: Instytut Filozofii UO, Oddział Opolski Polskiego Towarzystwa Filozoficznego oraz Grupa Logiki, Języka i Informatyki.

• Prorektorzy – dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO i prof. dr hab. Marek Masnyk złożyli wizytę w Starostwie Powiatowym w Opolu. Rozmowa dotyczyła możliwości poszerzenia współpracy z opolskimi szkołami ponadpodstawowymi, m.in. objęcia niektórych z nich patronatem naszej uczelni.

■ **14 lutego.** Gośćmi rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji i prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, prof. UO, byli poseł Ryszard Galla i Norbert Rasch – przewodniczący Zarządu Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim. Podczas spotkania podpisano umowę o współpracy Uniwersytetu Opolskiego

z TSKN na Śląsku Opolskim, dotyczącą m.in. promowania w państwach Partnerstwa Wschodniego polskiego modelu współistnienia mniejszości niemieckiej w regionie i państwie, a także możliwości utworzenia w Opolu centrum edukacji dwujęzycznej – jednostki koordynującej naukę języków polskiego i niemieckiego od przedszkoli po szkoły ponadgimnazjalne.

■ **17–18 lutego.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wziął udział w posiedzeniu Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, która obradowała w Toruniu.

■ **18 lutego.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział, na zaproszenie rektora Politechniki Opolskiej prof. dr hab. Marka Tukiendorfa, w spotkaniu z Adamem Zdziebło – wiceministrem rozwoju regionalnego, który wygłosił wykład pt. *Nowa perspektywa finansowania na lata 2014–2020*.

• Mgr Bożena Kaczmarczyk, słuchaczka Studiów Doktoranckich

Wydziału Filologicznego, autorka książki pt. *Tradycyjne oraz współczesne zabawy i gry dziecięce* (Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego) była gościem studentów z Koła Naukowego Folklorystów, działającego przy Instytucie Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

■ **19 lutego.** Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, spotkała się w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego z wicemarszałek Barbarą Kamińską (rozmowa dotyczyła możliwości korzystania z projektów unijnych związanych z wielokulturowością regionu), przyjęła też delegację Rady Miasta Kielce, której towarzyszył przewodniczący Rady Miasta Opola Roman Ciasnocha – podczas spotkania wymieniono doświadczenia we współpracy z państwami Partnerstwa Wschodniego, rozmawiano też o podjęciu wspólnych działań pogłębiających tę współpracę.

■ **20 lutego.** Prezydent Zabrza



6 II 2013. Uniwersytet Opolski stał się właścicielem pawilonu paleontologicznego i domku dla studentów w Krasiejowie. Na zdjęciu (od lewej): rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja i marszałek woj. opolskiego Józef Sebesta



7 II 2013. Minister Jarosław Gowin był gościem władz rektorskich. Na zdjęciu – z prorektorem prof. Wiesławą Piątkowską-Stepaniak i rektorem prof. Stanisławem S. Nicieją

Małgorzata Mańka-Szulik była gościem rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji i prorektora ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, prof. UO. Rozmawiano o możliwościach przyjęcia na staże – przez firmy z Zabrze – studentów naszej uczelni oraz o możliwościach ufundowania przez te firmy stypendiów dla studentów z krajów Partnerstwa Wschodniego.

- Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w kolejnym spotkaniu Grupy Roboczej ds. aktualizacji Regionalnej Strategii Innowacji Województwa Opolskiego. Spotkanie poświęcone było dyskusji na temat obecnych prac Zespołu Wykonawczego ds. aktualizacji RSI WO.

- Podczas wieczoru otwartego w Obserwatorium Astronomicznym UO można było obserwować Jowisza oraz Księżyc, a także wysłuchać prelekcji *Skala czasu w astronomii a skala czasu w archeologii*.

- **21 lutego.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk wziął udział w pierwszej na naszej uczelni Gali Młode-

go Naukowca, która odbyła się w Studenckim Centrum Kultury UO, a podczas której nagrodzono najaktywniejsze koła naukowe. Więcej na str. 106.

- W Złotej Serii Wykładów Otwartych UO wykład pt. *Nasza tożsamość i nasze emigracje* wygłosił w Auli Błękitnej Collegium Maius UO prof. dr Henryk Olesiak –

psycholog, badacz emigracji, w latach 1972–1975 kierownik Zakładu Psychologii w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Uniwersytetu Łódzkiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego, a po wyjeździe na emigrację organizator pierwszej Poradni Psychologicznej dla Polaków w Niemczech, pracownik naukowy Kliniki Psychiatrycznej w Düsseldorfie.

- **22 lutego.** Niemieccy biznesmeni, którym towarzyszyła kanclerz UO Ewa Rurynkiewicz oraz poseł Ryszard Galla, byli gośćmi rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji. Tematem spotkania były możliwości zagospodarowania pałacu w Dąbrowie Niemodlińskiej oraz budowy stołówki w miasteczku uniwersyteckim.

- **25 lutego.** Poseł Janusz Palikot oraz dr Krzysztof Iszkowski ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie byli gośćmi opolskich studentów – na zaproszenie Studenckiego Koła Naukowego Politologów wzięli udział w debacie w Collegium Civitas UO pt. *Dlaczego do euro?*, z cyklu *Spotkania z polityką*. Więcej na str. 101.

- **25 – 27 lutego.** Polska Komisja Akredytacyjna wizytowała Wydział Matematyki, Fizyki i Informatyki UO. W pierwszym dniu



14 II 2013. Podpisanie umowy o współpracy Uniwersytetu Opolskiego z Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Niemców na Śląsku Opolskim. Na zdjęciu (od lewej): rektor prof. Stanisław S. Nicieja, prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, Ryszard Galla, Norbert Rasch

wizyty członkowie komisji spotkali się z władzami Uniwersytetu Opolskiego: rektorem prof. dr. hab. Stanisławem S. Nicieją i prorektorem prof. dr. hab. Markiem Masnykiem.

■ **26 lutego.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr. hab. Marek Masnyk wziął udział w posiedzeniu Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Opolu, które odbyło się w Sali Herbowej urzędu wojewódzkiego.

• Rektor UO prof. dr. hab. Stanisław S. Nicieją wygłosił w siedzibie Towarzystwa Miłośników Lwowa w Gliwicach wykład dotyczący dawnych Kresów Wschodnich.

■ **27 lutego.** *Dziennikarstwo telewizyjne od kuchni* – tak brzmiał tytuł spotkania, podczas którego Tomasz Sekielski, dziennikarz telewizyjny, przybliżył studentom Instytutu Politologii UO tajniki tego zawodu.

■ **28 lutego.** Koło Naukowe Marketingu Politycznego (Instytut Politologii UO) to organizator spotka-



17 II 2013. Posiedzenie KRUP w Toruniu

nia z b. premierem RP Józefem Oleksym, który w sali Collegium Civitas UO wygłosił wykład pt. *Europa wobec wyzwań globalnych*. Więcej na str. 101.

• Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr. hab. Marek Masnyk spotkał się z wicemarszałką woj. opolskiego Barbarą Kamiń-

ską – podczas spotkania kontynuowano wcześniejszą rozmowę dotyczącą możliwości wykorzystania przez uczelnię funduszy unijnych.

• Sympozjum *Nowe technologie a rodzina* obradowało na Wydziale Teologicznym UO – organizatorami spotkania byli: Komitet Główny Ogólnopolskiej Olimpiady Wiedzy o



20 II 2013. Gościem władz rektorskich była Małgorzata Mańka-Szulik, prezydent Zabrze (na zdjęciu – na pierwszym planie). Na zdjęciu także (od lewej): dr Ewa Ganowicz, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieją i prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak



21 II 2013. Gościem Uniwersytetu Opolskiego był prof. Henryk Olesiak, który w Złotej Serii Wykładów Otwartych UO wygłosił wykład pt. *Nasza tożsamość i nasze emigracje*. Na zdjęciu – prof. Henryk Olesiak z rektorem UO prof. Stanisławem S. Nicieją

Rodzinie, Koło Naukowe Studentów Nauk o Rodzinie, Instytut Nauk o Rodzinie i Wydział Teologiczny UO.

■ **2 marca.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieją był gościem spotkania w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie.

■ W auli opolskiego Muzeum Diecezjalnego, w cyklu Wielkopostnych Wykładów Otwartych, można było posłuchać dyskusji pt. *Czy i kiedy jedno w wierze?* z udziałem ks. dr. Artura Aleksiejuka (teolog pra-

wosławny), ks. dr. Ireneusza Lukasa (teolog ewangelicki) i ks. prof. dr. hab. Zygryda Glaesera (teolog katolicki).

■ **3 marca.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieją był gościem II Salonu Literackiego w Londynie. W spotkaniu uczestniczyli m.in. członkowie Koła Lwowian, Miłośników Stanisławowa, Lwowa i okolic, Koła Polonii z Indii 1942–1948 oraz członkowie Związku Pisarzy Polskich na Ob-

czyźnie.

■ **4 marca.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk otworzył ogólnopolską konferencję naukową pt. *Współczesne wyzwania i zagrożenia dla sytuacji demograficznej, społecznej i gospodarczej Śląska ze szczególnym uwzględnieniem aglomeracji*, którą zorganizował Zakład Studiów Strategicznych i Polityki Społeczno-Ekonomicznej Wydziału Ekonomicznego UO we współpracy z Urzędem Statystycznym w Opolu, Wojewódzkim Urzędem Pracy oraz Regionalnym Ośrodkiem Polityki Społecznej w Opolu. Prorektor prof. dr hab. Janusz Słodczyk wygłosił także referat nt. warunków i możliwości rozwoju aglomeracji opolskiej.

■ **6 marca.** Gośćmi prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, prof. UO, byli przedstawiciele Akademii Sztuk Pięknych i Architektury z Kijowa, którym towarzyszyli: dyrektor Instytutu Sztuki UO dr hab. Łucja Bagińska, prof. UO i prof. dr hab. Edward Syty. Rozmawiano o możliwości nawiązania współpracy między uczelnią w Ki-



25-27 II 2013. Polska Komisja Akredytacyjna wizytowała Wydział Matematyki, Fizyki i Informatyki UO



14 III 2013. Gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych był prof. Andrzej Rychard. Na zdjęciu (od lewej): prof. Marek Szczepański, prof. Andrzej Rychard, prof. Krzysztof Frysztacki, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, prof. Anna Śliz

jowie a Instytutem Sztuki Uniwersytetu Opolskiego.

■ **10 marca.** W przeddzień święta Uniwersytetu Opolskiego w kościele seminaryjnym pw. św. Jądwigi odprawiona została msza św. w intencji środowiska akademickiego.

■ **11 marca.** W auli Wydziału Teologicznego UO, w dniu święta Uniwersytetu Opolskiego, Daniel Olbrychski został kolejnym doktorem *honoris causa* naszej uczelni. Więcej na str. 10.

■ **14 marca.** *Scena polityczna a scena społeczna w Polsce* – to tytuł wykładu, który w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych wygłosił w Auli Błękitnej Collegium Maius UO prof. dr hab. Andrzej Rychard, socjolog, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, profesor Wydziału Socjologii Uniwersytetu Europy Wschodniej. Gościowi towarzyszył rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, dr hab. Anna Śliz, prof. UO, prof. dr hab. Krzysztof Frysztacki i prof. dr hab. Marek Szczepański.

• W Studenckim Centrum Kultury UO rozpoczęła się Zimowa Giełda Piosenki, poświęcona poezji Czesława Miłosza – zespoły, które znalazły się w finałowej dziesiątce miały za zadanie zaprezentować m.in. utwór skomponowany do jednego z wierszy tego po-

ety. Gwiazdą tegorocznej Giełdy był Czesław Mozil.

• Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wygłosił – w siedzibie Małopolskiego Towarzystwa Genealogicznego w Krakowie – wykład dotyczący Kresów Wschodnich.

■ **15 marca.** Prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska Longin Komołowski, posłanka Janina Okragły oraz wicedyrektor Departamentu Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Woj. Opolskiego Magdalena Matyjaszek – to goście rektora prof.

dr. hab. Stanisława S. Nicieji oraz prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, prof. UO. Longin Komołowski spotkał się także ze studującą na naszej uczelni młodzieżą z Ukrainy, która zawiązała wolontariat.

• Gościem rektora UO prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji była burmistrz Prószkowa Róża Malik – rozmowa dotyczyła zagospodarowania przez Uniwersytet Opolski prószkowskiej pomologii. W tym dniu rektor odwiedził także, w towarzystwie Doroty Michniewicz,



15 III 2013. Gościem władz rektorskich był Longin Komołowski, prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska (na zdjęciu z prawej)



18 III 2013. Profesorowie: Matthias Roedle i Volker Schulz z Mannheim byli gośćmi prorektora ds. kształcenia i studentów prof. Marka Masnyka (na zdjęciu z prawej)

kierownik Wydziału Kultury Urzędu Miasta w Opolu, odlewnię Wiktora Halupczoka, w której powstaje pomnik Jonasza Kofty (według projektu prof. Mariana Molendy).

■ **18 marca.** *Rozwiązania technologiczne oraz komercjalizacja i transfer wiedzy z zakresu odnawialnych źródeł energii (OZE) i gospodarki niskoemisyjnej (GNE)* – to temat konferencji w Collegium Civitas UO, współorganizowanej przez Uniwersytet Opolski i Akademicki Inkubator Przedsiębiorczości w ramach projektu „Nauka dla przemysłu – przemysł z nauką 2”, w której wziął udział prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk. Prorektor spotkał się także, w Sali Plafonowej, z uczestniczącymi w konferencji gośćmi z Niemiec: prof. Matthiasem Roedlem (Hochschule Mannheim) i prof. Volkerem Schulzem (Dualna Szkoła Wyższa w Mannheim), którym towarzyszył tłumacz Leonard Malcharczyk.

■ **19 marca.** Gościem rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji oraz prorektora ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, prof. UO, był ambasador Republiki Mołdawii Iurie Bodrug z małżonką Walentyną. Rozmowy dotyczyły możliwości podejmowania studiów w Opolu przez młodzież z Mołdawii.

• Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w spotkaniu Kolegium Rektorów Uczelni

Wrocławia, Opola i Zielonej Góry, które obradowało na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu.

• Międzywydziałowe Centrum Kształcenia i Doskonalenia Pedagogicznego UO to organizator spotkania w Studenckim Centrum Kultury UO, poświęconego terapii śmiechem, m.in. w dzielnicach nędzy w Amazonii Peruwiańskiej (w ramach opolskiej edycji kampanii „Pola nadziei”).

■ **20 marca.** Prorektor ds. nauki i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk spotkał się z przedstawi-

cielami Urzędu Miasta, Opolskiego Centrum Rozwoju Gospodarki i Politechniki Opolskiej – rozmawiano o konieczności podjęcia współpracy między tymi jednostkami i o planowanym na 11 kwietnia podpisaniu stosownej umowy.

■ **21 marca.** Obradował Senat UO.

■ **22 marca.** Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, spotkała się w opolskim Ratuszu z prezydentem miasta Ryszardem Zembaczyńskim. Rozmowa dotyczyła koncepcji dalszego zagospodarowania wzgórza uniwersyteckiego.

■ **25 – 26 marca.** Prof. Jean-Christophe Pellat z Uniwersytetu w Strasburgu wygłosił, na zaproszenie Katedry Kultury i Języka Francuskiego UO, wykłady dla studentów z zakresu lingwistyki i ortografii francuskiej.

■ **26 marca.** Spotkanie z rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Oświęcimiu prof. dr. hab. Witoldem Stankowskim (rozmowa o nawiązaniu współpracy między uczelniami), wykład dla studentów o Kresach Wschodnich oraz wykład dla studentów Uni-



19 III 2013. Na Uniwersytecie Opolskim gościł ambasador Mołdawii Iurie Bodrug z małżonką Walentyną (na zdjęciu w pierwszym rzędzie). W drugim rzędzie (od lewej): prorektor UO prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, rektor prof. Stanisław S. Nicieja i prezes opolskiego oddziału Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód Eugeniusz Brudkiewicz



wersytetu III Wieku w Domu Kultury w Oświęcimiu – to program pobytu w tym mieście rektora UO prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji.

• Projekcja *Wesela* w reżyserii Andrzeja Wajdy była jedną z atrakcji otwartego spotkania Koła Naukowego Literatury i Kultury Modernizmu.

■ **27 marca.** Adam Karcher z Opola i Henryk Huzar, przewodniczący Towarzystwa Brodzian z Legnicy, byli gośćmi rektora UO prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji. Rozmawiano o planach przekazania Uniwersytetowi Opolskiemu pomnika Józefa Korzeniowskiego, urodzonego w Brodach polskiego poety, powieściopisarza i dramaturga (m.in. dramat *Karpaccy górale*, z którego pochodzi znana pieśń *Czerwony pas*).

■ **5 kwietnia.** W ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych ze społecznością uniwersytecką spotkał się dr hab. Andrzej Kunert, historyk, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (tytuł wykładu: *Kamienie na szaniec J. Słowackiego i Kamienie na szaniec A. Kamińskiego*), który poprowadził także popołudniowe spotkanie w Muzeum Diecezjalnym, promujące najnowszą książkę rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji *Kresowa Atlantyda, tom II*.

■ **10 kwietnia.** W Bibliotece Śląskiej w Katowicach odbył się benefis rektora UO prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji, zorganizowany przez dyrektora biblioteki prof. dr. hab. Jana Malickiego. Beneficjentowi był także dedykowany koncert symfoniczny.

■ **11 kwietnia.** *Niemiec, Polak, czyli kto? Ojczyzna, czyli gdzie?* – to pytania skierowane do młodych ludzi w ramach ogólnopolskiego konkursu dziennikarskiego zorganizowanego już po raz drugi przez Związek Młodzieży Mniejszości Niemieckiej we współpracy z rozgłośnią Deutsche Welle oraz Instytutem Stosunków Kulturalnych z Zagranicą. Finał II Polsko-Niemieckiego Konkursu Dziennikarskiego, na który wpłynęło ponad 90 prac, odbył się w Auli Błękit-



21 III 2013. Gośćmi senatorów i władz rektorskich byli pracownicy naukowcy Uniwersytetu Opolskiego, którzy uzyskali niedawno tytuły profesora oraz obronili prace habilitacyjne. Na zdjęciu (od lewej): dr hab. Marzena Makuchowska (Inst. Polonistyki i Kulturoznawstwa), ks. prof. dr hab. Józef Bolesław Mikołajec (Wydz. Teologiczny), prof. dr hab. Ewa Malinowska (Inst. Polonistyki i Kulturoznawstwa), prof. dr hab. Eleonora Sapia-Drewniak (Inst. Nauk Pedagogicznych). Tytuł doktora habilitowanego uzyskała także nieobecna na zdjęciu dr hab. Ilona Biernacka-Ligęza (Inst. Politologii)

nej UO. Gościem specjalnym uroczystości był Steffen Möller, znany i lubiany niemiecki aktor i kabareciarz.

• Gośćmi rektora UO prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji byli: Włodzimierz Czarzasty, szef Stowarzyszenia Ordynacka oraz b. wiceminister spraw zagranicznych Sergiusz Najar.

\*\*\*

**Prof. dr hab. Stanisław Leszek Stadniczeńko** został przewodniczącym Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Rodzinnego działającej przy Rzeczniku Praw Dziecka.

\*\*\*

**Sabina Ledwig**, studentka pedagogiki terapeutycznej na Uniwersytecie Opolskim, wieloletnia wolontariuszka z Dobrzenu Wielkiego, która za swoją postawę społeczną i działalność humanitarną została nagrodzona Złotą Spinką „NTO” oraz Nagrodą „Żar Serca” Akademickiego Duszpasterstwa Xaverianum, wygrała ogólnopolski konkurs „Barwy Wolontariatu”.

W finale tego konkursu startowało dziesięć osób. Sabina Led-

wig, przewodnicząca grupy wolontariuszy „Iskierka Nadziei” w Dobrzenu Wielkim (i radna gminy tej kadencji) została uznana najlepszym wolontariuszem 2012 roku.

\*\*\*

Koło Naukowe Hydrologów Uniwersytetu Opolskiego realizuje (w ramach „Światowego Dnia Wody 2013”) na terenie miasta Opola projekt pn. *Edukacja hydrologiczna dzieci i młodzieży*, nad którym merytorycznie czuwa opiekun koła **dr hab. inż. Mirosław Wiatkowski**. Celem przedsięwzięcia jest zainteresowanie tematyką wody uczniów opolskich szkół podstawowych i ponadgimnazjalnych oraz promocja Uniwersytetu Opolskiego. Członkowie Koła Naukowego Hydrologów prowadzą wykłady i warsztaty z zakresu hydrologii i ograniczania zjawisk ekstremalnych (powodzi i susz) dla uczniów wybranych placówek z Opola: Zespołu Szkół Budowlanych im. Jana Pawła II oraz Publicznej Szkoły Podstawowej nr 11.

Zebrała: **Barbara Stankiewicz**  
Fot. **Jarosław Mokrzycki**

Daniel Olbrychski kolejnym doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego

# Honory – za kunszt aktorski, odwagę i honor

11 marca br., w wypełnionej po brzegi auli Wydziału Teologicznego UO, Daniel Olbrychski obdarzony został godnością doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego. Podczas uroczystości towarzyszył mu prof. Jan Miodek, jeden z recenzentów jego dorobku (drugi – Janusz Gajos nie mógł przyjechać do Opola), żona Krystyna Demska-Olbrychska, a także przyjaciele, a wśród nich: wicemarszałek Sejmu RP Jerzy Wenderlich, prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz, reżyser Krzysztof Jasiński, b. minister kultury Andrzej Celiński z żoną Sylwią, Gitta Rutledge, poetka z USA.

Miejsca przeznaczone dla gości zajęli m.in.: ordynariusz opolski ks. biskup **Andrzej Czaja**, przedstawiciele Urzędu Marszałkowskiego w Opolu – **Barbara Kamińska** i **Roman Kolek**, wicewojewoda opolski **Antoni Jastrzembski**, prezydent Opola **Ryszard Zembaczyński**, a także prezydent Zabrza **Małgorzata Mańka-Szulik**, parlamentarzyści – **Janina Okrągły**,

**Ryszard Galla**, **Andrzej Buła**, **Tomasz Garbowski**, **Adam Kępiński**, **Jerzy Żyżyński**, **Aleksander Świejkowski** oraz wieloletnia senator, doktor *honoris causa* UO **prof. Dorota Simonides**. Nie zawiedli także rektorzy i prorektorzy wyższych uczelni – z Wrocławia, Opola i Bydgoszczy, dotychczasowi rektorzy Uniwersytetu Opolskiego – **prof. Krystyna Czaja**, **prof. Franciszek Marek** i **prof. Józef Musielok** oraz honorowy senator naszego uniwersytetu **Karol Cebula**. Nie sposób wymienić wszystkich gości Uniwersytetu Opolskiego, obecnych na tej uroczystości (przedstawiciele szkół i instytucji kulturalno-oświatowych, szpitali, przedsiębiorstw, urzędów), nie sposób jednak pominąć gościa wyjątkowo wiernego, który towarzyszy nam we wszystkich ważnych dla uczelni momentach, zbierając najgłośniejsze brawa – **Jerzego Szczakiela**, opolskiego żużlowca, mistrza świata z 1973 r.

Przebieg przewodu doktorskiego oraz sylwetkę Daniela Olbrychskiego zaprezentował dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO **prof. Janusz Do-**



Daniel Olbrychski doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego (fot. Jarosław Mokrzycki)

**robisz**, podkreślając, że już teraz dorobek artystyczny Daniela Olbrychskiego liczy kilkaset ról telewizyjnych, teatralnych, lecz przede wszystkim filmowych, które na trwale weszły do historii kina. W pięćdziesięcioletniej karierze aktorskiej Daniel Olbrychski współpracował z wieloma wybitnymi reżyserami, wśród których aż roi się od znakomitości: Andrzej Wajda i Claude Lelouch, Jerzy Hoffman i Volker Schlöndorff, Janusz Morgenstern i Joseph Losey, Adam Hanuszkiewicz i Nikita Michalkow, Krzysztof Zanussi i Margarete von Trotta, Krzysztof Kieślowski i Miklós Jancsó, Kazimierz Kutz i Mario Bolognini, by wymienić choćby niektórych z długiej listy twórców kina światowego.

W swoich recenzjach profesorowie Janusz Gajos z Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie i Jan Miodek z Uniwersytetu Wrocławskiego eksponowali zarówno kunszt aktorski, jak i wielką służbę dla słowa, służbę dla słowa polskiego, służbę dla słowa literackiego (więcej na str. 16).

W laudacji (tekst na str. 20) **prof. Stanisław S. Nicieja**, promotor w przewodzie doktorskim Daniela Olbrychskiego, rektor Uniwersytetu Opolskiego, poświęcił sporo uwagi także odwadze i poczuciu honoru, kolejnym przymiotom Daniela Olbrychskiego: – Daniel Olbrychski nosi w sobie odwagę cywilną i dał wielokrotnie dowody, że zasługuje na rzadki w Polsce order *Virtuti Civili*. Można rzec, że ten wybitny aktor to swoisty *homo politicus*, gdyż nigdy nie było mu obo-



B. minister kultury Andrzej Celiński: *Strasznie dobrze mieć takich przyjaciół* (fot. Jarosław Mokrzycki)

jętne to, co działo się w sferze politycznej i propagandowej w naszym kraju i w Europie. Wielokrotnie brał udział w społecznych spektaklach politycznych – wiecach i demonstracjach. W lipcu 1974 roku przed Teatrem Wielkim w Warszawie recytował *Odę do młodości* dla tysięcy zgromadzonych tam uczestników Złotu Polskiej Młodzieży. Nieprzypadkowo też poproszono go, aby w grudniu 1980 roku odczytał pod pomnikiem Stoczniovców w Gdańsku apel poległych, co nie spodobało się ówczesnym władzom. Od połowy lat 70. był zwolennikiem KOR-u. Demonstracyjnie solidaryzował się z Adamem Michnikiem, przypominając, że jest jego kolegą gimnazjalnym. A mówił to wtedy, gdy Michnik siedział w więzieniu.

W laudacji prof. Stanisław S. Nicieja przypomniał także o pierwszym pobycie Daniela Olbrychskiego w Opolu – w 1973 r., z Marylą Rodowicz, na chrzcinach akademika „Kmicic”.

Po odczytaniu treści dyplomu doktorskiego przez dziekana prof. Janusza Dorobisza, Daniel Olbrychski przyjął dokument – w blasku fleszy tłumu fotoreporterów – z rąk rektora UO prof. Stanisława S. Nicieji, po czym, nie kryjąc wzruszenia, zwrócił się do zebranych słowami:

– Przyznam, że tak trudnej roli nie przyszło mi w moim życiu grać. Jeszcze kilka kwadransów temu, kiedy wchodziłem tu, po schodach, i patrzyłem na te piękne togi towarzyszących mi profesorów i rektorów, a ja też jestem w kostiumie, który dopiero co mi założono, więc nie zdążyłem jeszcze się z nim oswoić i, przysięgam, już



Wicemarszałek Sejmu RP Jerzy Wenderlich: *Dzisiejszy dzień to sukces człowieka honoru* (fot. Tadeusz Parcej)



Prezydent Opola Ryszard Zembaczyński: *Mistrzu, Kochamy cię nie tylko za aktorstwo, ale i za patriotyzm, za honor!* (fot. Jarosław Mokrzycki)

się nie oswoję – to wydawało mi się, że biorę udział w jakimś filmie kostiumowym. I nie gram roli głównej, broń Boże, tylko jestem świadkiem jakiejś pięknej uroczystości. A gdy ten cudowny chór zaczął śpiewać „Mazurka Dąbrowskiego”, naprawdę w rytmie mazurka, to wydawało mi się, że właśnie spełniają się marzenia mojej młodości (już szybko wszedłem w inną rolę!), a mianowicie, że spełnia się to, o czym marzyłem – do momentu, gdy już zrozumiałem, że nigdy tych swoich marzeń nie zrealizuję: być mistrzem olimpijskim. Pomyślałem więc sobie: *o właśnie nim jestem i grają mi hymn!* (tekst wystąpienia doktora h.c. UO Daniela Olbrychskiego – na str. 27).

W swoim wystąpieniu Daniel Olbrychski przywołał m.in. osoby, które wywarły wielki wpływ na jego życiowe wybory, a byli wśród nich – Józef Małgorzewski, Andrzej Konic, Andrzej Wajda, Adam Hanuszkiewicz, którego nazwał *swoim ojcem teatralnym*, a który – przypomniał – też jest doktorem *honoris causa Uniwersytetu Opolskiego*. To właśnie Adamowi Hanuszkiewiczowi zadedykował swoją pracę magisterską, obronioną dwa lata temu *w okolicznościach szczególnych*. (Później, już po uroczystości, Daniel Olbrychski powiedział: *Długo będę się musiał szczytać w ramie, by uwierzyć, że ta piękna uroczystość była dla mnie. Całe szczęście dwa lata temu obroniłem pracę magisterską, więc czuję się mniej bezczelnie odbierając ten tytuł*).

I – podobnie jak przed laty, na podobnej uroczystości Adam Hanuszkiewicz – Daniel Olbrychski zachwyił się umiejętnościami

Chóru Akademickiego UO *Drama per Musica*, który śpiewał pod dyrekcją **dr Elżbiety Trylnik** (m.in. *Ojciec nasz* Józefa Świdra ze słowami Janusza Pasierba, *Song of Mary* Richarda Shepharda oraz *Hymn to Freedom* Oscara Petersona).

Gratulacje nowemu doktorowi h.c. UO składano listownie i osobiście. Listy gratulacyjne (kilka z nich odczytała podczas uroczystości prorektor UO prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak) przysłali m.in.: Andrzej Wajda, Andrzej Seweryn, Adam Michnik, minister Barbara Kudrycka (czytaj na str. 14). Z osobistymi gratulacjami popieszył m.in. prof. Jan Miodek:

– Czuję się jakbym śnił, przeżywał swoiste *deja vu*. Ja, chłopak z Tarnowskich Gór, od pół wieku żyjący we Wrocławiu, znowu jestem w moim trzecim mieście na ziemi, z którym pozostaję w relacjach uczuciowych – Opolu. Więc się szczypię i po ludzku jestem szczęśliwy, że znowu tu jestem. Za te wszystkie wzruszenia chcę gorąco podziękować – tyle wzruszeń dzięki niemu. Kryje się za tym zaimkiem i rektor, i cała społeczność. Moja wdzięczność płynie również do Daniela Olbrychskiego, mojego rówieśnika (parę miesięcy starszego!), który moją wyobraźnię, i wyobraźnię tylu milionów Polaków kształtował. Pamiętam, jak słuchałem w radiu recytowanej przez niego *Ody do młodości*, jak wyłączaliśmy światło, w momencie gdy Azja miał być wbijany na pał, żeby nasz synek na to nie patrzył (przyznał nam się później, że i tak tę scenę obejrzał, przed południem, kiedy film po-



Wicewojewoda opolski Antoni Jastrzembski: *Nie kończ, waść, nigdy!* (fot. Tadeusz Parcej)

wtarzali, a my byliśmy w pracy).

Wicemarszałek Sejmu RP Jerzy Wenderlich podkreślił, że osoba Daniela Olbrychskiego kojarzy mu się z takimi pojęciami, jak zaufanie i honor: – Honor, wyrażający silne poczucie własnej wartości. Myślę, że gdyby Władysław Boziewicz dziś pisał swój kodeks honorowy, o napisanie wstępu poprosiłby właśnie Daniela Olbrychskiego. Dzisiejszy dzień to sukces człowieka honoru.

Na związkach postaci, granych przez Daniela Olbrychskiego, oraz samego aktora z Opolszczyzną skupiła się w swoim wystąpieniu wicemarszałek woj. opolskiego Barbara Kamińska. Od pobytu Jana Kazimierza w Głogówku – do oblężenia pruskiej twierdzy Nysa. Przypomniała też, że Daniel Olbrychski był gościem jednego z Najazdów Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu.

Prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz, przekazując *ukłony z Wrocławia dla Opola i Uniwersytetu Opolskiego*, żartobliwie zauważył: – Daniel Olbrychski został doktorem honoris causa UO w przededniu rozpoczęcia konklawe, na dachu kościoła – to jest bardzo obiecujące...

O świętym miejscu – nie tylko z powodu sąsiedztwa kościoła – mówił też prezydent Opola Ryszard Zembaczyński: – Bo święte rzeczy tu się dzieją. Mistrzu, kochamy cię nie tylko za aktorstwo, ale i za patriotyzm, za honor!

Prezydent Ryszard Zembaczyński wręczył też Olbrychskiemu album historyczny dotyczący rozmów

między Ronaldem Reaganem a Michaiłem Gorbaczowem w Reykjavíku w 1986 r., których efektem było podpisanie w 1987 roku traktatu, eliminującego broń jądrową i konwencjonalne pociski raketowe. (Daniel Olbrychski zagra niebawem, z Michaeliem Douglasem w roli Reagana i Christophem Waltzem w roli Gorbaczowa w filmie *Reykjavik*, w reżyserii Mike'a Newella – będzie to rola marszałka Siergieja Achromiejewa. W filmie zagra też drugi polski aktor, Arkadiusz Jakubik).

– Cudownym przywilejem przyjaźni jest ogrzewać się przy wspaniałym człowieku – tak rozpoczął swoje wystąpienie Andrzej Celiński. – Jest człowiekiem nieprawdopodobnie odważnym w swej dobroci i stosunku do Polski. Pamiętam, jak przyjechał z Paryża po to, żeby następnego dnia, w rocznicę 13 grudnia, pojechać do Gdańska. Powiedziałem mu wtedy, że już do Paryża nie wróci. Mimo to pojechał. I tam, w kościele, recytował ludziom wiersze... Pamiętam, było tak zimno, że chmura pary się nad nim unosiła. Wypuścili go, wrócił do Paryża. Ale w tym najtrudniejszym czasie był z nami. Strasznie dobrze mieć takich przyjaciół.

Wywołany na mównicę reżyser Krzysztof Jasiński powiedział krótko: – Jestem bardzo wzruszony, nie jestem w stanie nic powiedzieć. Dziękuję.

A wicewojewoda opolski Antoni Jastrzembski podsumował dokonania Olbrychskiego parafrazą słynnych słów Andrzeja Kmicica z *Potopu*: *Nie kończ, waść, nigdy!*

Barbara Stankiewicz



Pamiątkowe zdjęcie z chórem *Dramma per Musica* i jego dyrygentką dr Elżbietą Trylnik (fot. Tadeusz Parcej)

Gratulacje z okazji nadania Danielowi Olbrychskiemu tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego przysłali m.in.: **Adam Michnik**, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, reżyser **Andrzej Wajda**, **Andrzej Seweryn**, polsko-francuski aktor teatralny i filmowy oraz minister nauki i szkolnictwa wyższego **Barbara Kudrycka**.

## Magnificencjo Uniwersytetu Opolskiego i Wielce Szanowny Senacie!



fot. Agencja Gazeta

Chcę wyrazić słowa radości i uznania z powodu przyznania Danielowi Olbrychskiemu tytułu doktora *honoris causa* Waszej znakomitej uczelni. Nie jestem specjalistą od teatru czy filmu, nigdy nie zajmowałem się sztuką aktorską. Jednak nawet całkowity laik wie przecież, że Olbrychski to wielki artysta, a także znakomity obywatel, którego głos był tak ważny w trudnych latach naszej narodowej historii.

Głos Daniela Olbrychskiego rozlegał się – i rozlega – gdy trzeba bronić wartości zasadniczych, choć w konkretnej chwili niepopularnych i trudnych do obrony.

Szczególnym świadectwem postawy Daniela jest piękny tekst wiersza Bułata Okudźawy na ten temat. Wiem, że jestem nieobiektywny, ponieważ z Danielem łączy mnie serdeczna przyjaźń od wielu lat. Tym bardziej cieszę się, że cnota została wynagrodzona i obiek-

tem adoracji jest dzisiaj nie bohater Sienkiewicza czy Żeromskiego, Słowackiego czy Andrzeja Wajdy, lecz sam Daniel Olbrychski we własnej osobie.

Raz jeszcze gratuluję uniwersytetowi i serdecznie ściskam Cię, drogi Danielu.

**Adam Michnik**

## Drogi Danielu,

dotarła do mnie wiadomość, że JM Rektor i Senat Uniwersytetu Opolskiego postanowili wyróżnić Cię tytułem doktora *honoris causa*. Wielki to i znaczące wyróżnienie, zwłaszcza dla nas, artystów, którzy podlegają raczej ocenom gazety i telewizyjnych recenzentów. Jako Honorowy Obywatel Miasta Opola składam Ci szczególnie serdeczne i braterskie gratulacje i cieszę się, że przez tyle lat naszej firmowej współpracy przyczyniłem się nieco do Twego wyróżnienia. Wielce szanowny Doktorze *Honoris Causa*, wybac proszę, że nie możemy oboje z Krystyną być na

tej wspaniałej uroczystości, ale zatrzymują mnie w Warszawie obowiązki filmu WAŁĘSA, który jest również Honorowym Obywatelem Opola. Jak widzisz, grono związane z tym miastem i przez nie wyróżnione jest szczególnie bliskie memu sercu.

Dlatego pozwolę sobie podziękować Jego Magnificencji Rektorowi i Senatowi Uniwersytetu Opolskiego, że właśnie Tobie, Drogi Przyjacielu, nadali ten zaszczytny tytuł. Z wyrazami przyjaźni

**Andrzej Wajda**



fot. Tadeusz Parcej

## Wielce Szanowny Panie Rektorze,

przyznanie Danielowi Olbrychskiemu tytułu doktora *honoris causa* Universitatis Opoliensis jest wielkim wydarzeniem dla polskiego teatru, a także dla Teatru Polskiego im. Arnalda Szyfmana w Warszawie, gdzie mamy przyjemność wspólnie pracować. Ma też, w moim przekonaniu, niebagatelne znaczenie dla polskiego świata kultury w ogóle.

Droga zawodowa Daniela Olbrychskiego, dokonywany przez Niego wybór ról, waga i znaczenie tych kreacji, ich odbiór społeczny, a także budowany przez Danie-

la etos pracy składają się na wizerunek artysty, którego twórczość jest wielowymiarowa i oddziałuje nie tylko na poziomie doznań estetycznych. Jego życie jest konsekwentnym wypełnianiem misji, którą sam sobie postawił za zadanie i którą realizuje z oddaniem i pasją. Misji nie tylko artystycznej, ale też społecznej, patriotycznej, historycznej.

Daniel Olbrychski jest jednym z najbardziej znanych na świecie polskich aktorów. Jest wizytówką naszej sztuki scenicznej i filmowej. Wiadomość o przyznaniu Mu



fot. PAP

zaszczytnego tytułu doktora *honoris causa* przyjąłem z wielką radością – tym większą, że znamy się od lat, studiowaliśmy razem, a co jakiś czas mam wielką przyjemność spotykać się z Nim w pracy. Tak jest i teraz, kiedy gramy razem w „Zemście” Fredry w Teatrze Polskim w Warszawie. (...).

Z wyrazami głębokiego szacunku

**Andrzej Seweryn**

## Szanowny Panie,

(...) pragnę złożyć wyrazy uznania dla Pańskiej dotychczasowej działalności artystycznej. Uczelnia, z którą w sposób wyjątkowy związał się Pan w 1973 r., wyróżnia Pana jako jednego z najznakomitszych polskich aktorów. Mistrzowskie kreacje w szerokiej palecie najwybitniejszych polskich filmów zapewniły Panu trwale miejsce w historii kinematografii. To one od lat kształtują wyobraźnię Polaków, pozwalają dostrzec piękno polskiego słowa literackiego oraz podziwiać znakomite interpretacje

polskich dzieł literackich. Pańska wyjątkowa osobowość artystyczna, kunszt aktorski, wszechstronność granych ról, niezwykła wyobraźnia, wrażliwość i talent budzą szacunek oraz podziw wśród krytyków, filmowców, miłośników sztuki i szerokiej publiczności zarówno w Polsce, jak i poza granicami naszego kraju (...).

**Barbara Kudrycka**  
minister nauki i szkolnictwa  
wyższego



fot. Jerzy Mokrzycki

# Fetysz Wajdy, ulubieniec Hanuszkiewicza

(opinia o dorobku artystycznym Daniela Olbrychskiego, przygotowana przez prof. Janusza Gajosa z Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie)

Kiedy się czyta o przedmiocie swoich rozważań sformułowania w rodzaju: *Już za życia stał się legendą, Pojawił się w naszej sztuce ktoś ważny, Jest niekwestionowanym królem polskiego kina* i na dodatek znajduje się wiadomość z jego wczesnej młodości, że w klasie maturalnej na półroczu miał cztery dwójki, ale dzięki wstawiennictwu nauczycieli języka francuskiego i WF-u został do niej dopuszczony i na dodatek *zdał ją brawurowo* – należy dojść do przekonania, że rozważania nasze dotyczyć będą człowieka wyjątkowego, by nie powiedzieć – niezwykle. Biorąc w końcu pod uwagę jego pięćdziesięcioletni dorobek zawodowy, zaczyna się rozumieć, że próba zrecenzowania czy choćby dokonania jakiegokolwiek oceny tego zjawiska graniczy z szaleństwem. Zjawisko owo to aktor, któ-

rego wyjątkowości, ciężaru gatunkowego nie da się określić inaczej niż Daniel Olbrychski. Uważam oczywiście, że człowiek, który – jako się rzekło – już za życia stał się legendą, powinien być obiektem poważnych naukowych obserwacji. Niewątpliwie zasługuje na szczegółowy i solidny opis swojego istnienia w sferze życia i zawodu, w którym sukces osiąga się czasem, ale – jak wiadomo – bywa on nietrwały i niejednoznaczny. Sam bohater naszych rozważań napisał: *Za ściąganie się w czołówce Hollywoodu płaci się różnymi pierdolcami. Granie gwiazdy to ciężka harówka*, a na pytanie dziennikarki, czy ma przede wszystkim szczęście i talent, czy talent i szczęście, odpowiada: *Hmm, ta druga wersja, bo gdybym nie miał talentu, nie byłoby o czym mówić.*



Daniel Olbrychski i profesorowie: Jan Miodek i Janusz Dorobisz (fot. Tadeusz Parcej)





Daniel Olbrychski przed tablicą z nazwiskami doktorów *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego (fot. Jarosław Mokrzycki)

To prawda, ale w obu wersjach rolę niepoślednią odgrywa jednak szczęście. A Daniel – przy całym szacunku dla jego talentu – miał szczęście niewyobrażalne.

Kiedy wielu jego dzisiejszych kolegów mozolnie biedziło się na zajęciach w Szkole Aktorskiej, on z niej zrezygnował z nadmiaru zajęć zawodowych. Stał się fetyszem wielkiego Andrzeja Wajdy i ulubieńcem koryfeusza ówczesnego Teatru Narodowego – Adama Hanuszkiewicza. Sam zresztą mówi o tym, że: *To było coś lepszego niż szkoła. Praktykowanie u mistrza i zarazem robienie sztuki.*

W roku 1966 zagrał nawet w filmie młodego Stanisława Barei pt. *Małżeństwo z rozsądku*. Powiedzieć, że pokazał się w tym filmie jako aktor wszechstronny, to nic nie powiedzieć. On tam po prostu dokonywał cudów. Był biednym malarzem, który z miłości do ukochanej potrafi skoczyć ze szczytu kamienicy na bruk warszawskiej Starówki prosto pod nogi gromady chuliganów, których ośmiesza, przstrasza i zmusza do haniebnej ucieczki. Niesiony uczuciem do nieznamomej chodzi na rękach, śpiewa w obecności takich majstrów, jak Bogdan Łazuka czy Tadeusz Chyła. Tańczy jak polski Fred Astaire. Stanowił w tym filmie obraz prawdziwego romantycznego bohatera w szarym, prząsnym PRL-u.

Sądzę, że byłoby absolutnym wykroczeniem przeciw dobremu obyczajom, wymieniać jego role filmowe czy teatralne z lat siedemdziesiątych. Znają je i pamiętają wszyscy. Wystarczy powiedzieć, że grał wówczas cały repertuar, o jakim śnił wtedy po nocach każdy mło-

dy aktor. W roku 1975, nawiązując do filmu *Wszystko na sprzedaż*, Tadeusz Sobolewski napisze o Olbrychskim w tygodniku „Film”: *Zajmuje [w filmie] miejsce zmarłego Zbyszka. Pasowany jakby na jego młodszego brata, podejmuje jego rolę.* Pisano wręcz o symbolicznym zajęciu miejsca po nieżyjącym Cybulskim.

Jako człowieka, który nie tylko wykonuje zawód aktorski, ale stara się również zrozumieć jego mechanizmy, interesowałoby mnie coś, co leży na granicy czy też pośrodku między zawodem aktorskim a życiem prywatnym aktora. Do jakiego stopnia obie te sfery ingerują w siebie i czy mogą się okazać jakimś rodzajem zagrożenia dla człowieka, który przez całe życie musi działać między nimi? Ale to już zadanie dla wytrawnego psychologa.

Na koniec chciałbym się podzielić moim ulubionym cytatem z Christiana Andersena: *Ludzie teatru są osobliwi. Różnią się od innych tak jak Beduini od Niemców. Od mima do amanta wszyscy umieszczają się na jednej szalce wagi, a resztę świata stawiają na drugiej.*

Kończąc rozważania o Danielu Olbrychskim, chcę wyraźnie powiedzieć, że uważam go za postać niezwykle cenną dla naszego zawodu, teatru, filmu i historii naszej kultury. Stwierdzam, że Daniel Olbrychski ze swoim olbrzymim dorobkiem artystycznym, niebanalnym sposobem istnienia w sferze życia publicznego, spełnia wszystkie wymogi i zasługuje na nadanie mu tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego.

# Zło nazywa złem

(opinia o dorobku artystycznym Daniela Olbrychskiego, przygotowana przez prof. dr. hab. Jana Miodka z Uniwersytetu Wrocławskiego)

Daniel Olbrychski, rocznik 1945, aktor teatralny i filmowy, to zarazem osoba, która – nie bardzo przecieź jeszcze poważnego wieku – weszła już do historii, do leksykonów i encyklopedii, do powszechnej świadomości wszystkich Polaków, owszem – jak mało kto ukształtowała masową wyobraźnię wielu generacji, w ostatnich zaś latach stała się zarazem niekwestionowanym społecznym autorytetem, z wyjątkową odwagą i nonkonformizmem wypowiadającym się publicznie na temat najtrudniejszych problemów naszego kraju.

Ten pierwszy akapit niniejszej oceny, w sposób kumulujący, syntetyczny określający status Daniela Olbrychskiego w Polsce, w zasadzie mógłby służyć jako podstawa wniosku o przyznanie mu godności dokto-

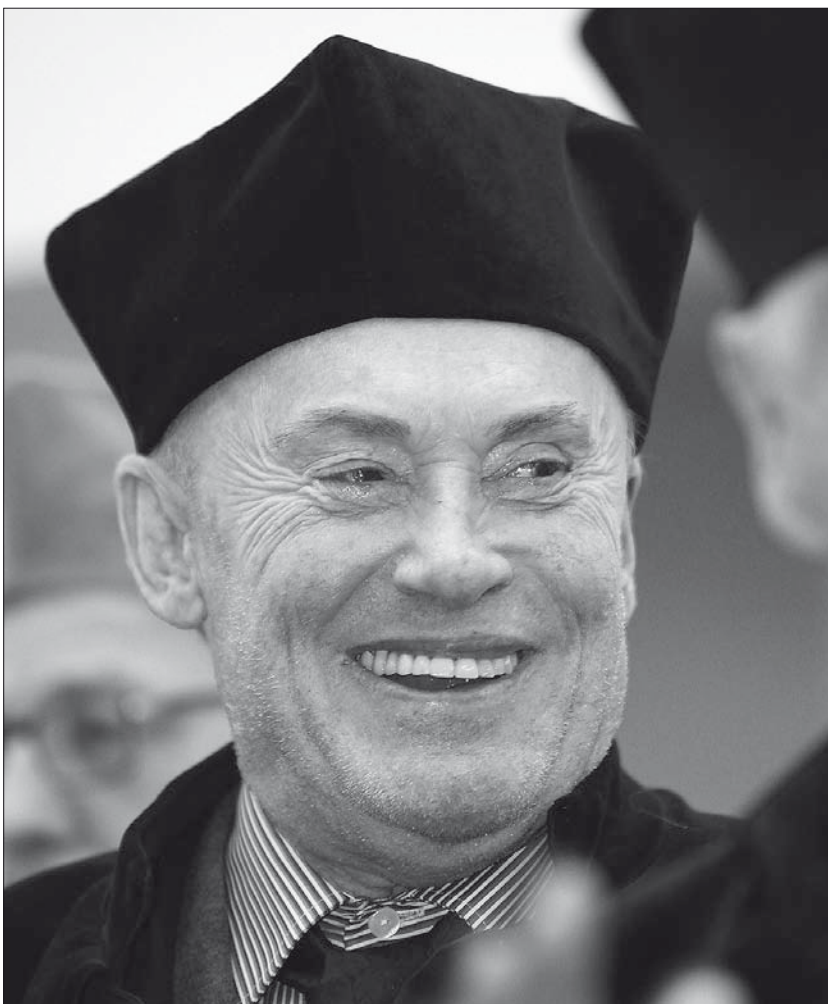
ra *honoris causa* opolskiej uczelni. Piszący tę recenzję może ją jednak z wielką satysfakcją rozwinąć, eksponując te zasługi wielkiego aktora, które są mu szczególnie bliskie ze względów zawodowych.

I tak ja, pracujący od kilkudziesięciu lat w słowie, nie mogę nie wyeksponować jego wielkiej służby dla słowa, służby dla słowa polskiego, służby dla słowa literackiego. Nie mogę jednocześnie nie wyeksponować jego artystycznego mistrzostwa słowa i jego zawsze wielkiej troski o piękne i dobre słowo. To wyjątkowo ważny i istotny aspekt poczynań Daniela Olbrychskiego. Bo czyż w gruncie rzeczy w naszym życiu społecznym wciąż nie rozgrywa się batalia o słowo – jak w sierpniu '80 przejmująco pisał Ryszard Ka-

puściński? O słowo, które nie poraża i nie rani drugiego człowieka, nie sieje wiecznego społecznego zamętu, nie ogłupia, nie odwołuje się do najniższych, najprymitywniejszych, plemiennych instynktów człowieka? Z takim słowem – słowem złym, słowem nie pokou, lecz wojny – Olbrychski z wyjątkową odwagą i bezkompromisowością walczy. Zło nazywa złem, głupotę – głupotą, cynizm polityczny – cynizmem, obskurantyzm – obskurantyzmem.

Jako filolog zaś nie mogę z pełną odpowiedzialnością i satysfakcją nie powiedzieć, że wraz z takimi znakomitościami reżyserskimi, jak Andrzej Wajda, Jerzy Hoffman, Krzysztof Zanussi, Krzysztof Kieślowski, Filip Bajon, Claude Lelouch, Volker Schlöndorff czy Nikita Michałkow, kształtując przywołaną wyżej masową wyobraźnię społeczną, utrwala zarazem Daniel Olbrychski wszystko to, co pochodzi z najlepszej tradycji literackiej, tak dziś – niestety – zagrożonej w świecie cywilizacji preferującej ruchome, szybko się zmieniające obrazy.

Już w pierwszej roli filmowej – Korala w filmie Janusza Nasfetera



Daniel Olbrychski

*Ranny w lesie* z roku 1963 – osiemnastoletni wtedy Olbrychski obcował ze scenariuszem – tekstem literackim Witolda Zalewskiego. A potem następowały kreacje, z których większość była odtwarzaniem poczynań bohaterów takich wielkości naszej i obcej literatury, jak Adam Mickiewicz, Aleksander Fredro, Józef Ignacy Kraszewski, Henryk Sienkiewicz, Stanisław Wyspiański, Bruno Schulz, Stefan Żeromski, Władysław Reymont, Stanisław Przybyszewski, Jarosław Iwaszkiewicz, Stanisław Dygat, Edward Stachura, Michał Bułhakow, Günter Grass, Miłosz Forman czy John Tolkien – że przywołam tych kilkunastu. I dodam, że pod większość z nich statystyczny Polak podkłada obraz Daniela Olbrychskiego, to przede wszystkim on, Daniel Olbrychski, mówiąc językiem Romana Ingardena, służy dookreśleniu tychże literackich postaci – z Rafałem Olbromskim, Andrzejem Kmicicem, Azją Tuhaj-bejem, Gerwazym, Karolem Borowieckim, Szymonem Gajowcem, Markiem Arensem czy Janem Brońskim na czele. Wielość zaś i charakterologiczno-ikoniczna różnorodność tych postaci zawsze chroniła i chroni nadal aktora przed – często zawodowo zabójczym – utożsamieniem go z jedną z nich. Jest ona zarazem – powiedzmy to mocno i wyraźnie – imponująca, tak jak imponujący jest diapazon aktorsko-literackich zainteresowań, upodobań i możliwości Daniela Olbrychskiego.

Bo przecież w owej powszechnej świadomości, tak tu często przywoływanej, funkcjonuje on nie tylko jako Rafał Olbromski, Andrzej Kmicic czy Azja Tuhaj-bej, lecz także jako aktor cudownie recytujący na przy-

kład *Odę do młodości* Mickiewicza czy inny klasyczny utwór poetycki.

Jako zaś historyk języka nie mogę nie mówić z ogromnym szacunkiem o upodobaniach Daniela Olbrychskiego do tekstów staropolskich – tych, które wyszły spod pióra Jana Kochanowskiego czy Jana Andrzeja Morsztyna. To jest – powtórzę – imponujące, świadczące o bogactwie środków artystycznych, jakimi ten wielki polski aktor dysponuje.

Jeśli dodamy do tego przebogatego dorobku jego talenty literackie, zrealizowane chociażby w takich książkach, jak *Wspominki o Włodzimierzu Wysockim*, *Anioły wokół głowy* czy *Parę lat z głowy*, otrzymamy wizerunek człowieka o rozmachu intelektualnym prawdziwie renesansowym.

Honorowano go za niego rozlicznymi nagrodami, medalami i odznaczeniami w Polsce i za granicą, a oficjalna nazwa jednego z nich – francuskiego: Komandor Orderu Sztuki i Literatury – doskonale oddaje zasługi Daniela Olbrychskiego, tak jak pierwszy akapit niniejszej oceny powiedział o nim praktycznie wszystko.

Niech do tych szaczących wyróżnień dojdzie najwyższa godność akademicka – tytuł doktora *honoris causa*. Wniosek Uniwersytetu Opolskiego o przyznanie jej Danielowi Olbrychskiemu w pełni popieram i uznaję za całkowicie uzasadniony.

Jan Miodek

Fot. Tadeusz Parcej



Prof. Jan Miodek i Daniel Olbrychski

# Nie tylko Kmicic ma jego twarz

(fragmenty laudacji prof. dr. hab. Stanisława Sławomira Nicieji –  
rektora Uniwersytetu Opolskiego, z okazji nadania Danielowi Olbrychskiemu  
tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego)

Moje pokolenie wyrastało w micie Zbyszka Cybulskiego. Ten mit stworzył Andrzej Wajda, realizując *Popiół i diament* – jeden z najwybitniejszych filmów w dziejach polskiej kinematografii. Posłużył się przy tym niezwykle oryginalną estetyką polskiej szkoły filmowej – zjawiska fenomenalnego w kinie światowym w połowie XX wieku. Wówczas to Zbyszek Cybulski stał się w kinie postacią pierwszoplanową – królem polskiego filmu i znakiem jego jakości na świecie. Był szanowany i naśladowany. Dla kobiet był uosobieniem urody i męskości. Mężczyźni, naśladowując go, nosili ciemne okulary i poruszali się jego charakterystycznym krokiem. Choć w scenie końcowej *Popiołu i diamentu* konał na wysypisku, co miało symbolizować śmierć starej rzeczywistości – na śmietniku historii – choć zagrał tam okrutnego zabójcę, sympatia widzów była po jego stronie. Z dumą stwierdziliśmy, że na skutek nie tylko podobieństwa zewnętrznego jest to *polski James Dean*. Ale mieliśmy też przekonanie, że ma więcej do powiedzenia widzowi niż jego amerykański odpowiednik – *buntownik bez powodu*.

## Następca Zbyszka Cybulskiego

(...) Dlaczego laudację doktorską na cześć Daniela Olbrychskiego w dniu jego opolskiego benefisu zaczynam od biografii Zbyszka Cybulskiego? Główny powód to ten, że właśnie wówczas, w atmosferze żałobnych tygodni początku roku 1967, po tragicznej śmierci Zbigniewa Cybulskiego, rodzi się idea filmu Andrzeja Wajdy o nad wyraz oryginalnym pomysłem i świeżej estetyce; Wajda miał już wówczas w kinie europejskim pozycję porównywalną z Fellinim, Antonionim czy Bergmanem. Film nosił tytuł *Wszystko na sprzedaż* i powstawał w atmosferze traumy po śmierci Cybulskiego. Fabuła była prosta: zaginął sławny, charyzmatyczny aktor, arcy mistrz sztuki filmowej. Jeśli się nie znajdzie, to kto go może zastąpić? W tych gorączkowych, nerwowych poszukiwaniach uczestniczyli najbliżsi aktora oraz całe środowisko filmowo-teatralne. I kiedy stało się już wiadome, że mistrz rozpułnął się w eterze, że nikt go nie znajdzie i stamtąd, dokąd się udał,

już nigdy nie wróci, objawiła się w tej pustce potrzeba wskazania następcy. I takiego wyboru dokonano. Film *Wszystko na sprzedaż* wynosił, rzecz można – intronizował, 23-letniego wówczas Daniela Olbrychskiego na postać pierwszorzędną w polskim kinie. Czynił go niejako nowym królem polskiego filmu.

Ten młody aktor, stojący na początku swej drogi, został wyniesiony na tak wysoką pozycję w momencie, kiedy kino polskie było uważane za jedno z najciekawszych zjawisk w kinematografii światowej. Był to czas, który chyba się już nie powtórzy: kiedy polskie filmy na najważniejszych światowych festiwalach – od Cannes poprzez Wenecję, San Sebastian, Mar del Plata, San Francisco, Berlin, Karlowe Wary po Moskwę – nie tylko trafiały do wąskiej konkursowej puli, ale zdobywały główne nagrody. Był to czas, kiedy Oskar – główna nagroda amerykańskiej Akademii Filmowej – traktowany był jako wyróżnienie marginalne. Wtedy liczyły się najbardziej: Złota Palma w Cannes, Złoty Lew w Wenecji, Złoty Niedźwiedź w Berlinie. Na najbardziej w tym czasie prestiżowym festiwalu w Cannes na Riwierze Francuskiej Olbrychski był po raz pierwszy jako dwudziestolatek. W 1970 roku, mając 25 lat, bliski był otrzymania nagrody za najlepszą rolę męską (poety Tadeusza) w filmie Andrzeja Wajdy *Krajobraz po bitwie*. Jednym głosem wyprzedził go Marcello Mastroianni. Przewodniczącym jury był wówczas Kirk Douglas. Rozmowę Douglasa z Olbrychskim w Cannes odnotował „Los Angeles Times”. Olbrychski często później opowiadał o niej z satysfakcją w swych wywiadach (zob. „Zwierciadło” 2011 z 9 IX).

(...) Ta prognoza Wajdy, twórcy wielkości polskiego kina, wyrażona w filmie *Wszystko na sprzedaż* w przypadku Daniela Olbrychskiego sprawdziła się aż nadto. Ta prognoza miała logiczne podstawy spełnienia się, gdyż 20-latek Daniel Olbrychski zagrał w innym filmie Andrzeja Wajdy rolę, która zwróciła na niego uwagę całej polskiej elity intelektualnej. Wystąpił w malowniczej i kontrowersyjnej zarazem Wajdowskiej adaptacji *Popiołów* Stefana Żeromskiego – w filmie o wielkich polskich wyborach, o postawach ludzi w czasie przełomu oraz sensie i bezsensie bohaterstwa czy – jak niektórzy twierdzili – bohaterszczyzny.

Daniel Olbrychski zagrał w *Popiołach* Andrzeja Wajdy główną rolę – Rafała Olbromskiego, a film wywołał niebywałą debatę w polskiej publicystyce. Przez całe miesiące w periodykach toczyła się żarliwa dyskusja o tzw. siedmiu polskich grzechach głównych, o tym, czy nasi przywódcy potrafili wybrać najlepsze warianty zachowań w sytuacjach ekstremalnych, gdy narodowi groziła zagłada.

*Popioły* długo absorbowwały polskie społeczeństwo, a szczególnie młodą widownię, zawsze najliczniejszą w salach kinowych. W moim świdnickim liceum część młodzieży, będąc pod wrażeniem scenerii, w jakiej Olbromski/Olbrychski był przyjmowany do loży masońskiej, postanowiła poddać się takiemu samemu doświadczeniu. Nie mieliśmy pojęcia, co to jest loża masońska, ale fascynowała nas wielce tajemnicza aura towarzysząca wydarzeniu, które pokazał film Wajdy. I tak jak kiedyś naśladowaliśmy Zbyszka Cybulskiego, choćby nosząc ciemne okulary, wojskowe kurtki i skórzane marynarki, tak teraz naśladowaliśmy Olbrychskiego. Na starym, zniszczonym, poewangelickim cmentarzu na przedmieściu Świdnicy w opuszczonej

kaplicy postanowiliśmy o północy przy pochodniach złożyć ślubowanie o bezwzględnej przyjaźni oraz wierności i, nacinając sobie dłonie starą szablą, przyjmując braterstwo krwi. Tak rodziła się też legenda Daniela Olbrychskiego. A było to prawie pół wieku temu.

## Linia sukcesów Olbrychskiego

Gdy próbuje się wykreślić linię artystycznych osiągnięć i sukcesów Daniela Olbrychskiego, od jego debiutu w 1963 roku do początku roku 1980, wyłania się krzywa o tendencji ciągle wznoszącej się. Później pojawiają się tąpnięcia i okresy, kiedy puls jego artystycznej aktywności słabnie. Dzieje się tak zwłaszcza po stanie wojennym, kiedy przez prawie całą dekadę Olbrychski gra głównie w filmach zagranicznych. Są też lata, kiedy kompletnie znika z polskiego ekranu w nowych kreacjach filmowych. Linia osiągnięć zaczyna ponownie rosnąć w połowie lat 90. i na początku XXI wieku.

Nie sposób w ograniczonej ramami procedury doktorskiej laudacji poddać analizie ponad 180 filmów, w których wystąpił Daniel Olbrychski. Skupię się więc tylko na tych najważniejszych, wyznaczających rangę tego artysty i będących w danym okresie apogeum jego osiągnięć artystycznych.

Rok 1963 – film *Ranny w lesie* Janusza Nasfetera – reżysera znanego głównie jako twórca filmów psychologicznych o tematyce dziecięcej. W tym filmie debiutujący 18-letni Olbrychski zwrócił uwagę widowni żywiołowo i spontanicznie zagrana rolę kaprała Korala.

Rok 1965 – bodaj najważniejszy w biografii artystycznej Olbrychskiego. Wówczas to w szkole teatralnej wypatrzył go Andrzej Wajda i powierzył mu główną rolę w *Popiołach*. Tego samego roku Janusz Morgenstern, drugi wybitny reżyser polskiej szkoły filmowej, obsadził Olbrychskiego w filmie *Potem nastąpi cisza*. Było to niezwykle efektowne wejście młodego aktora w świat filmu.

Rok 1966 – Olbrychski objawia się w komedii muzycznej *Małżeństwo z rozsądku* Stanisława Barei i w filmie *Bokser* Juliana Dziedziyny – o jakże bliskiej mu tematyce sportowej. W pierwszym z tych filmów śpiewa i tańczy, a w drugim boksuje i trenuje, pokazując swą



Rektor UO prof. Stanisław S. Niciejka (fot. Tadeusz Parcej)



Daniel Olbrychski (fot. Tadeusz Parcej)

wszechstronność. Zaczyna się mówić, że Olbrychski nie potrzebuje kaskaderów i dublerów do scen wymagających dużej sprawności fizycznej.

Rok 1967 – znów dwa ważne filmy: Janusza Morgensterna *Jowita*, gdzie gra wspólnie ze Zbyszkciem Cybulskim, i świetny, niedoceniony przez krytykę film Kazimierza Kutza *Skok*, gdzie partneruje mu młodzianki Marian Opania, również rozpoczynający swą karierę filmową. Tam też po raz pierwszy spotyka na planie Małgorzatę Braunek – kolejną wielką gwiazdę wschodzącą na firmamencie polskiego kina, przyszłą partnerkę w *Potopie*.

Rok 1968 – znakomity epizod w błyskotliwie zrobionym przez Jerzego Antczaka filmie z gatunku „płaszczki i szpady” *Hrabina Cosel* według powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego. Olbrychski zagrał tam z temperamentem młodego króla szwedzkiego Karola XII.

Rok 1969 – pojawiają się bardzo ważne filmy w polskim kinie, w których role Olbrychskiego można nazwać „perłami”: to *Pan Wołodyjowski* Jerzego Hoffmana z Olbrychskim w roli Azji Tuhaj-bejowicza i *Wszystko na sprzedaż* Andrzeja Wajdy. W tym roku zagrał także w *Strukturze kryształu* Krzysztofa Zanussiego, w *Soli ziemi czarnej* Kazimierza Kutza i w *Polowniu na muchy* Andrzeja Wajdy.

Rok 1970 – dwa filmy Andrzeja Wajdy z Danielem Olbrychskim w rolach głównych: *Krajobraz po bitwie* i *Brzezina* oraz węgierski film *Égi bárány* Miklósa Jancsó – reżysera uważanego za węgierskiego Wajdę. Olbrychski zagrał również w radzieckiej pięciocin-

kowej superprodukcji *Oswobodzenie* Jurija Ozierowa.

Rok 1971 – role w *Życiu rodzinnym* Krzysztofa Zanussiego, *Pilacie i innych* Andrzeja Wajdy oraz *La pacifista* Miklósa Jancsó.

Rok 1972 – *Wesele* Andrzeja Wajdy z rolą Pana Młodego (czyli Lucjana Rydla).

Rok 1974 – *Potop* Jerzego Hoffmana. Gdy Hoffman obsadził Olbrychskiego w roli Kmicica, Olbrychski dla setek tysięcy stał się wrogiem publicznym numer jeden. Na temat tej obsady toczyła się ogólnonarodowa debata, a później zachwytem nie było końca, bo Olbrychski stworzył kreację wykraczającą poza malownicze popis typowe dla amerykańskich i francuskich kostiumowych superprodukcji i nakreślił postać sugestywną, prawdziwą w swoich sprzecznościach, wiele mówiącą o polskim charakterze narodowym.

Rok 1975 – *Ziemia obiecana* Andrzeja Wajdy. Ten film moż-

na uznać za apogeum wspaniałej passy Olbrychskiego, za pułap, który trudno mu będzie później osiągnąć. Nie ucichły jeszcze echa gigantycznego sukcesu, jakiego Olbrychski odniósł w *Potopie*, a natychmiast objawił się w całkowicie odmiennej roli, jako postać z innej epoki i z inną mentalnością, i zagrał ją tak, że otarł się wówczas o najwyższy laur – o Oscara. Stworzył portret Karola Borowieckiego – szlacheckiego syna, z aspiracjami do zostania „królem europejskiej bawełny”, wpadającego jednak w pułapkę cynizmu i niepotrafiącego zawrócić ze szlaku zła, na który wszedł.

Rok 1977 – *Dagny* w reżyserii Haakona Sandoya, gdzie zagrał diabolicznego Stanisława Przybyszewskiego, oraz telewizyjna nowela *Trzy po trzy* Adama Hanuszkiewicza, gdzie zagrał Gustawa ze *Ślubów panińskich* i wcielił się w postać samego młodego Aleksandra Fredry.

Rok 1979 – sinusoida osiągnięć Olbrychskiego pnie się do maksimum. Powstają trzy wybitne filmy: *Panny z Wilka* Andrzeja Wajdy (nominowane do Oscara), *Błaszany bębenek* Volkera Schlöndorffa i *Kung-fu* Janusza Kijowskiego. W Iwaszkiewiczowskich *Pannach z Wilka* Olbrychski osiągnął szczyt aktorskiej subtelności w roli Wiktora Rubena – zagubionego, niezdecydowanego, zapracowanego, załęcznionego 40-lątka, który, nie wiedząc czemu, był marzeniem, a zarazem legendą czterech podkochujących się w nim sióstr. *Błaszany bębenek* (według powieści noblisty Güntera Grassa) przyniósł Olbrychskiemu wielkie uznanie w Niemczech i we Francji; natomiast *Kung-fu* – reprezentant ważnego nurtu polskiego kina zwanego ki-

nem moralnego niepokoju, powstałego na fali narastającego w społeczeństwie sprzeciwu wobec atmosfery moralnej panującej w Polsce w schyłkowej fazie rządów Edwarda Gierka – był jedynym filmem tego nurtu, w którym Olbrychski wystąpił. Olbrychski nie pasował do ról sfrustrowanych, cynicznych działaczy, inteligentów i różnorodnych hochsztaplerów, jak choćby osławiony konferansjer Danielak z filmu Feliksa Falka *Wodzirej* ze wspaniałą rolą Jerzego Stuhra.

Rok 1980 – znów trzy ważne role filmowe: *Z biegiem lat, z biegiem dni* Andrzeja Wajdy, gdzie zagrał Stanisława Wyspiańskiego, *Wizja lokalna 1901* Filipa Bajona i *Rycerz Lecha Majewskiego*. Dwaj ostatni reżyserzy zaczęli właśnie objawiać się jako ważni twórcy polskiego kina i również sięgnęli po talent Olbrychskiego. Ważne jest nie tylko, co się gra, ale też u kogo się gra.

Rok 1981 – Olbrychski znika z polskiego filmu na wiele lat. Po ogłoszeniu stanu wojennego pozostał we Francji. Na pytanie, dlaczego to zrobił, odpowiedział ostro i nonszalancko: *A co, miałem recytować po kościołach?, obnosić się „bohaterstwem”, że bojkotuję telewizję reżymową?* Wtedy grał u Jugosłowianina Lordana Zafranovicia w *Upadku Italii*; u słynnego Brytyjczyka Josepha Loseya; u Niemców i Austriaków – Petera Keglevitza, Petera Kassovitza, Dietera Wedela i Margarete von Trotta w filmie biograficznym o Róży Luksemburg; u Włochów – Francesca Nutiego, Mauro Bolognini, Sergia Sollimy i Alberta Negriniego; u Francuzów – słynnego Claude’a Leloucha, jednego z głównych twórców francuskiego *cinéma vérité*, a zarazem kina komercyjnego, w obrazie *Jedni i drudzy* oraz u Richarda Dembo w filmie *Przekątna gońca* nagrodzonego Oscarem (była to opowieść o meczu szachowym, który toczą sowiecki mistrz z wyklętym dysydentem; Olbrychski grał tam obok legendy ówczesnego kina francuskiego Michela Piccollego; miał być w cieniu głównych bohaterów, ale jego osobowość znów dała o sobie znać). W dwóch filmach francuskich partnerował Jeanowi-Paulowi Belmondo. Później przyszły role u Jeana-Pierre’a Ignoux’a, Dominique’a Enckella, Olivera Nolina, u Greka Kostasa Zirinisa, u Amerykanina Philipa Kaufmana oraz u polskich reżyserów kręcących wówczas za granicą – u Andrzeja Wajdy (*Miłość w Niemczech*), Krzysztofa Zanussiego.

Lata 80. minionego wieku to okres, kiedy Daniel Olbrychski umocnił swą pozycję wybitnego aktora europejskiego, co zostało uwiecznione w roku 1990 najwyższym odznaczeniem francuskim w dziedzinie kultury – Komandorią Orderu Sztuki i Literatury (*des Arts et des Lettres*).

Rok 1986 – gdy w Polsce gen. Wojciech Jaruzelski liberalizuje stosunki polityczne, Olbrychski wraca do polskiego kina aż trzema filmami: *Ga, ga. Chwała bohaterom* Piotra Szulkina, *Siekierezadą* Witolda Leszczyńskiego, opartą na poetyckiej prozie Edwarda Stachury, i *Jestem przeciw* Andrzeja Trzosa-Rasta-

wieckiego, gdzie grał kierownika ośrodka dla narkomanów.

Rok 1987 – w ekranizacji powieści Milana Kundery *Nieznosna lekkość bytu* w reżyserii Philipa Kaufmana znów zwrócił na siebie uwagę europejskiej krytyki.

Rok 1988 – rola w *Notturmo* Fritza Lehnera i w *Przed sklepem jubilera* Michaela Andersona według dramatu Karola Wojtyły.

Rok 1989 – role w filmach: *Czerwona orkiestra* Jacques’a Rouffio, *Passi d’amore* Sergia Solimy i w słynnym *Dekalogu* Krzysztofa Kieślowskiego.

Rok 1993 – zaczął się w polskim kinie filmowy romans Olbrychskiego z Radosławem Piwowarskim i Krystyną Jandą, czego efektem były filmy *Kolejność uczuć* i *Pestka*. Bardzo ciekawe były też role w filmach Jacka Bromskiego *Dzieci i ryby* oraz *Ja, złodziej*, w których partnerowała mu Anna Romantowska; grał w nich epizody, ale stworzył „perełki” aktorskiej finezji.

Jedną z najważniejszych ról, z którą Olbrychski wszedł w wiek XXI była rola Gerwazego w Wajdowskiej adaptacji *Pana Tadeusza* (1999) – zagrał po raz pierwszy wspólnie z Bogusławem Lindą, któremu krytyka przepowiadała, iż to on przejmie pałeczkę pierwszego polskiego aktora z rąk Olbrychskiego, zwłaszcza po *Psach* Władysława Pasikowskiego – filmie bulwersującym, naznaczonym przełomem politycznym w Polsce; Bogusław Linda stworzył w nim postać fascynującą, z najwyższym aktorskim znakiem jakości, opowiedzianą nowym językiem filmowym.

W wieku XXI wszedł Olbrychski w świat kina hollywoodzkiego. Z tego okresu pochodzi m.in. superprodukcja amerykańska *Salt* w reżyserii Phillipa Noyce’a, w której zagrał Wasilija Orłowa, obok Angeliny Jolie, zdobywczyni Oscara. W Polsce zagrał Dyndalskiego w Wajdowskiej ekranizacji *Zemsty* Fredry, Piłsudskiego w Hoffmanowskiej *Bitwie warszawskiej* i w 2012 roku gen. Marcina Kąckiego we włosko-polskiej koprodukcji *Bitwa pod Wiedniem*. Najnowszy film polski, w którym Olbrychski objawił się w nowej roli, to *Sep* Eugeniusza Korina, gdzie zagrał u boku Piotra Fronczewskiego, Andrzeja Seweryna i Michała Żebrowskiego.

Olbrychski próbował też w swoim życiu reżyserii. W stolicy Grecji, w Atenach, reżyserował sztukę Agnieszki Osieckiej *Apetyt na czereśnie*. Był z Osiecką związany od lat młodzieńczych – śpiewał przecież jej piosenki, z muzyką Adama Sławińskiego, w wielo-odcinkowym spektaklu telewizyjnym *Listy śpiewające*. Wtedy też powstała uroczą komedia muzyczna pt. *Małżeństwo z rozsądku* Stanisława Barei – z Elżbietą Czyżewską, Bogumiłem Kobiela i Bohdanem Łazuką.

Jest też Olbrychski autorem książki o swym rosyjskim przyjacielu, moskiewskim bardzie Włodzimierzu Wysockim oraz książek autobiograficznych: *Anioły wokół głowy* (Warszawa 1992) i *Parę lat z głowy* (Warszawa 1997).

W wywiadach często mówi, że aktorstwo nie jest sensem jego życia, ale przyjemnością. Lubi żyć z rozmachem. Nie stroni od brawury, ryzyka i pikanterii.

Lubi mieć dużo wolnego czasu: czytać, słuchać, jeździć konno i grać w tenisa. Nieobcy jest mu hedonizm.

### Aktor rangi światowej

Po śmierci Cybulskiego Olbrychski stał się ulubionym aktorem Wajdy. *Wszystko na sprzedaż, Krajobraz po bitwie, Brzezina, Panny z Wilka, Wesele, Ziemia obiecana* i kilka innych – w sumie dziesięć wybitnych ról. I to Andrzej Wajda wprowadził Olbrychskiego do światowego kina. Dzięki wymienionym tu filmom dał mu nazwisko rozpoznawalne w Europie, Japonii i Stanach Zjednoczonych, a w Związku Radzieckim pozycję gwiazdora absolutnie pierwszorzędowego. Ale równocześnie Olbrychski był też aktorem Hoffmana i Hanuszkiewicza. Dopiero potem przyszedł Lelouche, Losey, Schlöndorff.

Olbrychski najboleśniej odczuł degradację polskiego kina artystycznego i jego pozycji na świecie po roku 1989. Polski film stracił wówczas masową widownię. Symboliczny jest fakt, że najsłynniejszy film III Rzeczypospolitej, *Psy* Pasikowskiego, z Bogusławem Lindą i Markiem Kondratem, z trudem obejrzało zaledwie pół miliona widzów, podczas gdy *Potop* swego czasu tylko w samym Związku Radzieckim miał ponad 70-milionową widownię kinową (a telewizyjnej nikt nie policzył), w Polsce zaś 29-milionową. Dziś kino polskie nie jest miejscem, w którym można zrobić światową karierę. Doszło do poziomu artystycz-

nego kina przedwojennego, II Rzeczypospolitej, kiedy dominowały błahe komedijki bądź łzawe melodramaty i banalne, krwawe kryminały, a więc do poziomu kina, któremu Wajda, Munk, Kawalerowicz wypowiedzieli w latach 50. XX wieku wojnę, tworząc polską szkołę filmową i odnosząc światowy sukces. Obecnie w Polsce niemal kompletnie zaniechano ekranizacji arcydzieł polskiej literatury.

Daniel Olbrychski grał w najlepszym, można nawet rzec – w najwspanialszym, okresie adaptacji polskiej literatury dla potrzeb filmu i teatru. Można by tu wymienić wiele nazwisk wybitnych aktorów polskich, którzy wówczas zadebiutowali ważnymi rolami w ekranizacjach dzieł literatury polskiej, często głównie dlatego że Olbrychski miał za mało czasu i odmówił udziału w tych filmach. Po wielkim sukcesie *Popiołów* spadła na Olbrychskiego lawina propozycji zagrania takich ról, co dla każdego aktora byłoby szczytem marzeń. To wszystko złożono Olbrychskiemu do stóp. Nie milkły telefony z propozycjami. To był czas gierkowski. To się już później nie powtórzyło w takiej skali.

### Virtuti Civili

W Polsce jest wielu ludzi, którzy w pełni zasłużyli sobie na order Virtuti Militari, czyli za odwagę wojenną, ale nieporównywalnie mniej jest ludzi, którzy zasługują na order Virtuti Civili, czyli odwagi cywilnej. Odwaga cywilna nie jest przypisana wszystkim



Daniel Olbrychski, przed akademikiem „Kmicic” prezentuje swoją pracę magisterską (fot. Jarosław Mokrzycki)



ludziom, bo wiąże się z wymogiem demonstrowania swoich poglądów politycznych, społecznych czy też moralnych w sposób wyrazisty i jednoznaczny w trudnych, skomplikowanych sytuacjach, zwłaszcza w atmosferze różnorodnych nagonek politycznych, presji partii rządzących bądź presji tzw. mainstreamu, który narzuca poprawność polityczną, sugeruje, co wypada, a czego nie powinno się czynić. Za demonstrowanie poglądów i zachowań nieodpowiadających rządzącym można nieraz ponieść bolesne polityczne konsekwencje. Czasem stracić pracę. Dawniej trafiało się nawet do więzienia. Ludzie w takich sytuacjach, ze względu na dbałość o spokój wewnętrzny i pewną wygodę socjalną, obawiają się demonstrować swój sprzeciw.

Daniel Olbrychski nosi w sobie odwagę cywilną i dał wielokrotnie dowody, że zasługuje na rzadki w Polsce order *Virtuti Civili*. Można rzec, że ten wybitny aktor, to swoisty *homo politicus*, gdyż nigdy nie było mu obojętne, to co działo się w sferze politycznej i propagandowej w naszym kraju i w Europie. Wielokrotnie brał udział w społecznych spektaklach politycznych – wiecach i demonstracjach. W lipcu 1974 roku przed Teatrem Wielkim w Warszawie recytował *Ode do młodości* dla tysięcy zgromadzonych tam uczestników Zlotu Polskiej Młodzieży. Nieprzypadkowo też poproszono go, aby w grudniu 1980 roku odczytał pod pomnikiem Stoczniovców w Gdańsku apel poległych, co nie spodobało się ówczesnym władzom. Od połowy lat 70. był zwolennikiem KOR-u. Demonstracyjnie solidaryzował się z Adamem Michnikiem, przypominając, że jest jego kolegą gimnazjalnym. A mówił to wtedy, gdy Michnik siedział w więzieniu.

Olbrychski łączy aktorskie obowiązki z obywatelskimi i patriotycznymi. Dziś od aktorów nikt nie wymaga obywatelskich postaw. Wystarczy, jeśli efektownie prezentują się na okładkach kolorowych pism. A Olbrychski jest nadal sobą. Potrafił walczyć z gen. Wojciechem Jaruzelskim w stanie wojennym, podpisując liczne oświadczenia w obronie swobód politycznych w Polsce. A później, gdy ten sam Jaruzelski stracił władzę (a właściwie ją oddał), Olbrychski zmienił doń swój stosunek i potrafił nawet go bronić. Najdobitniej wyraziło się to wówczas, gdy jakiś fanatyczny wróg Jaruzelskiego rozbił mu kamieniem głowę, omal nie pozbawiając życia. Wówczas Olbrychski nie zawahał się stanąć w obronie Generała. Napisał w tej sprawie list otwarty, czym okropnie naraził się części polskiej opinii publicznej.

Był też sprawcą słynnego happeningu w warszawskiej Zachęcie przeciw wykorzystywaniu twarzy aktorskich, w tym jego własnej, w pseudoartystycznych wystawach. Pociął wówczas swoją kmicicowską szablą eksponowane fotosy aktorów w mundurach hitlerowskich. Dyrektorka Zachęty Anda Rottenberg złożyła doniesienie do prokuratury o popełnieniu przestępstwa. I zwolniła jednego z bileterów za to, że wpuścił aktora w płaszczu, pod którym ten miał ukrytą szablę.

W czasie wyborów prezydenckich Olbrychski jed-

noznacznie opowiedział się przeciw kandydaturze Lecha Wałęsy, popierając Tadeusza Mazowieckiego. Zachował się podobnie, gdy rywalami do objęcia tego urzędu byli Jarosław Kaczyński i Bronisław Komorowski, popierając kandydata Platformy Obywatelskiej, czym również naraził się części opinii publicznej.

Gdy w roku 2000 Nikita Michalkow – wybitny rosyjski artysta, a jednocześnie przyjaciel Olbrychskiego – powiedział w wywiadzie dla warszawskiej „Polityki”, że  *tęskni za dobrym carem* i próbował usprawiedliwić terror rosyjski w Czeczenii, a także sugerował, że Polska pożałuje wstąpienia do NATO, Olbrychski natychmiast zareagował ripostą zatytułowaną *Do przyjaciela Moskala* i wysłał ją do redakcji „Polityki”. Pisał: *Jeśli Nikita Michalkow, mój wielki przyjaciel, mówi w poważnym polskim tygodniku o Rosji coś, co musi niepokoić cały świat, wtedy ciepło, ale z całą surowością się z nim spieram, tak jakbym się klócił, siedząc po przeciwnych stronach jednego stołu*. Kończąc swój list, nie przebiegając w słowach, puentował: *Bulat Okudżawa by Cię wyśmiał, a Władimir Wysocki dałby Ci po głowie gitarą*.

W ostatnich wywiadach prasowych z dużą odwagą cywilną wypowiadał się przeciwko złej polityce kulturalnej oraz przeciw manipulacjom wokół katastrofy smoleńskiej. Wziął w obronę Władysława Pasikowskiego oraz Macieja Stuhra w związku z atakiem części opinii publicznej na film *Pokłosie*, czym również naraził się niektórym grupom społecznym.

## Wszechstronność Olbrychskiego

Olbrychski miał też szczęście do teatru, bo - tak jak w kinie trafił pod opiekę Andrzeja Wajdy i stał się jego ulubionym aktorem – tak w teatrze jego mistrzem i nauczycielem był Adam Hanuszkiewicz. Dostał wiele ról, o których marzy każdy aktor: Hamleta, Makbeta, Beniowskiego, Pana Młodego w *Weselu*, Kolumba...

Po filmach *Potop* i *Ziemia obiecana* do Olbrychskiego jako aktora przyłgął stereotyp: polski szlachcic, młodzieniec trochę szalony, romantyk, szlachetny z małą domieszką łotrzyka, watażki, a może nawet warchoła. Takim kochała go publiczność i takiego chciała oglądać. On czuł się najlepiej w rolach postaci z wielkiej polskiej literatury.

Olbrychski umiał i umie zagrać wszystko. Nie dał się zaszufłakować. Potrafi znaleźć się w każdym wcieleniu. Umie z dnia na dzień zmienić *emploi*, znaleźć nowy klucz do postaci, czasem diametralnie różnych (...). W roku 2011, w filmie *Z miłości* Anny Jadowskiej, Olbrychski, w przeciwieństwie do swoich wcześniejszych heroicznym ról, zagrał męczyznę słabego, złamanego, zszarganego przez kobiety (...). Jerzy Hoffman ofiarował Danielowi Olbrychskiemu prezent niebywały – obsadził go w adaptacjach filmowych dzieł literackich najbardziej swego czasu przez Pola-

ków ukochanych, dając mu trzy ważne role. Pierwszy upominek to postać Kmicica. Cała Polska dyskutowała o trafności tego wyboru. Chór przeciwników był przegromny. Gdyby Hoffman posłuchał oburzonych, nie wiadomo, jak potoczyłby się dalszy los aktorski Daniela Olbrychskiego. Wyobraźmy sobie, że wówczas nie zagrał Kmicica... A to, co zrobił z rolą Azji Tuhaj-bejowicza w *Panu Wołodyjowskim*? – to też swoisty fenomen. U Sienkiewicza Azja Tuhaj-bejowicz to postać groźna, marginalna. Ale Olbrychski potrafił zagrać ją po mistrzowsku i w efekcie swoją grą przesłonił nawet role pierwszoplanowe w całym filmie, a grali je Tadeusz Łomnicki, Andrzej Łapicki, Jan Nowicki, Mieczysław Pawlikowski.

Zupełnie inaczej zagrał starego Tuhaj-beja w Hoffmanowskiej inscenizacji *Ogniem i mieczem*. Prawie w tym samym czasie Andrzej Wajda dał mu rolę Gerwazego w *Panu Tadeuszu* – też marginalną w eposie Adama Mickiewicza. Kreacja Daniela Olbrychskiego to finezja! Perfekcyjny portret polskiego piniacza, rzadkiej barwy oszołoma, który z prywatnej nienawiści potrafi zgotować tragedię i innym, i sobie. Gerwazy to jedna, nie waham się stwierdzić, z genialnych ról Olbrychskiego, i to zagrana mickiewiczowskim wierszem, trzynastozgłoskowcem, a więc, wydawałoby się, językiem zupełnie dziś antyfilmowym.

Olbrychski nie jest zazdrosny o talent innych. Wśród aktorów to rzadkość. Nie mówi źle o swoich utalentowanych kolegach – Sturrze, Lindzie, Pszoniaku czy Sewerynie (...).

## Konkluzja

Wszystko to, co wyżej napisałem, upoważnia mnie do stwierdzenia, że Daniel Olbrychski jest postacią wyjątkową. Jego kunszt aktorski spowodował, że postacie z wielkiej polskiej literatury otrzymały jego twarz, temperament, wrażliwość i urodę oraz zapisały się trwale w naszej zbiorowej wyobraźni. Trudno sobie dziś w Polsce wyobrazić innego Kmicica, Azję Tuhaj-bejowicza, Wiktora Rubena czy Gerwazego. Jest Daniel Olbrychski twórcą ikon arcy-Polaków, humanistą umiejącym w sposób przejmujący przedstawiać ludzi uwikłanych w historię i zmagających się z egzystencjalnymi dramatami niezależnie od epoki, w której żyją. Daniel Olbrychski jest artystą o imponującym dorobku filmowym i teatralnym, artystą, który wzbogacił polską kulturę w sposób nad wyraz oryginalny i jednocześnie rozpowszechnił ją na świecie.

I za tę twórczość, za jej ogromny ładunek edukacyjny i moralny, emanujący z niej wielki humanizm i patriotyzm jesteśmy Danielowi Olbrychskiemu jako społeczności uniwersytecka wdzięczni; darując najwyższe uniwersyteckie wyróżnienie – doktorat *honoris causa*, dajemy jednocześnie wyraz, iż takie wartości cenimy sobie najwyżej i pragniemy je propagować i zwracać na nie uwagę.

Stanisław S. Nicieja



Goście uroczystości (fot. Jarosław Mokrzycki)

# Są inne czasy, inna głupota, inne podłości

(wystąpienie doktora h.c. Uniwersytetu Opolskiego Daniela Olbrychskiego)

**Magnificencjo,  
Drodzy Zebrani,  
Drodzy Przyjaciele,**

przyznam, że tak trudnej roli nie przyszło mi w moim życiu grać.

Jeszcze kilka kwadransów temu, kiedy wchodziłem tu, po schodach, i patrzyłem na te piękne togi towarzyszących mi profesorów i rektorów, a ja też jestem w kostiumie, który dopiero co mi założono, więc nie zdążyłem jeszcze się z nim oswoić i, przysięgam, już się nie oswoję – to wydawało mi się, że biorę udział w jakimś filmie kostiumowym. I nie gram roli głównej, broń Boże, tylko jestem świadkiem jakiejś pięknej uroczystości. A gdy ten cudowny chór zaczął śpiewać „Mazurka Dąbrowskiego”, naprawdę w rytmie mazurka, to wydawało mi się, że właśnie spełniają się marzenia mojej młodości (już szybko wszedłem w inną rolę!), a mianowicie, że spełnia się to, o czym marzyłem – do momentu, gdy już zrozumiałem, że nigdy tych swoich marzeń nie zrealizuję: być mistrzem olimpijskim. Pomyślałem więc sobie: *o właśnie nim jestem i grają mi hymn!*

A z tymi marzeniami jest tak, że kiedy człowiek jest niewierny, to nic – i w życiu osobistym, i w karierze – z nich nie wychodzi. Bo ja byłem pewien, że będę mistrzem olimpijskim! Kiedy w 1953 r., jako ośmiolatek, usłyszałem w radiu, na słuchawkach, pięć „Mazurków Dąbrowskiego”, bo na mistrzostwach Europy w boksie, w Warszawie, nasi wspaniali bokserzy pięć razy pod rząd zdobywali złote medale, byłem pewien: ja też będę mistrzem olimpijskim. (Oni już nie żyją, ostatni z tych wielkich bokserów, mój przyjaciel Leszek Drogosz zmarł we wrześniu ubiegłego roku). Myślałem wtedy: to dzięki mnie Polacy usłyszą „Mazurka Dąbrowskiego”! Zdobędę medale jako bokser. Potem było: jako biegacz, jako szermierz, jako kawalerzysta... No i tak z kwiatka na kwiatek, niewierny.

W końcu zostało mi, no cóż – udawanie, chowanie się za postacią w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu. A teraz, dziś, nie mam za co się schować, jestem w roli prawdziwej, aż mi się wierzyć nie chce, doktora *honoris causa*. Boję się, żeby Państwa nie zanudzić, i boję się, żeby nie wypaść z roli, do której jeszcze nie przywykłem – w miejscu, w którym tylu moich przyja-



Daniel Olbrychski (fot. Tadeusz Parcej)



Gośćmi uroczystości byli m.in. dotychczasowi rektorzy Uniwersytetu Opolskiego i przedstawiciele zaprzyjaźnionych uczelni (fot. Jarosław Mokrzycki)

ciół stało przede mną. Między nimi Adam Hanuszkiewicz, któremu dedykowałem magisterium zdobyte w okolicznościach szczególnych, dwa lata temu. Zadekowałem je mojemu dyrektorowi, mistrzowi i przyjacielowi, ponieważ jej tytuł brzmiał: *Granie w teatrze i filmie wierszem na przykładzie klasyki polskiej w oparciu o pół wieku moich aktorskich doświadczeń*.

Bardzo się cieszę, że wśród tak licznego grona wspańiałych gości i moich przyjaciół jest również Krzysztof Jasiński, który w ostatnim roku, w warszawskim Teatrze Polskim wyreżyserował *Zemstę* (gram w niej Cześnika) – z tym przedstawieniem przyjedziemy 7 kwietnia do Opola, na festiwal Klasyka Polska 2013. Łączą nas podobne gusta teatralne, zresztą nie tylko teatralne, prawda, Krzysiu? Nie spotkałem, od momentu odejścia Adama (mam nadzieję, że Adam Hanuszkiewicz, mój ojciec teatralny, patrzy na nas z góry, podobnie jak moi rodzice), polskiego, i nie tylko polskiego, reżysera obdarzonego tak wielkim, jak Krzysztof talentem.

I tu przeczytam Państwu króciutki epilog z mojej pracy magisterskiej, bo wydaje mi się, że będzie on puentą tej pięknej uroczystości, której doprawdy ciągle jeszcze nie umiem zrozumieć i nie dociera do mnie, że jestem jej – jak by to nazwał profesor Miodek – podmiotem... Jestem panu strasznie wdzięczny za recenzję, Panie Profesorze, Panu oraz jednemu z najwybitniejszych aktorów, nie tylko polskich, europejskich, ale i – nie bójmy się wielkich słów – światowych, Januszowi Gajosowi.

„To jeszcze trochę rozważań tytułem epilogu. Proponuję rektora Strzeleckiego, abym uzupełnił i zali-

czył przedmioty teoretyczne, przyjąłem bez wahania. To trochę może nietypowe i zaskakujące, ale wszystko w moim życiu takie było. Tak zwana kariera rozpoczęła się zaskakująco dla mnie wcześniej. W połowie lat 60., za radą ówczesnego rektora Jana Kreczmara, po filmie *Popioły*, opuściłem szkołę teatralną. On zresztą, jako mój opiekun na pierwszym roku, polecił mi Wajdzie do roli Rafała Olbromskiego. Wszystko wyszło mi na dobre, więc należy słuchać rektorów...

W czasie odświeżania sobie systematycznej wiedzy teoretycznej i pisania tej pracy poczułem się radośnie i – nie bójmy się wielkich słów – prawie młodo. Jestem za to wdzięczny, wdzięczny jestem też, że dzięki tej pracy uzmysłowiłem sobie, ile dał mi kontakt przez ponad pół wieku z największą i najbardziej poetycką klasyką polską. Wdzięczny jestem wielkim aktorom, których miałem szczęście podziwiać w tym repertuarze na scenach warszawskich już od dzieciństwa. Również na koncertach poetyckich w naszym liceum Batorego. Pamiętam Wojciecha Siemiona, Daniela Bargielowskiego i innych...

Już w dzieciństwie trafiłem na wspańiałych ludzi, potem w kółku recytatorskim, w Towarzystwie Przyjaciół Starej Warszawy moją wrażliwość na teatr kształtował Józef Małgorzewski, wychowanek Reduty Osterwy [eksperymentalny teatr założony przez Juliusza Osterwę i Mieczysława Limanowskiego, działający w latach 1919–1939 – przyp. red.]. Były i niezapomniane lata w Studium Poetyckim Andrzeja Konica, m.in. z Magdą Zawadzką i Markiem Perepeczką. Był tylko rok, ale jaki! w szkole teatralnej. Rek-

tor Kreczmar, Rena Tomaszewska, Zofia Małynicz, Aleksander Bardini, Janusz Warnecki, Ludwik Sempoliński – młody jeszcze bardzo Zbigniew Zapasiewicz...

Potem moje pokolenie przejmowało pałeczkę od takich mistrzów jak Tadeusz Łomnicki, Gustaw Holoubek. Nieśliśmy tę polską, najważniejszą poezję po szkołach, domach kultury, empikach, kościołach, remizach strażackich. Nieśliśmy nie tylko walory estetyczne, ta poezja współgrała z tęsknotą za wolnością i sprawiedliwością, budziła świadomość i marzenia, wyprzedzała, a potem towarzyszyła walce o realizację tych marzeń o naprawdę własnym domu. Nie można przecenić udziału tej poezji i nas, aktorów, jej heroldów, w doprowadzeniu do pierwszej „Solidarności”, pięknego i godnego przetrwania stanu wojennego, zbudowania Okrągłego Stołu i zwycięstwa w wyborach 4 czerwca 1989 roku.

Myśmy tę poezję nieśli, często poza granicami kraju; często tam, gdzie mieszkali Polacy. Jak każda wielkość i mądrość, ta klasyka chłostała i wyśmiewała nasze narodowe wady. Niestety, przyda nam się i dzisiaj, nie tylko nieomal nam współczesny Herbert, ale i Norwid, który napisał: *Jesteśmy społeczeństwem jedynego bodajże kraju w świecie, w którym nie ma jednego obywatela, który by przez rodaków swoich obśmiewanym, oplutym, ba, nawet pobitym nie był.*”

Zygmunt Krasiński – w twarz, na ulicy... Maurycy Mochnacki – w twarz, na ulicy... Władysław Zamoyński – kijem, na ulicy... Generał Józef Bem – uznany za łotra... Adam Mickiewicz – za agenta moskiewskiego... Oto jest naród polski. Naród, którego patriotyzm jest wielki, ale który jako społeczeństwo jest żaden.

*Słońce nad Polakiem stawa, a zasłania swe oczy nad człowiekiem.*

Jakże aktualny był wiersz Norwida, który recytowałem dzień przed odlotem do Francji, w stanie wojennym, przed ołtarzem w kościele Jerzego Popiełuszki:

*Ty! prawd-promienie wzięwszy za sztylety,  
Śmiesz jeszcze mniemać, żeś wódz – żeś general!  
O! niewolniku – stój – cofaj bagnety –  
Dopókiż będę za ciebie umierał?...*

A kończył się tak:

*Toć groszem twoim tuczne pułkownicy  
Własnych cię uczą mordować proroków;  
A wy – nas – wodzić śmiecie – niewolniki!...  
Nie widząc Boga-ręki u obłoków.*



Fot. Tadeusz Parcej

Jak dobrze, że tekst ten tak szybko się zdezaktualizował. Ale są inne czasy, inna głupota i inne podłości. Czekam na nowych poetów, którzy temu sprostają. Ale spokojnie, w naszej klasyce – od Kochanowskiego począwszy do Fredry – niestety, i na szczęście, znajdują się teksty na każdą pogodę.

Niestety, bo głupota i podłość w każdym pokoleniu i w każdym zakątku świata się odradza. Na szczęście – bo mamy po co uczyć naszą wspaniałą młodzież używać tych tekstów jak oręża do walki ze wszystkim, co ciemne i złe. Tą walką powinno być również kabaretowo-komediowo-piosenkowe okrutne wyśmiewanie. Polacy nie muszą tu mieć kompleksów wobec Wołdii Wysockiego. A w końcu chcę wierzyć w to, co napisał gorzki Norwid:

*Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie,  
Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic...*

I jeszcze:

*Od Anioła do Szatana  
Ta dziecina gnana, szczwana,  
Kiedyż trupem padnie?*

*I niemowląt już nie będzie  
Psalujących, jak łabędzie,  
Kiedy śmierć je kradnie.*

*I ramiona młodociane,  
W bezimienny puch rozwiane,  
Dziejów nazwą śmieciem.*

*A sto wiosen razem błysnie  
Dla zrodzonych naumyślnie,  
Skoro my odleciemy!*

Daniel Olbrychski

Stanisław Gajda

# Niepokój o Uniwersytet

1. Bieg dziejów stawia instytucję uniwersytetu w niepewnej sytuacji. Rozpowszechniona retoryka końca (por. dyskusje o końcu historii, człowieka czy o śmierci, np. podmiotu, autora) wręcz podsuwa wyrażenie *koniec uniwersytetu*. Przy czym *koniec* oznacza tu nie tyle definitywny kres, niebyt, ile dotarcie do pewnej granicy, którą trzeba przekroczyć i za którą czai się coś nowego, zapowiedź zmian.

Dotarcie do granicy skłania do namysłu, czym był uniwersytet, czym się stał i jaka czeka go przyszłość. Nie zamierzam jednak podejmować refleksji ani o uniwersytecie w ogóle, ani o uniwersytecie w Polsce. O nieustannie reformowanym polskim szkolnictwie wyższym od lat toczy się dość rachityczna intelektualnie debata, której ton zdecydowanie narzuca Pani Minister swoimi regulacjami prawnymi. Porażająca jest bezradność, bezsilność i oportunistyczny klimat środowiska akademickiego i jego formalnej reprezentacji w postaci różnych rad komisji, komitetów i konferencji (nie wyłączając Konferencji Rektorów i PAN). Niedawno pojawiła się inicjatywa *Obywatele nauki* zniecierpliwionych akademickich dołów. Czy przełamie ona panujący w środowisku pasywizm? Pragnę tu jedynie podzielić się kilkoma uwagami dotyczącymi naszego Uniwersytetu – Uniwersytetu Opolskiego.

2. Za rok będziemy obchodzić dwudziestą rocznicę powołania Uniwersytetu ustawą sejmową. Poetyka jubileuszowa tym tylko różni się od poetyki śmierci („o umarłych albo dobrze, albo wcale”), że dopuszcza wyłącznie mowę pochwalną. Rok wcześniej nie popełniam zatem nietaktu, wyrażając – nie tylko swój – niepokój i ograniczając się do wskazania zjawisk, które boją. Niech sukcesy (liczba absolwentów, profesorów, uprawnień do nadawania stopni naukowych, kierunków studiów, publikacji itd.) pozostaną tworzywem odświętnych i jubileuszowych wystąpień.

Powstanie Uniwersytetu w Opolu poprzedziła 44-letnia działalność Wyższej Szkoły Pedagogicznej. To zdanie kryje trud wielu osób, które wielkim wysiłkiem na akademickim ugorze kształtowały naukowe oblicze Opola. Bez ich mozolnego budowania i starań, bez m.in. S. Rosponda, S. Kolbuszewskiego, H. Borka, M. Kaczmarka, Z. Piaseckiego (wymieniam tylko najbliższych mi specjalizacją zmarłych profesorów), bez skutecznej pracy i wielkiego zaangażowania osób wchodzących w skład Społecznego Komitetu ds. Powołania Uniwersytetu w Opolu nie doszłoby do *Ustawy z 11 marca 1994 r.*

Wywołała ona wówczas w Opolu i poza nim różne reakcje, od euforycznych uniesień po skrajny sceptycyzm. Część środowiska zdawała sobie sprawę, ile wysiłku trzeba jeszcze włożyć w stworzenie uniwersytetu na prawdziwie uniwersytecką miarę. Spora część tak naprawdę go nie pragnęła, obawiając się zwiększonych wymagań, którym nie podoła. To, że Uniwersytet Opolski wyrósł własnymi siłami i głównie własnymi siłami się rozwijał, nie okazało się jego atutem. Zabrało dynamizującego dopływu świeżej krwi, która mogła tchnąć więcej nowego i twórczego w życie akademickie. Po części to wina mechanizmów polskiego świata naukowego, które nie zachęcały (raczej hamowały) do geograficznej mobilności. Ale jest zastanawiające, dlaczego próby przeflancowania na opolski grunt wielu wybitnych uczonych kończyły się niepowodzeniem. Dlaczego opolski epizod w ich biografii okazywał się krótkotrwały?

3. W przedjubileuszowych rozważaniach wolno mi przywołać niewygodne, jeśli nie wręcz zawstydzające rankingi, które stawiają nas nieodmiennie w końcu stawki uczelni średnich (około 50 pozycji). Wyprzedzają nas prawie wszystkie powstałe później uniwersytety. Niechlubne miejsce zajmujemy też, gdy bierze się pod uwagę efektywność w pozyskiwaniu grantów w najnowszym systemie finansowania nauki. Uniwersytet nie cieszy się również zbyt wysokim prestiżem w oczach mieszkańców regionu, w tym młodzieży licealnej (co przekłada się na wybory miejsca studiowania, zwłaszcza jej zdolniejszej i ambitniejszej części).

Wobec wielkich i mniejszych wyzwań, jakie stawia współczesny świat (w tym m.in. regulacje prawne i niż demograficzny), trudno więc o optymizm i spokojny sen. Na wyraźny spadek ducha w naszej akademickiej społeczności ma wpływ wiele czynników zewnętrznych (por. „zmierzch” Europy, rozczarowanie ostatnim polskim już prawie ćwierćwieczem, w tym traktowaniem nauki), ale niebagatelny jest także udział czynników wewnętrznych. Mamy skłonność do tego, aby naszych grzechów nie traktować jako naszej „zasługi” i przerzucać winę na „innych”. Zawsze muszą być przecież jacyś „oni”.

Trzeba się jednak zastanowić, dlaczego nasz uniwersytecki sukces jest co najwyżej połowiczny i co powinniśmy uczynić w bliższej i dalszej przyszłości. Przy czym nie mam tu na myśli codziennego bieżącego administrowania. Z góry uprzedzam także, iż nie mam gotowych, skutecznych recept, co zdradza sama

moja wypowiedź. „Onych” nie chcę szukać w jakichś „innych”, a zwłaszcza w kolejnych ekipach władz uniwersyteckich, zawężanych obiegowo najczęściej do szczebla rektorskiego. Hamulcowi „oni”, niestety, tkwią w każdym z nas, choć biorący i sprawujący władzę niosą też odpowiedzialność. Z ich zaniechań, niekompetencji i nieodpowiedzialności utkany jest również nasz uniwersytecki los.

4. Kluczowa dla myślenia o Uniwersytecie wydaje mi się kwestia kreatywności, twórczego myślenia i działania. Głośny amerykański badacz R. Florida na podstawie szeroko zakrojonych badań empirycznych w USA wyróżnił główne trzy sfery życia społecznego: produkcyjną, usługową i kreatywną (*Narodziny klasy kreatywnej*, 2002, wyd. pol. 2006). W tej ostatniej, stale rosnącej pracuje już 30% zatrudnionych, wytwarzając ponad połowę PKB. Do klasy kreatywnej zalicza m.in. badaczy. Przewodzące w rozwoju ośrodki opisuje formułą 3T (technologia, talent, tolerancja). Trzeba się chyba zgodzić z rolą przypisywaną kreatywności.

Czy nasz Uniwersytet posiada, wykorzystuje i rozwija swój kreatywny potencjał? Pytanie można uznać za wręcz obraźliwe, ale wydaje się ono oczywiste i podstawowe przy ocenie przeszłości i stanu obecnego oraz konstruowaniu przyszłości. Nie mogą go przesłaniać bieżące sprawy. Sądzę, że Uniwersytet Opolski w zbyt małym stopniu dba o posiadany kapitał kreatywności.

Co stoi na przeszkodzie w jego bardziej efektywnym wykorzystaniu? Trudno tu abstrahować od ogólnopolskich uwarunkowań. Ich wpływ na opolską sytuację może być nawet większy niż w innych ośrodkach akademickich. Mam tu na myśli przede wszystkim pauperyzację nauki w Polsce, rodzącą m.in. takie zjawiska jak wieloletowość, kuriozalną mnogość uczelni, chorobę dyplomu. A w nauce jeszcze nigdy nie osiągnął czegoś ten, kto zajmował się nią tylko w wolnych chwilach. Nasz nowy polski kapitalizm postawił też na egocentryczny indywidualizm, rozbudzając wybujałe pragnienia (zachłanność), niezdrową rywalizację oraz wszechstronną zawiść. Te psychospołeczne zjawiska dały o sobie negatywnie znać w polskich uniwersytetach, psując stosunki międzyludzkie oraz ogólną aurę intelektualno-emocjonalną.

Pokutuje standardowe przekonanie, zwłaszcza w dyscyplinach humanistycznych, iż naukę rozwija się przez wysiłek badawczy jednostek w zaciszu własnych gabinetów. Tymczasem rozwój nauki i nauk o nauce zaprzecza jednostronności tego obiegowego przekonania. Współczesna nauka wymaga również w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych zespołowego współdziałania. Ba, całe środowiska ponoszą odpowiedzialność za swoich indywidualnych i grupowych członków. Symptomatyczna była dla mnie ocena opolskiego wniosku profesorskiego przez superrecenzen-ta Centralnej Komisji ds. Tytułu i Stopni Naukowych:

„Cóż to za środowisko naukowe, które dopuszcza powstanie prac z tak podstawowymi błędami”.

Nasze opolskie środowisko jest wyraźnie sfragmentaryzowane. W dobie dominacji tendencji do inter-, multi- i transdyscyplinarności u nas podtrzymywane są i wznoszone mury. Brak zainteresowania integracją Uniwersytetu i Politechniki w jeden organizm, co dałoby uczelnię o pozycji co najmniej mocnego średniaka w skali polskiej. W Uniwersytecie przybywają – co nie zawsze jest racjonalne – nowe formalne jednostki. Wyłaniają się wydziały, w wydziałach instytuty, w instytutach katedry i zakłady. Mnożą się pieczętki, zaspokajając często chorobliwe ambicje bycia władzą. Zebrania tych jednostek najczęściej ograniczają się do spraw administracyjnych, których nieustająco przybywa. Zbyt mało jest autentycznych zespołów badawczych i dyskusji naukowych.

5. Świadectwem opolskiej akademickiej mizerii – przynajmniej dla mnie – stała się nasza uniwersytecka ksiąźnica. Gdy inne ośrodki akademickie wybudowały w ostatnich kilkunastu latach nowoczesne i nowoczesnie funkcjonujące biblioteki, my nie potrafiliśmy wykorzystać nawet powodziowej katastrofy z 1997 r., aby stworzyć jedno z centrów życia intelektualnego w każdym uniwersytecie. Degraduje się fizycznie coraz bardziej Biblioteka Główna. Zbiory rozpra-



Rys. Leszek Ołdak

sza się w wydziałowych i instytutowych oddziałach. Utrudnia się w ten sposób korzystanie z nich i uniemożliwia bezpośredni dostęp do sąsiadujących półek z różnodyscyplinową zawartością. Nie stwarza to okazji do interdyscyplinarnych spotkań filologów, filozofów, socjologów, teologów itd.

Czyżbyśmy czekali na śmierć książki i biblioteki? To, że dopuściliśmy do sytuacji, w której Biblioteka staje się coraz mniej znaczącym ośrodkiem intelektualnego życia akademickiego, nie wystawia nam dobrego świadectwa. Pustoszące czytelnice i studenci (nawet z kierunków humanistycznych!) pojawiający się w bibliotece dopiero i tylko po pieczętkę na karcie obiegowej wiele mówią o uniwersyteckiej kreatywności.

**6.** Generalnie wydaje mi się, że uprawiać naukę w Opolu jest trudniej niż w Warszawie, Krakowie czy we Wrocławiu. Wymaga to więcej wysiłku, samozaparcia, odwagi. Stosunkowo małe środowisko – rozparcelowane na jeszcze mniejsze poletka badawcze, o niezbyt bogatych tradycjach i słabej infrastrukturze oraz oddalone od większych centrów akademickich – nie dostarcza tylu bodźców intelektualnych i możliwości rozwojowych, ile większe, zasobniejsze i bardziej otwarte na świat środowiska akademickie. Łatwiej zatem popaść w uprawianie nauki prowincjonalnej, „małej” i bojaźliwej. W ten sposób rodzi się mentalny prowincjonalizm naukowy, który stanowi kulę u nogi wielu opolskich badaczy. Wytwarza się niedobra aura intelektualno-emocjonalna, którą cechuje niewiara we własne siły, zgorzknienie, zawiść, a zarazem pretensje do otoczenia i całego świata. Biada tym, którzy porywają się na coś większego. Jeśli się im udaje, stanowią żywy wyrzut sumienia, że i w Opolu można. Pozbawiają alibi, a tego nie można wybaczyć. Ten mentalny prowincjonalizm stanowił i stanowi chyba największe zagrożenie dla rozwoju opolskiego środowiska naukowego.

W sukurs idzie mu centralna polityka naukowa, która lansuje idee „flagowych” uczelni, a także tradycyjne w Polsce i nie tylko przekonanie, że lepszość badań gwarantuje stoliczność, krakowskość itd. (Nb. podziwiają je recenzenci projektów grantowych nawet z prowincjonalnych geograficznie ośrodków, którzy podobne granty kolegów ze znaczniejszych ośrodków oceniają wyżej). W ten sposób krystalizuje się podział na uczelnie badawcze i zawodowe. Te drugie mają się koncentrować na przygotowaniu absolwentów do pełnienia ról profesjonalnych w sferach produkcyjnej i usługowej. Przykre, że takiej orientacji sprzyjają głosy w samym Uniwersytecie oraz przedstawiciele niektórych środowisk pozaakademickich, domagające się od Uniwersytetu absolwentów „spełniających potrzeby rynku pracy”.

Natomiast za bardziej uzasadnione wobec środowiska akademickiego (głównie Uniwersytetu i Politechniki), uznałbym pretensje dotyczące jego wkładu w rozwój regionu. Środowisko naukowe nie może

uchylać się od moralnej współodpowiedzialności za losy najbliższego otoczenia. Jako centra kreatywności w regionie Uniwersytet i Politechnika chyba nie spełniają oczekiwań, jakie wiąże z nimi społeczeństwo. Nie wystarczy być największymi pracodawcami w regionie i wypuszczać tysiące absolwentów. Niestety, coraz mniej twórczych. Jak kształtować kreatywne społeczeństwo?

**7.** Jeśli zarzucać Uniwersytetowi relatywnie niezbyt wysoki poziom kreatywności na podstawowych polach jego działalności (badawczej, edukacyjnej oraz wpływu na otoczenie), to przy poszukiwaniu przyczyn pojawia się również pytanie o rolę liderów. Czy w środowisku akademickim brak osobowości, które mogłyby pociągnąć go w górę? Nie brak przecież w nim osób o ugruntowanej pozycji w skali ogólnopolskiej i międzynarodowej. Czy wspomniane wyżej zjawiska psychospołeczne (m.in. egocentryzm i zawiść oraz mentalny prowincjonalizm) paraliżują ich rolę kreatorów w budowaniu szerszych twórczych wspólnot?

A co z formalnymi liderami pełniącymi funkcje akademickie z wyboru lub z nominacji (od kierownika pracowni po rektora?) Niestety, wydaje się, że przytłoczeni narastającą biurokracją oraz walką o przetrwanie w obecnym kryzysie, zbyt mało uwagi poświęcają sprawom fundamentalnym. Bardziej administrują niesieni falą wydarzeń, niż sterują. Dotyka też Uniwersytet demokratyzacja w stylu, jaki obserwujemy w życiu politycznym. Wybrani i wskazani na funkcję stają się zakładnikami określonych opcji i grup, które potrafią się skutecznie zorganizować w obronie partykularnych interesów, nie służących ani nauce, ani Uniwersytetowi. Mentalny prowincjonalizm dominujący w środowisku im sprzyja. Groźne to dla Uniwersytetu.

**8.** Współczesne przemiany ograniczają autonomię uniwersytetu. Życie akademickie w coraz większym stopniu jest regulowane z zewnątrz i coraz bardziej poddaje się tej regulacji (nie tylko prawnej). Obecnie te oddziaływania zewnętrzne wpędzają nasz Uniwersytet w narastające kłopoty. Potrzeba wielkiej wewnętrznej mobilizacji wszystkich sił, aby uciec do przodu. Czy jednak stan naszego uniwersyteckiego ducha pozwala na taki wysiłek?

Posiadanie nadziei to podstawowy warunek przetrwania i rozwoju. *Universitas sperans!* To hasło dziś jest bardzo na czasie, choć świat gubi optymizm. Nie może jednak pozostać tylko werbalnym zaklęciem. Nadzieja uniwersytecka nie może być bierna. Wymaga dobrze zorganizowanej aktywności, silnej motywacji i solidarnego realizowania zadań. Tylko wówczas być może uda się nam przekroczyć koniec.



Bartosz Suwiński

# Słownik twarzy i dni

## Poezja Tomasza Różyckiego

*Świt otwiera się wraz z nadchodzącą jasnością i powierza ziemię ziemi.*

*Zmierzch czuwa nad korzeniami.*

*Świt rodzi się razem z owocem\*.*

Edmond Jabès

Pierwszy wiersz, pierwsze trzy strofy *Końca wieków*, z otwierającej poetycki kosmos konstelacji Tomasza Różyckiego, teraz, zanim przechodzić będziemy kolejne ścieżki, rozwidlenia, a krajobraz, raz po raz, zrywać będzie swą łączność z rzeczywistością:

*Ach, mówię wam, tyle znaków, tyle cudów,  
w każdej chwili: mgła rano, mgła wieczorem  
i całe miasto w jednej kaluży.*  
[W, 5]<sup>1</sup>

Powyższy fragment, będący otwarciem tomu *Vaterland*, wyznacza kierunek, w którym będzie podążał poeta, kreśląc, co rusz, nowe obrazy, wyimki z rzeczywistości, kadry kolejnych zapatrzeń, opisując drobiazgi przygody spojrzenia, obrysy rzeczywistości, lotne formy, które przyszpili formą wiersza. Jest to również poezja, która otwiera się na to wszystko, co poza<sup>2</sup>. To, co uchyla się przed istnieniem, to co nim jest i dopiero się stanie, zostanie ujęte w strofy i pod(d)ane białej kartce papieru, która stanie się sejsmografem wszystkich poruszeń poety. W debiutanckim tomie, niemalże z każdą przewracaną kartką, trafiamy na opis, niby widokówkę, przedstawiającą miesiące z ich fabularną charakterystyką. Oglądamy poetyckie kalendarium, gdzie pory roku zostały odmalowane, zatrzymane na moment, na chwilę, w swej przemianie. Silne ciężenie ku impresji, ku wystawieniu spojrzenia na migotliwe niuanse rzeczywistości, bierze prym w poezji:

*Marzec zaczyna trąbka. W pokoju obok dziecko aż porusza się przez sen, rozmawia z kimś. Sarah Vaughan miesza mleko z popiołem,*

\* Przeł. A. Wodnicki.

<sup>1</sup> Utwory Tomasza Różyckiego lokalizuję wg następującego modelu: *Wiersze*, Warszawa 2004 [W]; *Dwanaście stacji*, Kraków 2004 [DS.]; *Kolonie*, Kraków 2006 [K]; *Księga obrotów*, Kraków 2010 [KO]. W nawiasie kwadratowym podaję skrót tomu i stronę, na której znajduje się odnośny fragment.

<sup>2</sup> Zob. J. Gutorow, *Niepodległość głosu. Szkice o poezji polskiej po 1968 roku*, Kraków 2003, s. 144-146.

*cząsteczki ciemności są ciężkie od czegoś, co nie opuszcza nas od samego początku. Brakuje tylko słów. Czuć to wyraźnie, nawet deszcz omija niektóre miejsca. Właśnie te, na których położyłaś dłonie.*

[W, 18]

A w innym miejscu, spotykamy takie wersy:

*Lipiec rozpala kwartały powietrza,  
więc dobrze jest wycofać się z piekła choć na moment,  
nabrać dystansu w usta.*

[W, 9]

Rzeczywistość jest dla Różyckiego jak bujne trawy, czesane wiatrem, zmierzwiłone przy jesieni, przerzedzone zimą, bijące światłem, odbijającym się od kropli rosy wiosną, latem. Poeta wypowiada zaklęcia, zdolające przemieniać wiersze w lustra, w których odbija się świat. Blisko stąd do Miłosza, którego gest – na swoją modłę – ponawia Różycki. Gest objęcia wszystkiego ramionami wiersza, przepisania świata do poezji i tam, nieustannie forsowania słowem jego tajemnicy. Kilka widoków, zimnych kadrów:

*Październik, cierpki deszcz. Jesień choruje tu na płuca.*

[W, 12]

Lub taki:

*Owszem, listopad, dużo słońca. Zmarznęte liście kleją się do butów.*

[W, 13]

I w następnym wierszu:

*Zima, bez końca. Sto metrów dalej, na południe od katedry, mroź buduje przeprawę przez Odrę. Mimowolnie szukam w śniegu śladów, w rozchwypanych ciemnościach, zanim płomień skrzepnie w dłoniach.*

[W, 15]

A na koniec:

*Zima odstępuje, zdeptuje ogniska w sadach, zwija żagle i namioty. Bez wyraźnej przyczyny, u progu zwycięstwa, odchodzi, zdejmując płachty, prześcieradła, demaskuje las, pole i ścieżki.*

[W, 17]

Czytając poezję Różyckiego, widzimy często sekwencje spojrzeń, towarzyszących zachodzącym zmianom za oknem, tak jakby świat przeglądał się w tych utworach, szukał tam własnego odbicia i z uwagą przyglądał się swoim rysom. Poeta jawi się jako ktoś stale zajęty istnieniem, zaabsorbowany każdym detalem – mający ciągle z tyłu głowy świadomość teraźniejszych i przeszłych czasów, przełomów i historii – za którym włóczy się ulicami, odmienia to przez wszystkie swoje przypadki<sup>3</sup>. Zwraca się ku rejonom ciemnym, rytm kroków zestrzajając z tempem pojawiania się kolejnych słów, którymi może zakreślić granice dla stale wylaniających się widoków. Przywołajmy wiersz *Epilog*:

*Zasypiamy w cieniu, przy otwartym oknie, w tym czasie muzyka wykonuje drobne prace, porusza martwe przedmioty, wypuszcza całe balie powietrza. Wróble z dachu przypatrują się opowieści, strony przewracają się same, parę razy zmienia się pora dnia, sezon, epoka. Zapadają niewybaczalne decyzje. Kolory rozmnażają się na ścianie obok, rozbiegają się po meblach. Kiedy otwieram oczy, wszystko zamiera, czeka na pierwszy ruch.*

[W, 33]

Świat się uchyla, język działa z doskoku: nagle spięcie sensu i słowa zamykają w swych kadencjach kolejne westchnienia, pierwsze ruchy. Spacerować i układać słowa, odnajdywać im najbliższe pokrewieństwa z tym, wobec czego pragną być czymś więcej niż opisem – tak odczytuję dukt Różyckiego. Budowanie, mozolne, od słowa do słowa: od widzenia do obrazu. Przykładanie go do przestrzeni, odpędzanie własnych myśli, rozważających widoki, zdanie się na łaskę bądź niełaskę wewnętrznego głosu. Romansowanie ze światem, ciągle w jego stronę porywy, ciągoty, (apatie), które jak sfera psów szarpią za nogawki poeetę, by powiedzieć więcej, by nie dać się sprowadzić na manowce. Powiedzieć na głos, co się dzieje między nami – tak rozumiem Różyckiego – kto kogo jak uwodzi i gdzie nas to zaprowadzi? Nawet jeżeli bywają momenty, kiedy poecie „coraz gorzej – czytamy w wierszu *Belsunce* – znosi się cudowną postać świata” [W, 94]:

<sup>3</sup> Trafnie spostrzega K. Maliszewski: „Sercem tej poezji jest mechanizm nadbudowywania i uzupełniania, dorysowywania do szarej mapy rzeczywistości tajemniczych przejść i przesmyków” (K. Maliszewski, *Opium dla elity*, w: tegoż, *Rozproszony głosy. Notatki krytyka*, Warszawa 2006, s. 214).

*A teraz jest koniec lata, w jeden wieczór pajęczyny zarastają przejścia i puste miejsca nad rzeką. Idę i zbieram to wszystko z twarzy. Tak myślałem: przychodzić tutaj co dzień, opowiadać wszystko,*

*co jest między nami a resztą świata, ze szczegółami, i wrzucać do wody kulki chleba i zmięte kartki, okruchy ze stołu i z pościeli, niczego nie ukrywać, niech ma, niech się nażre, niech nie przychodzi więcej.*

[W, 62]

Poeta podejmuje kolejne wątki, a historia spojrzenia, co rusz, otwiera się na nowy rozdział – takie są widoki. Świat podbija w autorze *Animy* coraz rozleglejszą przestrzeń – tam chce się umościć, stamtąd chce być wydany za słowa/wydany na słowa. Muzyka tych wierszy: frazy gonią za chwilą, która dopiero co bierze na siebie istnienie. Różycki poddaje się tym nadchodzącym „obrotom”, zmienia perspektywę, dostrzega zmiany na dnie oka: nad realnością unoszą się opary, mgła, w której można się zgubić jak w bałaganie wyobraźni. Autor *Bestiarium* potrzebuje kolejnych pejzaży dla swoich samotności – dla ich rytmów, fraz, obłędów. Nie wolno mu okrzepnąć, stąd oniryczny zew, fałdka szaleństwa, opar wyobraźni, unoszący się nad tą poezją:

*Nie boję się wilka, tabletek, śmierci, czterdziestu rodzajów pustej ciemności. Boję się przywyknąć.*

[W, 135]

Ale nie boi się zapisywać świata, zadrukowywać każdy wolny spłachetek swoją sygnaturą, zwalniać miejsce w sobie, powiększać pustkę, która – jeśli się uda – zmieści, obejmie jeszcze więcej. I wciąż ulegać temu, co niestałe, rwane, co lada moment, obróci się w proch – temu nadać imię, nie przestawać walczyć z tą pokusą. Zostawiać „czarne ślady na białych powierzchniach”:

*Kiedy zacząłem pisać, nie wiedziałem jeszcze, że każde moje słowo będzie zabierało po kawałku ze świata, w zamian zostawiając jedynie miejsca puste.*

[K, 15]

I rozmyte widoki. Każda blizna, szrama, rysa wychodzi tu na jaw, dopełnia widzenie, ułomne gesty. Autor *Świata i antyświata* zrywa zasłony, odsuwa przepierzenia, odwraca sztafaże, zeszkrobuje makijaż ze swojej „ulicy krokodyli”. Przepada w świecie jak w kompozycji śliwka, jak w bystrym nurcie słomkowa witka<sup>4</sup>. Nie domyka swoich „spraw ze światem”, jego wiersze są

<sup>4</sup> „Różycki potrafi z mowy ulepić wszystko” (P. Kępiński, *Na huśtawce. Pisz, jak oddycha. Tomasz Różycki*, w: tegoż, *Bez stempla. Opowieści o wierszach*, Wrocław 2007, s. 77).

jak odłamki rozbitego lustra, na których widzimy (jak świat stroi miny „i coraz więcej ma swoich wariantów / i ciut się waha, nim weźmie ostatni” [KO, 11]): spacerujących wzdłuż rzeki – jak u Mandelsztama – „bezsennie majaczącej”; „Wczoraj wrzuciłem / chleb do wody i patrzyłem z daleka, jak mąci się [W, 48]. Kanały, których wyziewy tworzą nowy alfabet cząsteczek powietrza; a „Rośliny mają / kolor ścięgien i żył [W, 129]. Początek wiosny, kiedy brudna woda połyka czystą rosę, a błoto chrzęści pod ciężarem śmieci; „Wiosna / w nocy śnię o twych udach, dnie spędzam na postach” [W, 113]. Poranki krygujące się do światła; „Przebudzony słońcem, / dotknięty przez usta dnia, naznaczony palcem, / rankiem zraniony, światłem świata ranny w walce” [W, 178]. Spacerujących brzegiem morza, z nadzieją, że horyzont otworzy się im pytaniem, na które znajdą odpowiedzi; „Wieczorem wyruszą / w morze kutry i łodzie, a we mnie na nowo / ruszy dzika maszynka, wprawiająca głowę / i wszystkie elementy w taniec [K, 29]. Wici spojrzenia zmacone na tafli, widoki wytracone z posad realności, osuwające się za kotary luno; „Potem / godnie iść na dno tutejszego baru, / z całą załogą i dowództwem floty” [KO, 12]. Lipcowy upał, zatykający wszystkie pory powietrza, między jabłoniemi, o świcie, gdzie trawy sięgają po kostki, a wzgórze niewyraźnie, rysują się ponad sadem, przedzierają się przez mgły; „Ach, napiłby się wina, trochę przepadł / w tych słonecznikach, w tych młodych orzechach” [KO, 71]. Noce w ogrodach, kiedy zmierzch bierze pierwszą wartość; „Ciemność rozdarła jednym szarpnięciem / jak czarna sukienka w noc po pogrzebie” [K, 47]. Języki burzy, metaliczne zgrzyty w miękkim puchu cumulusów; „Ziarno / pod powieką nieba nabiera już krwi” [W, 102]. Jaskółki, które ciągną za sobą ożywcze deszcze, granice języka w zaświaty; „I dni się na razie chyba / w metalicznym oddechu, na końcu języka [KO, 58]. Kraje skąd przybywają wiatry, skąd wzrok skacze za horyzonty, szuka innej miary; „Są kraje, / gdzie zimują kolory i ciepły wiatr i dzikie / gęsi tam lecą. Ich nocne, wysoko, gę, gę [KO, 39]. Październikową ociążałość lata, przywołaną nagle zielonym liściem, wśród koloni zetlałych barw, na skręconym w ósemkę konarze; „To październik, owady sprowadzają się w miejsca / o kobiecym zapachu” [K, 79]. Ciemne nawoływania wulkanów, wystawione ku brzegom; „Ja pożeram sierpień i październik, / ja wypijam morze, teraz już mnie nie porwie, teraz / jestem ciężki [K, 60]. Zimowe noce zabite na głucho; „Na początku grudnia mróz obgryza słone brzegi miasta, / bezdomny” [W, 14]. Antyświat jako rewers przezroczystości, pustkę jako jedną z form bycia, na podmytym brzegu, wciąż wypłukiwaną z treści; „Kamienice są stare, ale wyglądają, / jakby je tutaj ktoś przesadził, kalecząc twarde korzenie” [DS, 66]. Miesiące przesuwane się po stronach, wszystkie poniechane światy i ciche drgania muzyki wieczora; bo „są takie sny, które nie śpią nigdy” [W, 123].

Różycki prowadzi nas po miedzach, gdzie zioła



Tomasz Różycki (fot. Tadeusz Parcej)

wiążą się w bukiety, które rozgania wiatr na wszystkie strony. Możemy „Oddychać ich klimatem, chłonną ciemny fluid”<sup>5</sup>. I na koniec zostaje to marzenie, by zobaczyć kiedyś: nagi sad, nagi świat. Słownik twarzy i dni, leksykon tych wszystkich poruszeń, kiedy forma świata wymyka się określeniu, a skończona forma wiersza, uprzytomnia płynność opisywanych zjawisk. Zgrzyt. Wziąć ostatni obrót: wystawić się na słony deszcz, na gryzący dym, na kurzawę bryzy – znaki szczególnie opleść słowem jak bluszcz mury, na rogatkach miasta, gdzie nie zanoszą się tak szybko pył – przyjmować cierpliwie razy od świata. Ćwiczyć w nieskończoność *Ósemkę znad Niemna*:

*Było, że wrócił w pochmurne powiaty  
po wielu latach. Tam, gdzie się zawija  
błyszcząca rzeka między pagórkami.  
I świat w niej co dzień brodzi jakby zmywał  
z siebie ten hałas i czarny tłuszcz spaliny  
ze swojej młodej twarzy, gdy przepływa  
obok obłok pod betonowym mostem,  
i myszółów przypięty ponad wioską.*  
[KO, 78]

**Bartosz Suwiński**

<sup>5</sup> P. Próchniak, *Żywy towar, opium (notatki o «Kolonjach» Tomasza Różyckiego)*, w: tegoż, *Wiersze na wietrze (szkice, notatki)*, Kraków 2008, s. 251.

## Okno zimowe 2013

Jan Goczoł

Zdawało się,  
niezmienny co najmniej od piętnastu lat  
wieczorny obraz północno-wschodniego nieba  
niespodziewanie pęknął – od tych grudniowych chłódów,  
czy co?

Dochodzące stamtąd wiekowicze pieśni Kalevali  
zamilkły, jakby nigdy ich nie było.

Załamionymi od mrozu oczami patrzę dzisiaj,  
jak drżąco opada w dół najjaśniejsza z gwiazd.

– To rejsowe światło sygnalizacyjne samolotu,  
leżącego skądś do kądś tam – poucza mnie wnuk  
wrozumiałe.

*styczeń – luty 2013*

\* \* \*

Wiersz, który szuka siebie,  
o głodzie i chłodzie szuka wciąż na nowo  
w grudniowe noce 2012 roku,  
chłodne jak wykład z propedeutyki logiki.

Rano w powietrzu za szybami okna widać  
jakieś niewyraźne ślady jakby zaschniętej krwi.  
Po zderzeniu pamięci z pamięcią  
niepewnej swego?

*grudzień 2012 – luty 2013*



Fot. Tadeusz Parcej

Łukasz Kropiowski

# Czas rodzenia i czas umierania

## Refleksja na temat malarstwa Krzysztofa Buckiego

Oglądając obrazy Krzysztofa Buckiego, możemy napotkać dwie bardzo odmienne rzeczywistości. Pierwszy świat zamieszkiwany jest przez tęgich gospodarzy, o obliczach może niezbyt inteligentnych, ale sympatycznych i rumianych. Ich atrybutem jest spasiona gęś trzymana pod pachą, a mottem zadowolenie z siebie i z życia. Drugi – przez poszarzałe indywidua: rachityczne, o pustych oczach i wiotkiej skórze, na której kładzie się cieniem śmierć (albo zbyt dużo papierosów wypalonych podczas zbyt długiego ślęczenia nocą nad traktatem Kierkegaarda). Artysta w równym stopniu czuje pociąg do malarstwa rodzajowego – nieco sentymentalnego, ale niepozbawionego humoru – i mrocznych metafor (gdyż jeśli ktoś chciałby klasyfikować malarstwo Buckiego, jego najlepsze przejawy to tzw. metafora malarska). Wbrew temu, czego można by się spodziewać po tak jaskrawej dycho- tomii, twórczości Buckiego nie dzieli wyraźnie zaznaczona granica, wprost przeciwnie – te dwa światy łączą się i przenikają w rozmaitych konfiguracjach. Farmer oraz upiór to dwa skrajne punkty skali malarstwa artysty, pomiędzy nimi rozciąga się cała gama bytów pośrednich.

Cofnijmy się jednak o krok i rzućmy okiem na początki malarstwa Buckiego oraz na jego formę. W wielkim skrócie: zanim postaci chłopów i zjaw zawładnęły płótnami, artysta podejmował eksperymenty z abstrakcją geometryczną. Tworzył zrytmizowane kompozycje reliefowe, używając zróżnicowanych materiałów: drewna, metalu, tworzyw sztucznych, tkanin czy gipsu. Prace poddane były surowemu rygorowi matematycznemu i nad ich strukturą panował zdyscyplinowany, geometryczny podział przestrzeni.

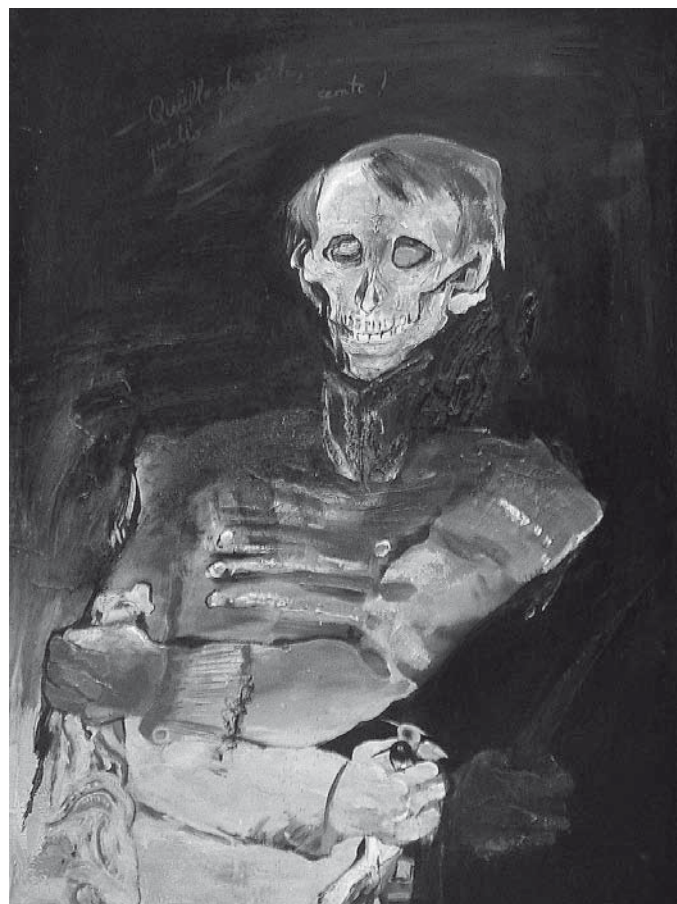
Okres matematyczny nie trwał długo. Artysta szybko i całkowicie zwrócił się ku przedstawieniom figuratywnym. Jednakże w jego pracach pozostało upodobanie do geometrycznych podziałów kompozycji. Skłonność ta przejawiała się w wyraźnie wyznaczanych kierunkach układu przestrzeni – elementach wertykalnych i horyzontalnych, oraz ukazywaniu postaci w ramach geometrii – dosłownie: na tle prostokątów okien i drzwi czy łuków wnęk.

W malarstwie figuratywnym różnorodność materiałową abstrakcyjnych reliefów zastąpił Buc-

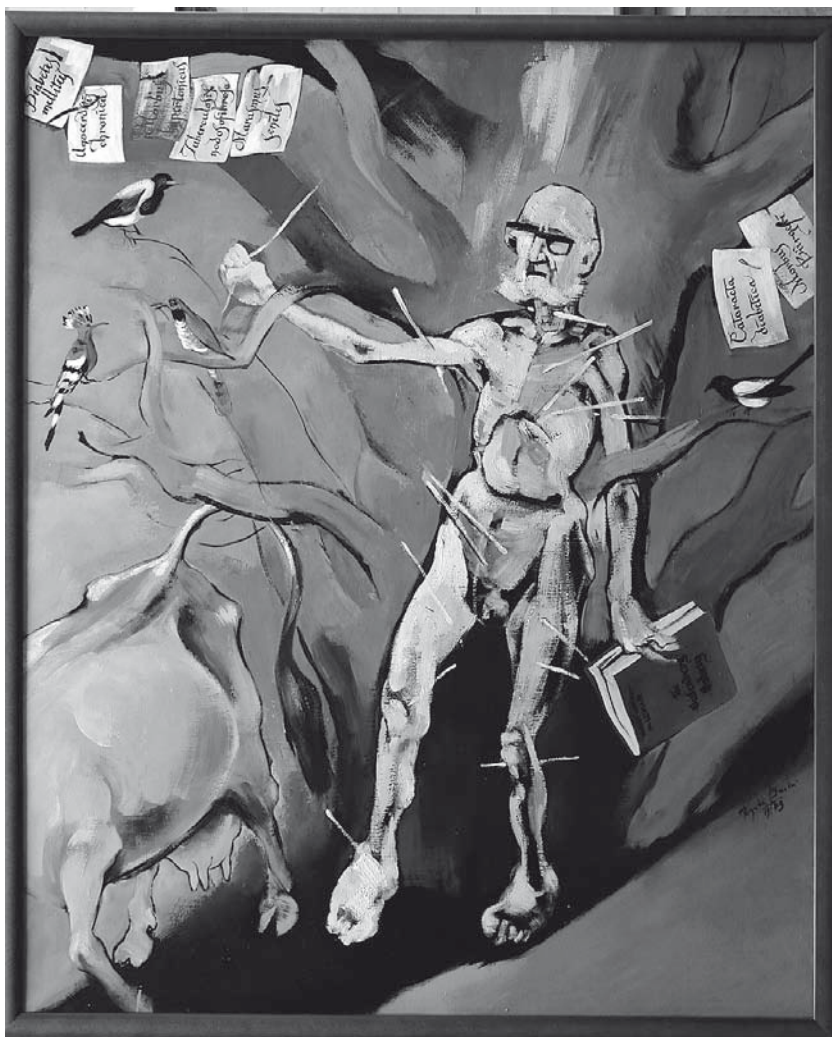
ki różnorodnością sposobów kreowania przedstawień. Zestawiał swobodne płaszczyzny koloru z wyraźnym konturem ujmującym detal, czasem niemal kaligraficzny. Łączył linearyzm z plamą barwną i w zależności od zamierzonego efektu dawał pierwszeństwo jednej z tych metod budowania formy. W obrębie jednego płótna przeciwstawiał gładkość faktury fragmentom obrazu subtelnie działającym materią farby, nadającym kompozycji ekspresji.

Analizując zagadnienia formalne, należy jeszcze wspomnieć o upodobaniach kolorystycznych artysty. Bucki używał zarówno gamy barw przełamanych szarością, matowych, jakby wyblakłych, jak i gamy czystej i lśniącej, ale z reguły obu używał oszczędnie, budując kompozycje na niewielkiej liczbie kolorów.

Uczyniwszy zadość genezie i analizie formalnej, po-



Krzysztof Bucki, *Autoportret czarny* (1967)



Krzysztof Bucki, *Rafał Urban jako św. Sebastian* (1973)

wróćmy do wyżej wspomnianych dwóch światów. Jak zostało już powiedziane, drapieżna metafora oraz spokojne pejzaże, sceny rodzajowe i portrety przenikały się: czasem w landszafcie zdawała się być zakodowana jakaś głęboka i trudna myśl, a czasem mroczna scena poprzez jakiś szczegół nabierała wydźwięku niemal humorystycznego.

Pomiędzy sielanką a horrorem znajdowały się: małe uliczki, zagracone stodoły, oblażący tynk, szare niebo, a pod nim akrobaci, szachiści i żebracy. Miejsca, przed-

mioty i postaci z jednej strony broniące się przed strumieniem czasu, odporne na nowość, z drugiej strony mocno nadgryzione przez ząb tego, któremu próbują stawić czoła. Wydaje mi się, że **c z a s** właśnie jest wspólnym mianownikiem malarstwa Buckiego i kluczem do jego rozumienia. Pozorną sprzeczność dwóch światów wyjaśnia definicja czasu autorstwa Artura Schopenhauera: „możliwość przeciwstawnych określeń tej samej rzeczy”. Są to dwie strony jednej egzystencjalnej monety: życie i śmierć z wszystkimi stanami pośrednimi. Linia twórczości Buckiego biegnie od kołyski po trumnę, obejmując Święto Plonów i taniec śmierci, okowitę i kropłówkę, *arbor vitae* i *vanitas*.

Doskonałym przykładem tego może być portret *Pozdrowcie sąsiadów* – dziwna scena rozgrywająca się w sali szpitalnej: człowiek ubrany w piżamę przypominającą więzienny (obozowy) pasiak siedzi na łóżku, u jego stóp malutki i łysy, niczym lalka, niemowlak sadowi się na miniaturowym nocniku, a zza łóżka wychyla

głowę chłopczek w wieku szkolnym, odziany w zimową czapkę, jakby właśnie wrócił po ulepieniu bałwana. Jest to oryginalnie ujęty klasyczny malarski temat: „trzy etapy życia człowieka”. Tytuł zdaje się jednak być pożegnaniem i forować śmierć.

Myśl o życiu w obliczu śmierci (i na odwrót) powraca w wielu obrazach artysty – czasem subtelna, ledwo zauważalna, tkwiąca gdzieś w głębi przedstawienia, ewokowana przez jakiś szczegół, a czasem wyeksponowana, jednak zawsze z akcentem ironii. Kilka

Krzysztof Bucki urodził się w 1936 roku w Pińczowie. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, studiując malarstwo w pracowniach: Jana Świdorskiego i Wacława Taranczewskiego oraz grafikę u Konrada Szrednickiego (litografia) i Ludwika Gardowackiego (drzeworyt). Dyplom uzyskał w 1959 r.

W 1960 roku przeniósł się do Opola, gdzie podjął pracę w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych. W latach 1974-1976 pracował w cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, w Zakładzie Wychowania Plastycznego. Jest laureatem licznych nagród i wyróżnień m.in. nagrody na Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie (1964, 1972), Nagrody Wojewódzkiej (Opole, 1969, 1974), Nagrody Miasta Opola (1970), Nagrody im. Jana Cybisa (1974). Odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi (1974).

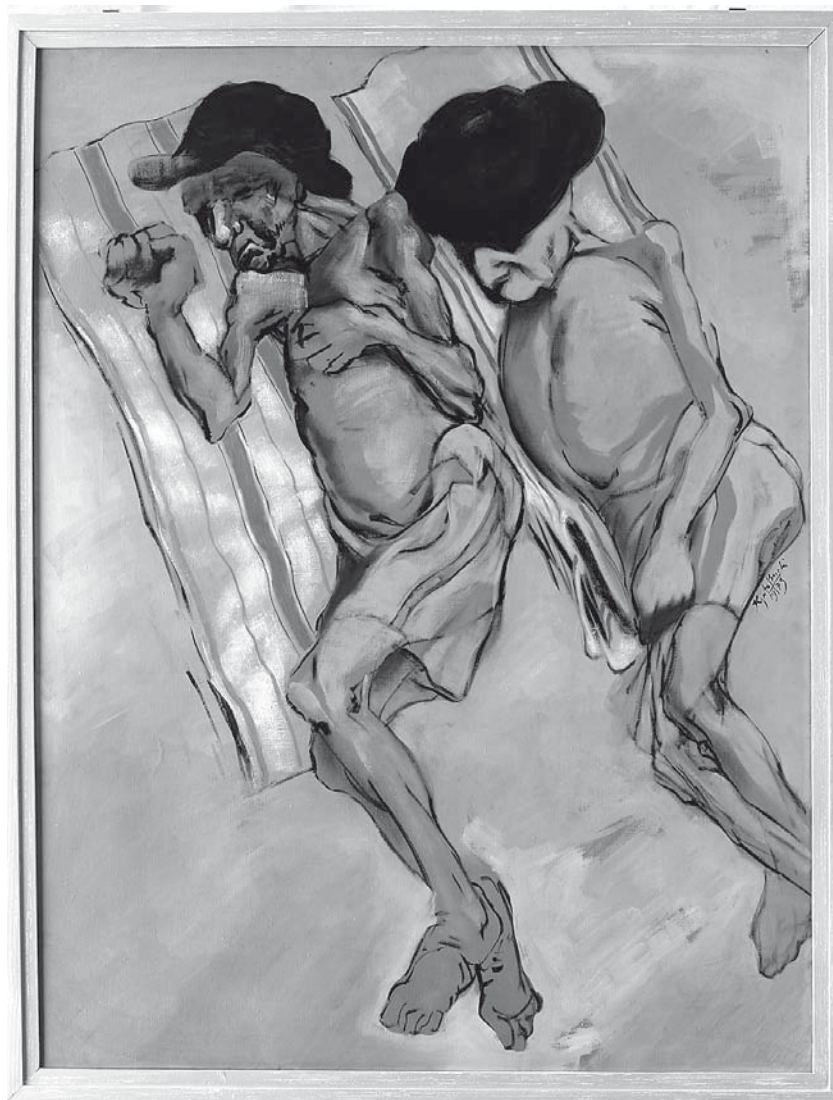
Zmarł 5 lutego 1983 roku w Opolu.

ciekawych przykładów: *Rafała Urbana* przedstawia malarz jako świętego Sebastiana umierającego pod drzewem, na którego gałęziach przysiadły ptaki różnych gatunków, a pod jego koroną popasa zieloniutka krowa. Właściwie poza portretowanego jest dwuznaczna: nie wiadomo, czy już umiera, czy jednak jeszcze popędza krowę. Oś metaforyczna obrazu to: agonia – witalność, śmierć męczeńska – życie wieczne.

*Autoportret* maluje Bucki jakby zwielokrotniony, ale nie przez multiplikację wizerunku, a przez pryzmat nawarstwienia czasu właśnie, nakładania się przeszłości i przyszłości. Swą sylwetkę ukazuje odzianą w historyczny mundur (również objaw typowej dla artysty ironii), a twarz jakby z pośmiertnego konterfektu zniekształconego rozkładem ciała. Spod wizerunku wyziera czaszka – maska śmierci ostatecznie upodabniająca wszystkich ludzi do siebie. Tu również pojawiają się ptaki, są uwięzione w rękach artysty.

W scenie *Nad Morzem Czarnym* spotykamy dwa wygrzewające się na ręczniku poszarzałe umrzyki, jeden – mimo swojej trupiej kondycji – obdarzony jest wydatnym brzuchem. Ich karnacja zlewa się z szarością piasku (dziwnie przypominającego popiół). Podobna szara atmosfera charakteryzuje obraz *100*, gdzie wyblakły koloryt zdaje się pochłaniać przedstawioną na nim postać. Eteryczny mężczyzna (jego zwiewność kojarzy się raczej z chmurą gazu niż ze snem o lataniu) siedzi za stołem, skromnie zastawionym, choć pełnym przedmiotów. Jajko i cytryny otoczone są spodkami, pustymi talerzykami, łyżeczkami, kluczami i drobnym śmieciem. Postać uśmiechnięta (uśmiech jest senny, nieprzytomny) trzyma w ręce pustą kartę, która nie okaże się chyba asem; świadczy raczej o wątpliwej przychylności losu i niepewnej przyszłości.

Dwa ostatnie obrazy to świetne przykłady czystej metafory, która przy całym dramatycznym wydźwięku pełna jest ironii i rozgrywa się w sztafażu powszednich czynności: przy plażowaniu i przy śniadaniu. Drugą stroną taktyki malarskiej Buckiego jest rodzajowość z metaforyczną podszewką. Często przejawia się nawarstwianiem z pozoru zwyczajnych przedmiotów. Mnogość drobnej, zakurzonej materii nasuwa niepokojącą



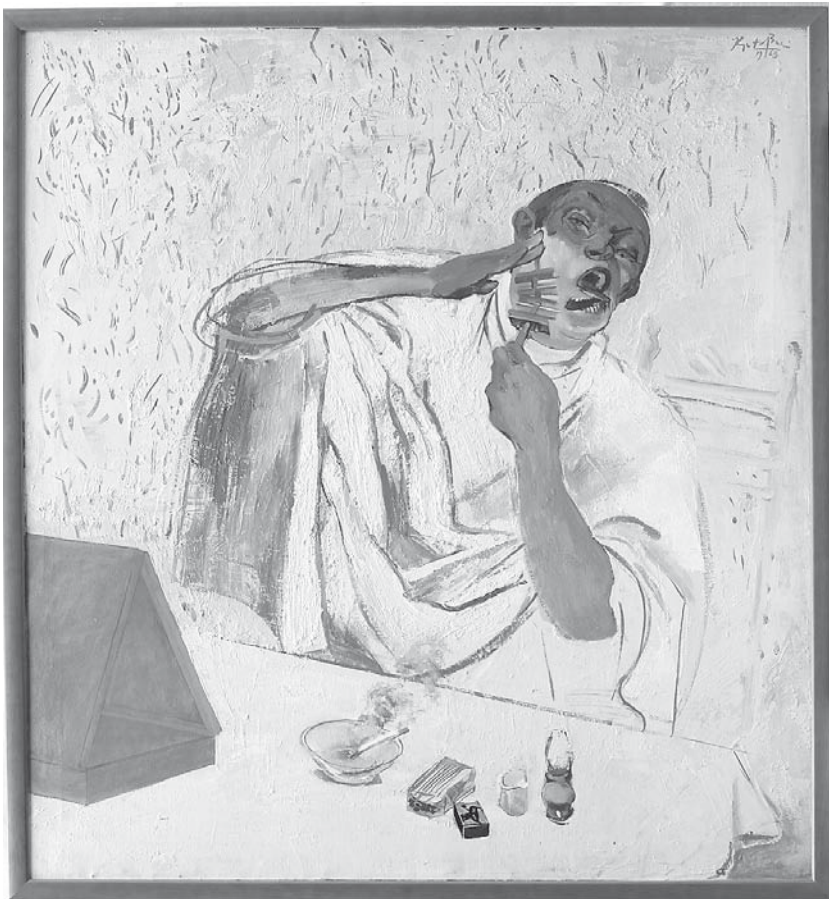
Krzysztof Bucki, *Nad Morzem Czarnym* (1974)

myśl o jej skłonności do zużywania się – pleśnienia, butwienia, gnicia – a w końcu przemijania (jakże tradycyjny motyw malarstwa).

Objawia się również w wesołych, nieco teatralnych, scenach z życia prowincji – śpiącym *Muzykantom* wygraża niewyraźny cień, siedząca na koniu dziewczynka góruje nad zgromadzeniem staruszek (*Joasia w Paczkowie*), włóczęga w łachmanach, z kundlem u jedynej nogi pojawia się w obramieniu klasycyzującej architektury, gdzie wzrok szuka raczej świętej figury (*Mateusz*).

Jednym z najoryginalniejszych ujęć tego typu jest znakomity obraz *Golący się*. Usta i maszynka do golenia tytułowej postaci są zwielokrotnione, trochę na futurystyczną modłę, ukazując szybki ruch. Toaleta – przy już zapalonym porannym papierosie, dymiącym nieopodal w popielniczkę – nabiera znamion gwałtowności: ruch ostrza przy gardle, usta wykrzywione w grymasie, nadają scenie drapieżności i z całą pewnością kierują myśli poza zabiegi kosmetyczne.

Kończąc tę krótką refleksję o twórczości Krzysztofa Buckiego, dodajmy, że pod koniec życia artysta



Krzysztof Bucki, *Autoportret przy goleniu* (1968)

czas ułaskawił. Skłonił się ku motywom religijnym. Wprawdzie upiory nie opuściły jego obrazów, jak choćby na wizerunku św. Jana otoczonego mrocznymi mocami, to jednak przedstawiając Boga-Człowieka, cierpiącego, ale zwycięskiego (seria *Ecce Homo, Zmartwychwstały*), daje wyraz wierze w ostateczne zwycięstwo *czasu życia*, okupione jednak wcześniej nieuchronną śmiercią.

Wielu twórców uprawiało metaforę malarską. Tym, co wyróżnia Buckiego, jest – używając może niezgrabnego, ale pasującego sformułowania – rozmach metaforyczny w kształtowaniu przedstawień – ironiczna swoboda i przewrotność kontrastów. Bo nie często można zobaczyć męczennika w agonii poganiającego krowę (zieloną!), czy nieboszczyka na urlopie, a przy tym wyobrażenia te wychodzą na płótnach artysty bez spodziewanej pretensjonalności i zaskakująco pogodnie, jak na tak drastyczne sceny.

**Lukasz Kropiowski**

Reprodukcje obrazów z kolekcji  
Muzeum Śląska Opolskiego

## Kolekcja prac Krzysztofa Buckiego w zbiorach Muzeum Śląska Opolskiego

Pierwszy obraz Krzysztofa Buckiego trafił do zbiorów Muzeum Śląska Opolskiego w roku 1968. Była to praca zatytułowana *Wielki dach*, zakupiona od 32-letniego wówczas malarza za cenę 4 tys. złotych. Do czasu śmierci artysty w zbiorach naszego muzeum znalazło się łącznie 14 jego prac. Ostatnie zakupione zostały z wystawy indywidualnej Krzysztofa Buckiego, jaka odbyła się w salonie BWA przy ul. Ozimskiej 10 na przełomie 1981 i 1982 roku.

Kolekcja stale się rozwija poprzez sukcesywne zakupy oraz hojne dary pani Krystyny Buckiej, żony ma-

larza. Ofiarowała ona kilkadziesiąt zdjęć, plakaty wystaw, dokumenty, a w ubiegłym roku niezwykle cenny zbiór nieznanych dotąd 79 obrazów olejnych z pierwszego okresu twórczości malarza oraz matryce do linorytów, które Bucki wykonywał w pierwszej połowie lat 60. XX w. Przejmując te prace, muzeum znacząco rozbudowało i uzupełniło istniejącą kolekcję, wzbogacając się w materiał z najwcześniejszego okresu twórczości, który nie był dotychczas szczególnie znany.

Ogółem w zbiorach Muzeum Śląska Opolskiego znajduje się dziś 108 obrazów z różnych okresów



twórczości, zespół szkiców artysty oraz wzmiankowane wyżej matryce do linorytów, fotografie i dokumenty malarza. Prześledzić możemy całą drogę twórczą Krzysztofa Buckiego – od studenckich obrazów, które pokazują, jak młody adept próbował różnych sposobów malarskiej ekspresji, poprzez fascynację abstrakcją geometryczną aż do malarstwa figuratywnego, do którego powraca Bucki w połowie lat 60. i które także przechodzi różne fazy.

Wiele nowych nabytków (poddanych uprzednio konserwacji) wraz z wybranymi pracami przechowywanymi w Muzeach Narodowych w Warszawie, Krakowie i Szczecinie oraz w Muzeum Ziemi Lubuskiej

w Zielonej Górze zamierzaliśmy pokazać opolskiej publiczności w bieżącym roku, w trzydziestą rocznicę śmierci malarza. Niestety, trudna sytuacja finansowa Muzeum Śląska Opolskiego w 2013 roku spowodowała konieczność weryfikacji planów wystawienniczych i przełożenia planowanej prezentacji na przyszłość.

Namiastkę wystawy znaleźć można na stałej wystawie *Sztuka środowiska opolskiego po 1945 roku*, gdzie zwiedzający znajdą kilka wybranych obrazów Krzysztofa Buckiego z lat 60. i 70. XX w.

*Materiały informacyjne Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu*



Krzysztof Bucki, *Sucha grusza* (1968), obraz ze zbiorów Muzeum Śląska Opolskiego

Barbara Stankiewicz

# Akwarela

## Krzysztof Bucki na portrecie Jana Goczoła

Na tych zdjęciach są młodzi, rozgadani i roześmiani. Bucki przed chwilą włożył do butonierki Goczoła kuliasty dmuchawiec, Jodłowski wysunął do przodu dłoń, jakby trzymał w niej telefon komórkowy, ale to przecież niemożliwe, więc to raczej jakiś liść.

Bo działo się to w czasach, kiedy komórek nie było. A mimo to ludzie nie tylko do siebie mówili, ale i ze sobą rozmawiali.

Na zdjęciu stoją: Marek Jodłowski (poeta, pisarz, publicysta, zmarł 21 lat temu), Krzysztof Bucki (malarz, zmarł 5 lutego 1983 r.) i Jan Goczoł (poeta, pisarz, publicysta). Stoją nad opolską Młynówką, obok „Musiołówki”, co sprawia, że na zdjęciu jest i ten czwarty, bardzo w tej historii ważny, choć nieobecny: Karol Musioł (legendarny Papa Musioł, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w latach 1952–1965, nie żyje od trzydziestu lat). Gdyby nie on, w Opolu nie byłoby przecież Krzysztofa Buckiego.

Którego portret, koniecznie zwiewną, pastelową akwarelę, jego przyjacieli Jan Goczoł namalowałby tak.

– Krzysztof urodził się w Pińczowie, skąd wyjechali całą rodziną do Świnoujścia. Opowiadał, że zamieszkali w domu obok koszar radzieckich, tuż przy murze. Zgodnie z regulaminem sił zbrojnych ZSRR wszędzie tam, gdzie radzieccy żołnierze stacjonowali, obowiązywał czas moskiewski (to jest trzy godziny różnicy w stosunku do czasu obowiązującego w Polsce). Stąd rodzinę Buckich budził zwykle bładym świtem sygnał trąbki na pobudkę, po czym na placu odbywał się capstrzyk. Za to szybko zapadała wieczorna cisza – żołnierze szli spać bardzo wcześnie, także według moskiewskiego czasu.

Po studiach w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na krótko wrócił do Świnoujścia, a z końcem 1960 r. zjawił się w Opolu. To był czas, kiedy zlatywało się tu całym stadem kolorowe ptactwo, a wśród nich malarze: Wicek Maszkowski, Rysiu Kowal, Bogumił Buczyński, Jan Szczyrba, Henryk Rachwański... Wcześniej, w pierwszym stadzie, które tu przyfrunęło też z krakowskiej ASP, byli: Jerzy Beski, Przybysław Krajewski, Ernest Kulik, Marian Szczerba, Franciszek



Nad opolską Młynówką. Od lewej: Marek Jodłowski (Olejarczyk), Krzysztof Bucki, Jan Goczoł

Pikuła, rzeźbiarz Marian Nowak, z warszawskiej ASP – Tadeusz Wencel i Józef Niedźwiecki, a jeszcze wcześniej – grafik Władysław Początek, rzeźbiarz Antoni Mehl... I ci przybysze z Polski zjawiali się pewnego dnia, stawiali walizkę w gabinecie Papy Musioła, a ten rozradowany (*bardzo potrzebujemy w Opolu artystów*), z miejsca szukał im zakwaterowania. Taki był wtedy klimat, tak tworzyło się w mieście kolorowe środowisko. Ja byłem wtedy studentem, pisywałem już wiersze...

Poznałem go na jakiejś wspólnej zabawie plastyków i literatów, w siedzibie związku literatów – później był to Klub Związków Twórczych i siedziba Teatru 13 Rzędów. Krzysztof przyszedł z ówczesną żoną, tragicznie później zmarłą matką Joasi, córki Krzysztofa. To była żywiołowa dziewczyna, góralka, z którą parę razy zatańczyłem. On nie tańczył, stał w drzwiach, oparty o framugę, w takiej charakterystycznej jasnoczerwonej kamizelce.

Wkrótce spotkaliśmy się ponownie, zaprosił mnie i moją żonę Małgorzatę do swojej pracowni, w kamienicy stojącej u zbiegu ulic Sienkiewicza i Sądowej. To była piwnica, której okienko wychodziło na Sienkiewicza, często stała w niej woda, stąd Krzysztof ustawił na podłodze drewniane podesty. W tamtym czasie jego obrazy były pełne geometrycznych brył, to malarstwo ocierało się o abstrakcjonizm. A wtedy, w pracowni, Krzysztof pokazał mi jasną, kolorową akwarelę, namalowaną na zwykłym kartonie, pełną rybek, roślin... To był prezent dla jego córki Joasi, którą po śmierci jego pierwszej żony wychowywali jej rodzice. Jeśli dobrze pamiętam, miał to być i prezent urodzinowy, i z okazji zdania przez Joasię do drugiej klasy szkoły podstawowej.

W tym samym dniu jakiś młody człowiek stracił panowanie nad samochodem, podarowanym mu przez ojca za zdaną maturę. Chodnikiem, na który wjechał, szły uczennice. Joasia, córka Krzysztofa, zginęła na miejscu.

– Krzysztof wycofał się. Był nieobecny, i ciałem, i duchem. Gdzieś po roku dopiero zdecydował się na uczestnictwo w wystawie w Klubie Związków Twórczych, którego prezesem właśnie zostałem. Przed jego obrazem stanąłem jak wryty: krowi zaprzęg, który prowadziła kobieta. Przed oczyma stanęła mi moja mama.

I wtedy, w tej pełnej magii chwili, usłyszałem drwiący głos jednego z dziennikarzy, który już wcześniej próbował mi za moją śląskość dokuczać (raz doszło nawet do szamotaniny, przewróciłem wtedy stolik): *Widzę, że tu teraz z krowami ślązaczysz...* Stałem w milczeniu jak sparaliżowany, po czym wyszedłem



Krowi zaprzęg – prezent od Krzysztofa Buckiego

z sali, usiadłem pod ratuszowymi arkadami. Po chwili zjawił się Krzysztof, który widział to zajście. Powiedział: *jeśli masz czas i ochotę, zapraszam cię, z moimi przyjaciółmi, do nowej pracowni*. A miał ją na strychu wieżowca na Rondzie, w pomieszczeniu, w którym dawniej była stacja przekaźnikowa. Był Krzysztof, ja, Bogumił Buczyński i Wicek Maszkowski. Piliśmy wódkę, gawędziliśmy... Wicek opowiadał, że pochodzi z Żytomierza. Mnie się wyrwało: *o, to z takich dalekich kresów...* Jakże się Maszkowski zaperzył: *Ty mnie nie obrażaj! Kresy to były daleko od nas, pod Kijowem, my byliśmy w centrum Polski!* Na to swoimi stronami chciał się pochwalić Bogumił Buczyński, syn kowala, gdzieś znad Warty – Wicek szybko go zgasił, że na pewno rozwalony pegeer tam teraz stoi, w majątku po niemieckim grafie, nie ma co tam jechać...

Z tego wieczoru pamiętam też niesamowity widok miasta – oglądaliśmy je z wysokości tarasu okalającego dach wieżowca. Nawet wiersz wtedy na kawałku kartonu napisałem o tym, że *w poprzek latarni miasto wędruje...*

Krótko po tej wystawie w Klubie Związków Twórczych Krzysztof zjawił się w naszym domu na Półwsi. Przywiózł mi w prezencie ten obraz z krowim zaprzęgiem, który wisi w moim pokoju do dziś. Pamiętam, że było ciepło, wiosennie, siedzieliśmy w ogrodzie, Krzysztof zwrócił mi uwagę na niezwykle rysunek łodygi pokrzywy, pełen wspaniałej symetrii... W inny sposób zacząłem przyglądać się roślinom. I wtedy właśnie powiedział, że bardzo chciałby zobaczyć z bliska taki krowi zaprzęg. Ja mu na to, że w takim razie czas pojechać do mojej rodzinnej Rozmierzy.

Pojechaliśmy pociągiem do Szymiszowa, skąd pieszo ruszyliśmy do Rozmierzy. Cztery, może pięć kilometrów, polami i łąkami. Poprowadziłem go na cmentarz, potem do mojego domu rodzinnego. Mama akurat zrobiła świeże masło. Dała nam kawałek, wlała do bańki maślankę i ruszyliśmy przez wieś, na pola, piec ziemniaki. Po drodze Krzysztof szkicował. Na końcu wsi, tam gdzie płynęła rzeczka Młynówka, były małe źródła, *młynki*, od których nazwę wzięła nasza Młynówka. I w tej pulsującej wodzie brodził Stanik, czyli Stanisław, ślepiec, którego Rosjanie zabrali do transportu na Syberię razem z moim ojcem, ale kiedy się zorientowali, że jest niewidomy, puścili go do domu. Pozdrowiłem go, pytam: *co tam robicie, Staniku?* On na to: *odezwij się jeszcze raz, to cię poznam po głosie*. I rzeczywiście, po tylu latach mojej nieobecności w Rozmierzy, rozpoznał: *tyś jest od Milki Goczolowej*.

Siedliśmy z Krzysztofem na miedzy, przy kartoflisku, za górką. Rozpaliliśmy ognisko z ziemniaczanych łątów, Krzysztof wyjął butelkę wódki. Ziemniaki się piekły, masło i maślanka czekały na swoją kolej, my rozmawialiśmy. To były bardzo niezwykle godziny. Znienacka zjawiała się na kartoflisku Krystyna, druga żona Krzysztofa, którą przywiózł do Rozmierzy Kajtek, czyli Kazimierz Nowakowski, młody, wrażliwy, polski fotoreporter. Moja mama ich nakierowała, odnaleźli nas siedzących na miedzy, z nogami na kartoflisku.

Bo Krzysztof, po śmierci pierwszej żony – owej żywołowej góralki – dość szybko ożenił się po raz drugi, z Krystyną właśnie. Po stracie córki Joasi przeżył nagłą śmierć brata, po nim odszedł jego ojciec, potem matka. Został sam. Po śmierci rodziców dopadł go pierwszy zawał, to się stało w Świnoujściu.

\*\*\*

– Aleksander Plitczenko. Tak nazywał się mój przyjaciel z Nowosybirsk, poeta, sekretarz redakcji miesięcznika „Sybirskie ogni”, który dwukrotnie gościł w Opolu, korzystając z zaproszenia wrocławskiego miesięcznika „Odra”, w ramach wymiany redaktorów obu tych czasopism. W praktyce wyglądało to tak, że Sasza meldował się we Wrocławiu, informując, że wróci za dwa tygodnie, po czym ruszał do mnie, do Opolu. W trakcie tej drugiej wizyty odwiedziliśmy Krzysztofa.

Jak się okazało już na dworcu, skąd odbierałem Plitczenkę, przyjechał do Opolu już wstępnie ugoszczony przez wrocławian, stąd jego pierwsze pytanie po wyjściu z pociągu dotyczyło... piwa. Zabrałem go do domu, ugościłem i ja, po czym położyliśmy go z Małgosią na tapczan, żeby odpoczął, bo przecież po południu czekała nas gościna u Krzysztofa, na Krakowskiej.

Zaprzyjaźnili się od pierwszego wejrzenia. Sasza stanął zachwycony przed jednym z obrazów Krzysztofa, akwarelę, która przedstawiała byki. Skąd te byki? Ano namalował je Krzysztof na zamówienie ówczesnego dyrektora Stacji Hodowli i Unasienniania Zwierząt w Karczowie, który zresztą zamówił też u Krzysztofa swój portret – jak pamiętam, kupił go później Edek Pochroń, chyba nie spodobał się dyrektorowi z Karczowa. Podobnie zresztą, jak wspomniane byki. Bo, orzekł zleceniodawca: *byki takie nie są*.

Plitczenko uważał inaczej. Jego zachwyt był tak szczery, że stało się: byki pojechały do Nowosybirsk. A potem powstał wiersz Aleksandra Plitczenki *Jak zabijano byka*, który przetłumaczyłem na język polski. Rok później, kiedy jechałem do Saszy, do Nowosybirsk, wiozłem ze sobą prezent od Krzysztofa: kolejną akwarelę z bykami.

\*\*\*

– Krzysztof był bardzo wrażliwy, prostoduszny, czasem bezradny, może trochę naiwny? Nie potrafił dbać o swoje sprawy. I niektórzy to wykorzystywali. Kiedy zaczął odnosić sukcesy, zbierać dobre recenzje swoich prac, które były prezentowane i w Paryżu, i w warszawskiej Galerii Kordegarda, jego obrazy stały się łakomym kąskiem. I zaczęły znikać, zwłaszcza po jego śmierci. Do dziś na przykład nie wiem, co się stało z pięknym portretem Rafała Urbana jako śląskiego Hioba, siedzącego na kupie gnoju. Ten obraz wisiał niegdyś nad moim biurkiem w redakcji miesięcznika „Opole”, jeszcze na ulicy Książąt Opolskich. Nie ma go. Ocalał tylko w opisie Rafała Urbana, w jego recenzji pt. *Śląskie obrazy Krzysztofa Buckiego*,



W 1975 r. Krzysztof Bucki (z lewej) został laureatem nagrody miesięcznika „Opole”. Na zdjęciu także (od prawej): red. naczelny Edward Pochroń, Ryszard Hajduk i Andrzej Żabiński



Jan Goczoł przed swoim portretem pędzla Krzysztofa Buckiego

napisanej po wystawie w Galerii Kordegarda (1971 r.), a opublikowanej w miesięczniku „Opole”:

*Obok znów portret człowieka współczesnego. Stary Mędrzec z jakiegoś śląskiego miasteczka. A może z półwsi. Tło: ciasne obejście, zatłoczone szopami, chlewami, chlewikami, stodołką, może nawet garażem. W środku to najważniejsze: gnojok, ogromna kupa gnoju. Na tej kupie stary, siwy dziadyga, na wygasłych już oczach bryle, znaczy szklana proteza, chude cielsko nagie, strupiaste – chyba choruje na psowiazys, liszaj jakiś niedobry. Sens tego portretu? To Hiob śląski na śmietniku swego nieudanego żywota. Na podwórzu – prócz starego półtrupa wskazującego wychudzoną ręką w zielono-szary skrawek nieba – żadnej żywej duszy. Ani psa, ani wnuczka, ani koteczka. Dzieci chyba dawno już wywędrowały w sztuczne raje wielkich miast. A ten stary samotny jak King Lear. Siedzi na oborniku. Zastanawia się: Co z tego będzie? Jest nowa technika, sztuczny nawóz, sztuczna też pasza dla bekonów, bukatów, brojlerów, są herbicydy i insektycydy, są detergenty i inne fizymalenty. Ale gdzie ludzie, chętni do pracy w smrodliwym silosie, w smrodliwej gnojówce, w smrodliwym chlewiku, na smrodliwym gnojaku? Wyjeżdżają, wyjeżdżają. Uciekają od sztucznych nawozów i sztucznych byków, od sztucznych brojlerów, bukatów, bekonów. Obok Hioba – Leara śląskiego GOŚĆ. Także ze wsi. Zawitał z tobołkiem do takiego nowego oto-*

*czenia, obcego mu środowiska. Stoi bezradny. Gdzie tu pukać? Gdzie kogo szukać? Bo to Nowy Świat. Brzydki świat. A on też nie piękny. Jaskrawie ubrany. Już niby według przedwczorajszej mody stołecznej. A tam zielona ławeczka. Na ławeczce zielona babeczka znużona, ku ziemi schylona. Takie babie latko, smutne, okrutne.*

Był kiedyś taki program w telewizji „Galeria dla 20 milionów”. I Krzysztof został do tego programu zaproszony, ze swoimi obrazami oczywiście. On chciał, żebyśmy zjawili się tam razem. Zapakowaliśmy więc do mikrobusika jego obrazy, pojechaliliśmy do Warszawy. Już po nagraniu prowadzący program dziennikarz zabrał nas do swojego domu, na kawę. Tam w dużych ilościach polala się wódka, a gospodarz dość natarczywie zaczął się przymawiać o obrazach Krzysztofa, który zaproponował, żeby porozmawiali o tym później.

Po powrocie do Opola okazało się, że z Warszawy nie wróciło pięć obrazów. Sprawa trafiła do sądu. Po jednej z rozpraw, w drodze powrotnej z Warszawy do Opola, w pociągu, Krzysztof poczuł się źle. To był drugi zawał.

Leżał później w szpitalu przy placu Armii Czerwonej, a po tym pobycie dostał od doktora Urbańczyka skierowanie do sanatorium w Głuchołazach. Wsiadłem kiedyś do pociągu, pojechałem go odwiedzić. W sanatorium go nie było, powiedzieli mi, że poszedł malować, gdzieś za górkę. I rzeczywiście, był. Widziałem go z daleka, siedział tyłem do mnie na składanym krzeselku w opuszczonym, starym sadzie. Szkicował. Zbliżyłem się po cichutku, żeby nie przeszkadzać, byłem może osiem kroków od niego, jak, nie odwracając się, powiedział: *Witaj, Jan, wiedziałem, że przyjeździesz*. Podarował mi później akwarelę, którą właśnie wtedy malował, jego ostatni – jak się okazało – obraz. Jesienny, opuszczony sad, na drzewach pojedyncze liście i resztki jabłek.

Kiedy redakcję miesięcznika „Opole” przeniesiono do nowej siedziby, w budynku na rogu Damrota i Reymonta, zjawił się tam Krzysztof. Wracał właśnie od stolarza, niósł trzy czy cztery ramy do obrazów i siatkę suchego chleba dla moich królików. I poszliśmy w miasto, z tymi ramami, i z tym chlebem. Na ulicy Ozimskiej był wtedy przez krótki czas bar, w którym kolejki piło się na stojąco. Ale okazało się, że tam brakło wódki. Poszliśmy dalej, do baru nad stawkiem przy ulicy Barlickiego. Tam postawiliśmy ramy pod ścianą, czekamy na bufetową. A bufetowa miała bardzo głęboki dekolt. Bucki do niej: *Pijemy za pani piękne piersi!* A do mnie: *Zobacz, jak to człowiekowi od razu chce się żyć*.

Odprowadziłem go później, z tymi ramami i chlebem oczywiście, na Krakowską, gdzie mieszkał. Umówiliśmy się za dwa dni w jego pracowni.

A następnego dnia był 5 lutego. Krzysztof wracał ze swojej pracowni na Rondzie, przewrócił się. I koniec.

**Barbara Stankiewicz**

Anna Pobóg-Lenartowicz

# Florenckie echa powstania styczniowego

Trudno być we Florencji i nie skierować swych kroków do kościoła Świętego Krzyża (Santa Croce). Ten pochodzący z XIV wieku kościół franciszkański jest obowiązkowym miejscem odwiedzin wszystkich turystów. Nie dziwi to, zważywszy na fakt, że kościół ten, zwany Panteonem, stanowi miejsce wiecznego spoczynku wielu wybitnych florentczyków. Dość wspomnieć, że zostali w nim pochowani: Michał Anioł, Dante Alighieri, Galileusz, Machiavelli, Rossini czy twórca radia Marconi. W tej pięknej bazylice możemy także odnaleźć akcenty polskie. I tak w kaplicy Castellani znajduje się grobowiec kompozytora, polityka i dyplomaty Michała Kleofasa Ogińskiego, autora niezwykle popularnego poloneza *Pożegnanie ojczyzny*, a także malarza Michała Bogorii Skotnickiego. W dru-

gim krużganku znajdujemy tablicę nagrobną Aleksandry Moszczeńskiej, zmarłej w wieku 22 lat ukochanej Juliusza Słowackiego. Po lewej stronie ołtarza głównego, w kaplicy Salvatic, napotykamy na dwa kolejne polskie nagrobki: Zofii Zamoyskiej, z domu Czartoryskiej (córki słynnej Izabelli Czartoryskiej), dłuta Lorenzo Bartoliniego oraz nagrobek Zofii Cieszkowskiej z Kickich, którego autorem był Teofil Lenartowicz. Mało kto jednak wie, że w obrębie świątyni znajduje się jeszcze jedno dzieło Teofila Lenartowicza, również rzeźbiarskie, wmurowane wszakże w ścianę krużganku otaczającego cmentarz, niedaleko kaplicy Pazzich. Aby je zobaczyć, należy wykupić bilet pozwalający na zwiedzanie ogrodu klasztornego, a tego zazwyczaj nie obejmuje standardowy program, nawet



Kościół Świętego Krzyża we Florencji

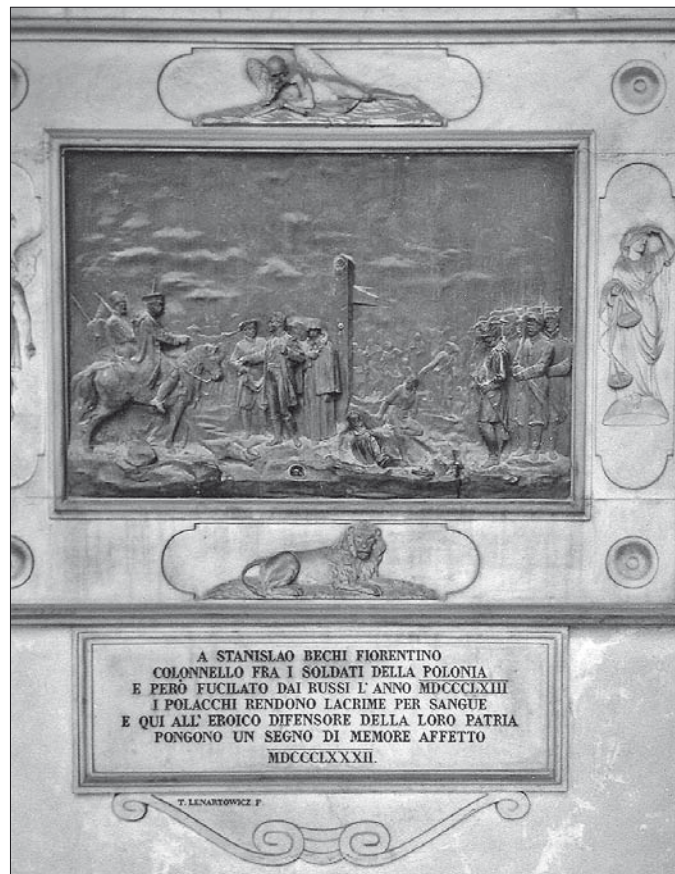
polskich wycieczek. Płaskorzeźba ta przedstawia rozstrzelanie w 1863 r. Stanisława Bechiego. Zanim przypomnieliśmy okoliczności tego tragicznego wydarzenia i jego bohatera, kilka słów o autorze nagrobka – Teofilu Lenartowiczu. W powszechnej pamięci znany jest przede wszystkim jak poeta, „lirnik mazowiecki”, autor takich zbiorów poezji jak *Lirenka*, *Zachwycenie*, *Bitwa Racławicka*, *Album włoski*, *Rymy narodowe*, ale także – o czym już mało kto pamięta – słów kolędy *Mizerna cicha*. Lenartowicz był jednak człowiekiem wielu talentów, znany jest także jako etnograf (współpracował z Oskarem Kolbergiem), pozostawił po sobie także wiele rzeźb (m.in. Adama Mickiewicza, Dantego, misy z głową św. Jana Chrzciciela) i projektów architektonicznych (m.in. dla kościoła na Skałce – gdzie został pochowany czy klasztoru jasnogórskiego).

Jak wielu innych, współczesnych mu Polaków, zmuszony został w 1851 r. do opuszczenia kraju, zaangażował się bowiem w działalność polityczną, zwłaszcza w okresie Wiosny Ludów. Schronienie znalazł właśnie we Florencji, w której przeżył resztę swego życia (zmarł 3 lutego 1893 r.). Tam, w 1861 r. wziął ślub z malarką Zofią Szymanowską, przyrodnią siostrą Celiny Mickiewiczowej. To pod jej wpływem, ale także z powodu niedostatku, zainteresował się rzeźbą, czego efektem były m.in. wspomniane nagrobki z kościoła św. Krzyża. Do dziś na ścianie kamienicy przy ul. Montebello 26, w której mieszkał Teofil Lenartowicz, znajduje się informująca o tym tablica.

Lenartowicz jeszcze w Warszawie zaangażowany był mocno w ruch konspiracyjny i niepodległościowy, stąd bardzo żywo reagował na wszelkie informacje napływające z kraju na temat wybuchu powstania styczniowego i jego przebiegu. Efektem tego było chociażby włączenie się w prace powołanego przez Rząd Narodowy biura prasowego na Włochy czy wiersze, które powstały pod wpływem tych informacji, m.in.: *Śpiew na cześć 25 lutego 1861 r.*, *Petersburg w ogniu*, *Niech żyje Polska*, *Grabarz* czy opowieść epicka pt. *Branka*. Z tą problematyką związana jest również wspomniana powyżej płaskorzeźba, przedstawiająca rozstrzelanie Stanisława Bechiego. Bohater tej sceny, Stanislao Elbano de Bechi urodził się na Elbie. Był synem napoleońskiego pułkownika, który zaprzyjaźnił się z przebywającymi na wyspie w otoczeniu cesarza Polakami – stąd zapewne wzięło się jego imię i późniejsza sympatia do Polski i Polaków. Po wstąpieniu do armii włączył się w walki o zjednoczenie Włoch pod sztandarami G. Garibaldiego. Na wieść o wybuchu powstania styczniowego postanowił osobiście wspomóc Polaków w ich walce o niepodległość. W tym celu zwrócił się do Garibaldiego o listy polecające do Komitetu Polskiego w Paryżu, a po ich otrzymaniu uzyskał przydział, w randze pułkownika, do sztabu dowódcy województwa mazowieckiego, a następnie z rozkazu Romualda Traugutta objął dowództwo nad Kujawami, Regionem Kaliskim i Mazowszem. Przybył do Polski w sierpniu 1863 r. na czele dwudziestoosobowej grupy włoskich

ochotników. Od razu, z powodzeniem, włączył się w walkę z wojskami rosyjskimi. 8 grudnia 1863 r., w wyniku denuncjacji ze strony jednej z dziedziczek okolicznych wsi, został aresztowany we wsi Bielno koło Włocławka. W wyniku trwającego kilka dni procesu został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie. Ułaskawienie, wyproszone przez Izabelę Zbiegniewską u samego cara Aleksandra II przyszło za późno. Wyrok wykonano 17 grudnia 1863 r. Stanisław Bechi umierał z okrzykiem *Eviva la Polonia* na ustach. Dół, do którego wrzucono ciało pułkownika, został później stratowany końskimi kopytami. Na początku 1864 r. utworzono tzw. subskrypcję narodową, mającą na celu zebranie funduszy na rzecz wdowy po Bechim i jego dwójki dzieci. W akcję tę zaangażowała się m.in. Maria Kopnicka i Teofil Lenartowicz. Z jego inicjatywy powstało we Florencji Koło Pomocy Rodzinie de Bechi, dzięki któremu udało się m.in. przyznać wdowie po bohaterze honorowe obywatelstwo polskie.

Florencki relief Teofila Lenartowicza przedstawia właśnie scenę rozstrzelania pułkownika. O okolicznościach jego powstania pisał autor w liście do Józefa I. Kraszewskiego w taki oto sposób: *Pracuję jak mrówka od dnia do nocy; teraz kropię baryelief przedstawiający śmierć Stanisława Bechiego, pułkownika artylerii włoskiej rozstrzelanego przez Moskali w 1863 r. (...). Obraz będzie przedstawiał chwilę, kiedy mu wyrok czytają na placu tracenienia, dół kopią, a drudzy śpiew utwier-*



Replika dzieła Lenartowicza na placu Powstania Styczniowego we Włocławku



Pomnik pamięci powstańców styczniowych (fotografia ze strony [www.odznaka.kuj-pom.bydgoszcz.pttk.pl](http://www.odznaka.kuj-pom.bydgoszcz.pttk.pl))

dzają w ziemi, do którego ma być przywiązany (...). Z przekąsem też dodaje: *rozumie się, że matka – ojczyzna ani grosza na to nie da i że lirnik mazowiecki zapłaci kosztą z tego, co weźmie za wiersze*<sup>1</sup>. W innym z kolei liście (do Teodory Monczuńskiej) pisze, że robi to z tą intencją, *aby jakoś Włochom pamięć Polaków okazać*<sup>2</sup>.

Doceniali to także i inni Polacy. Agaton Giller, publicysta, ale równocześnie członek Rządu Narodowego w 1863 r., przebywający we Włoszech ( w tym także we Florencji) w latach 1881 – 1883, tak oto pisał o tym przedsięwzięciu: *Sam pomysł takiego pomnika jest godnym wielkiego poety, jest nie tylko rzeczą piękną, ale i obywatelską zarazem. Tablica poświęcona pamięci męczennika świadczyć będzie w późne jeszcze wieki o świętości polskiej sprawy, za którą giną nie tylko sami Polacy, lecz i ludzie uczciwi innych narodów – przemawiać też ona będzie do potomnych o polskiej wdzięczności dla bohaterskiego Włocha, który życie za Polskę położył*<sup>3</sup>.

Relief opatrzonej jest także inskrypcją o następującej treści:

<sup>1</sup> Cyt. za: J. Nowakowski, *a ślad po mnie – pieśń złota...Teofil Lenartowicz*, Warszawa 1973, s. 329.

<sup>2</sup> *Tamże*, s. 330.

<sup>3</sup> A. Gillner, *Z dziennika podróży po Włoszech wyrwane kartki*, w: *Głosy o Lenartowiczu. Portrety wielokrotne*, red. P. Hertz, Kraków 1976, s. 144.

*A STANISLAO BECHI FIORENTINO  
COLONNELLO FRA I SOLDATI DELLA POLONIA  
E PERO FUCILATO DAI RUSSI L'ANNO  
MDCCCLXIII  
I POLACCHI RENDONO LACRIME PER SANGUE  
E QUI ALL'EROICO DIFENSORE DELLA LORO  
PATRIA  
PONGONO UN SEGNO DI MEMORE AFFETTO  
MDCCCLXXXII*

co w wolnym przekładzie oznacza podziękowanie za wspólną walkę z żołnierzami polskimi Stanisławowi Bechiemu, florentczykowi, pułkownikowi wśród żołnierzy polskich z tej przyczyny rozstrzelanemu przez Rosjan w 1863 r. Polacy leją łzy za krew i tu bohaterskiemu obrońcy ich ojczyzny kładą znak pamiątkowego uczucia. 1882.

Po I wojnie światowej władze Florencji zdecydowały o podarowaniu Włocławkowi repliki dzieła Lenartowicza. W 1924 r. w jednym z parków Włocławka stanął pomnik z kopią płaskorzeźby florenckiej. Choć sam pomnik został zniszczony w czasie II wojny światowej, relief ocalał. Od 2003 r. znalazł swe nowe miejsce na placu Powstania Styczniowego we Włocławku, niedaleko miejsca, w którym Stanisław Bechi został rozstrzelany.

Kiedy mówimy o udziale cudzoziemskich ochotników w powstaniu styczniowym, na myśl przychodzi zwłaszcza postać innego Włocha – Francesca Nullo. Może warto w trakcie tych rocznicowych obchodów pamiętać też i pułkownika Stanisławie Bechim, *bohaterskim Włochu, który życie za Polskę położył*.

**Anna Pobóg-Lenartowicz**

Przy pisaniu artykułu korzystałam z następujących opracowań: J. Nowakowski, *a ślad po mnie – pieśń złota...Teofil Lenartowicz*, Warszawa 1973; *Głosy o Lenartowiczu. Portrety wielokrotne*, red. P. Hertz, Kraków 1976; stron internetowych: [www.odznaka.kuj-pom.bydgoszcz.pttk.pl](http://www.odznaka.kuj-pom.bydgoszcz.pttk.pl), [www.wloclawek.pl](http://www.wloclawek.pl) oraz archiwum rodzinnego.



Beata Gaj

# Martwy język, a nie wiednie

*Jakiż to martwy język, jeśli nie wiedząc, przetrwał tysiąclecia...* pisał niegdyś Julian Tuwim o łacinie. Od tego czasu świat znów się zmienił, łaciny jest w polskich szkołach zdecydowanie mniej niż w czasach Tuwima (warto dodać, że inaczej niż w szkołach niemieckich czy angielskich, gdzie uczestnictwo w regularnych lekcjach czy pozostawanie członkiem *Latin Club* jest dość powszechne także wśród młodzieży gimnazjalnej i zawsze związane z pewnym prestiżem). Ale co jakiś czas i w Polsce łacina staje się tematem dnia – jak podczas niedawnego święta naszego uniwersytetu – są bowiem sytuacje, teksty i konteksty, których nie sposób wyobrazić sobie bez łaciny. Cóż bardziej podnosi wagę uroczystości niż łacińska laudacja lub słynne *Gaudemus igitur?*

Jednak w ostatnich tygodniach jednym z najbardziej aktualnych tekstów na świecie stało się wypowiedziane po łacinie oświadczenie papieża Benedykta XVI na temat jego abdykacji. I co ciekawe, zwłaszcza w opiniach polskich dziennikarzy, pojawiały się stwierdzenia typu **papież miał powiedzieć** zamiast zwykłego *powiedział*, a wynikało to najprawdopodobniej z nieznamośności łaciny właśnie. *Brak mi sił do odpowiedniego sprawowania urzędu – miał powiedzieć Benedykt XVI po łacinie podczas konsystorza* (cytat z wiadomości onet.pl). Dla każdego, kto zna przynajmniej podstawy języka łacińskiego, jest sprawą oczywistą, że jest to język bardzo konkretny, logiczny i precyzyjny (w odróżnieniu od greki czy polskiego, gdzie np. kwestie przeczenia nie są zgodne z logiką; łacina pod tym względem jest wręcz matematyczna: dwa przeczenia dają twierdzenie). Oczywiście jest, że można treść papieskiego wystąpienia przedstawić w jednoznacznych punktach, zamiast „gdybać” czy dopuszczać się nieuprawnionych interpretacji już na poziomie tegoż „gdybania”. W swoim wystąpieniu, już w drugim zdaniu, z użyciem sztandarowych i najbardziej precyzyjnych konstrukcji łacińskich (ACI, Ablativus Absolutus i Gerundivum w funkcji przydawki), papież stwierdził, że wraz z pogłębiającym się wiekiem jego siły nie są już wystarczające do właściwego wypełnienia *zadania Piotrowego* (posługi papieskiej). W tym samym zdaniu na pierwszym miejscu podaje Benedykt XVI tło swojej decyzji – została ona wielokrotnie prześlana, dosłownie: *w obecności Boga*, czyli w modlitwie. Ów abstrakt zostaje potem rozwinięty w dalszej części wypowiedzi. Szczególnie dużo uwagi poświęca abdykujący papież objaśnieniu sformułowania **munus** (*zadanie, obowiązki, służba, ofiara*) w kontekście naszych czasów, które poprzez *szybkie zmiany i pytania wielkiej wagi dla życia wiary* postawiły przed posługą

Piotrową, oprócz dotychczasowych predyspozycji decyzyjnych, oratorskich oraz zdolności do cierpienia i modlitwy – dodatkowy wymóg: **vigor corporis et animae**, czyli energię-werwę, zarówno ciała jak i ducha, a tej w ostatnich miesiącach stale odchodzącemu papieżowi – jak stwierdza – *ubywało*. Podkreśla także swoją świadomość aktu abdykacji i odpowiedzialność zań. Wreszcie wyraża wdzięczność za współpracę i prośbę o wybaczenie uchybień. Informuje o dokładnym terminie zwolnienia urzędu i o konieczności zwołania konklawe. Zawierza Kościół Jezusowi – Najwyższemu Pasterzowi, a matczynej dobroci Maryi poleca pomoc kardynałom podczas wyboru nowego papieża. W ostatnim znamienym zdaniu (*quod ad me attinet – a co się tyczy mnie*) deklaruje zaś chęć dalszej służby Kościołowi: *teraz poprzez życie poświęcone modlitwie*.

A oto omówiony powyżej tekst w łacińskim oryginale:

*Fratres carissimi*

*Non solum propter tres canonizationes ad hoc Consistorium vos convocavi, sed etiam ut vobis decisionem magni momenti pro Ecclesiae vitae communicem. Conscientia mea iterum atque iterum coram Deo explorata ad cognitionem certam perveni vires meas ingravescente aetate non iam aptas esse ad munus Petrinum aequae administrandum.*

*Bene conscius sum hoc munus secundum suam essentiam spirituales non solum agendo et loquendo exsequi debere, sed non minus patiando et orando. Atamen in mundo nostri temporis rapidis mutationibus subiecto et quaestionibus magni ponderis pro vita fidei perturbato ad navem Sancti Petri gubernandam et ad annuntiandum Evangelium etiam vigor quidam corporis et animae necessarius est, qui ultimis mensibus in me modo tali minuitur, ut incapacitatem meam ad ministerium mihi commissum bene administrandum agnoscere debeam. Quapropter bene conscius ponderis huius actus plena libertate declaro me ministerio Episcopi Romae, Successoris Sancti Petri, mihi per manus Cardinalium die 19 aprilis MMV commissum renuntiare ita ut a die 28 februarii MMXIII, hora 29, sedes Romae, sedes Sancti Petri vacet et Conclave ad eligendum novum Summum Pontificem ab his quibus competit convocandum esse.*

*Fratres carissimi, ex toto corde gratias ago vobis pro omni amore et labore, quo mecum pondus ministerii mei portastis et veniam peto pro omnibus defectibus meis. Nunc autem Sanctam Dei Ecclesiam curae Summi eius Pastoris, Domini nostri Iesu Christi confidimus sanctamque eius Matrem Mariam imploramus,*

*ut patribus Cardinalibus in eligendo novo Summo Pontifice materna sua bonitate assistat. Quod ad me attinet etiam in futuro vita orationi dedicata Sanctae Ecclesiae Dei toto ex corde servire velim.*

*Ex Aedibus Vaticanis, die 10 mensis Februarii MMXIII*

*BENEDICTUS PP XVI*

Jednak łacina nie jest tylko językiem hierarchów kościelnych i znaczących deklaracji. W ostatnich tygodniach znaczną popularność w Internecie zyskały, zwłaszcza w środowiskach filologicznych, także pastisze erotyków Katullusa. Z pewnością ma to związek z pierwszym kompletnym, bilingwicznym wydaniem poezji Katullusa w Polsce (*Poezje wszystkie Katullusa*, przeł. Grzegorz Franczak i Aleksandra Klęczar, wstęp: A. Klęczar, Tyniec-Homini, Kraków 2013). Poprzedzający utwory wstęp jest z kolei pierwszą polską pełną naukową monografią poety z Werony. Gajusz Waleriusz Katullus żył ok. trzydziestu lat w I wieku p.n.e. Zdaniem wielu wyrastał dzięki swej poezji ponad poziom ówczesnego środowiska poetyckiego. Kolejne epoki niezmiennie ceniły Katullusa, choć widziano go stale z innej perspektywy – dla jednych był człowiekiem ściganym przez nieszczęścia, dla innych tym, kto miał odwagę lekceważyć normy społeczne, poetą-spadkobiercą przeintelektualizowanej poezji aleksandryjskiej, dzieckiem natury, romantykiem, wreszcie poetą modernistycznym, ceniącym oryginalność. Następne pokolenia badaczy niewątpliwie dołożą do tych charakterystyk swoją własną cegiełkę. Katullusa każda epoka tworzy sobie na nowo, wedle własnych potrzeb. I być może potrzebą chwili tłumaczyć można jeden z ciekawszych współczesnych satyryków w języku łacińskim, będący przeróbką znanego erotyku *Vivamus mea Lesbia atque amemus* (*Żyjmy moja Lesbio i kochajmy się*), a dedykowany pani minister Barbarze Kudryckiej. Wiersz powstał w związku z bardzo aktualnym „sezonem na punkty”, jaki co roku ma miejsce na każdej uczelni. Poniżej znajdują Państwo zarówno

oryginalny fragment Katullusa, w którym prosi on swą ukochaną Lesbię, najogólniej mówiąc, o więcej uczucia i nieprzejmowanie się opiniami innych, oraz utwór popularny ostatnio na Facebooku autorstwa Grzegorza Franczaka *Ad Barbaram Kudryciam de punctis* (*Dla Barbary Kudryckiej o punktach*). Nieznającym łaciny wyjaśniamy, że łacińskie słowo *basia* oznacza pocałunki. Miłej lektury!

*Vivamus, mea Lesbia, atque amemus,  
rumoresque senum severiorum  
omnes unius aestimemus assis!  
soles occidere et redire possunt;  
nobis, cum semel occidit brevis lux,  
nox est perpetua una dormienda.  
da mi basia mille, deinde centum,  
dein mille altera, dein secunda centum,  
deinde usque altera mille, deinde centum;  
dein, cum milia multa fecerimus,  
conturbabimus illa, ne sciamus,  
aut ne quis malus invidere possit  
cum tantum sciat esse basiorum*

A Grzegorz Franczak napisał tak:

*Ad Barbaram Kudryciam de punctis*  
*Da mi, Basia, mille, deinde centum, dein mille altera, dein secunda centum, deinde usque altera mille, deinde centum. Dein, cum milia puncta fecerimus, conturbabimus illa, ne sciamus, aut ne quis malus invidere possit, cum tanta sciat esse nostra puncta !*

*Do Barbary Kudryckiej o punktach*  
*Daj mi, Basieńko, tysiąc, stu nie wzbraniaj, znowu sto, przedtem jeden jeszcze tysiąc, i tysiąc jeszcze, i sto bez wytchnienia, aż wreszcie punktów zapłoną miriady i zawirują, i zmylimy ślady, tracąc rachubę, żeby nam kariery dziekan nie urzekł, nasze punkty licząc!*

**Beata Gaj**

Joanna Czaja

## Wiosenne zaloty w mikrokosmosie

Wiosną jest cieplej, jaśniej i... głośniej, ale śpiewają nie tylko ptaki rozpoczynające swój sezon godowy. Gdy mocniej nadstawimy uszu lub wieczorem, gdy właśnie chcemy zasypiać, usłyszymy delikatne szmery, ćwierkanie, skrzywienie, zgrzyty, tarcia i inne jeszcze odgłosy dochodzące gdzieś z trawy. To owady – małe, szczęconogie i uskrzydłone zwierzęta budzą się po zimowym odrętwieniu i rozpoczynają najstarszy i najpopularniejszy rytuał natury – gody.

Są wszędzie, chociaż nie wszędzie są mile widziane. Możemy je spotkać na kwiatach, liściach, w glebie, na powierzchni wody, na parapecie okna, a także – co już jest zdecydowanie mniej przyjemne – na własnej skórze, kiedy próbują się dobrać do naszej krwi. Mimo że owadzi mikrokosmos sąsiaduje i przenika się z naszym makroświatem, nie zawsze możemy i nie zawsze chcemy się z nim bliżej zapoznać, a jest to bardzo bogaty, różnorodny i czasami bardzo podobny do naszego świat. Podpatrując chociażby godowe zachowania owadów, możemy znaleźć wiele analogii do zachowań ludzkich. Są wśród owadów adoratorzy śpiewający miłosne serenady dla swych wybranek lub raczej wabiący je modnym szlagierem, są zalotnicy przynoszący podarki, są szpanerzy dający świetlne sygnały swym dziewczynom, są lwy parkietu porywający je do tańca, są romantycy przyciągający zapachem, ale też gwałtownicy walczący z rywalami na różne sposoby czy nawet przebijający ciało kochanki sztyletem...

Ale po kolei.

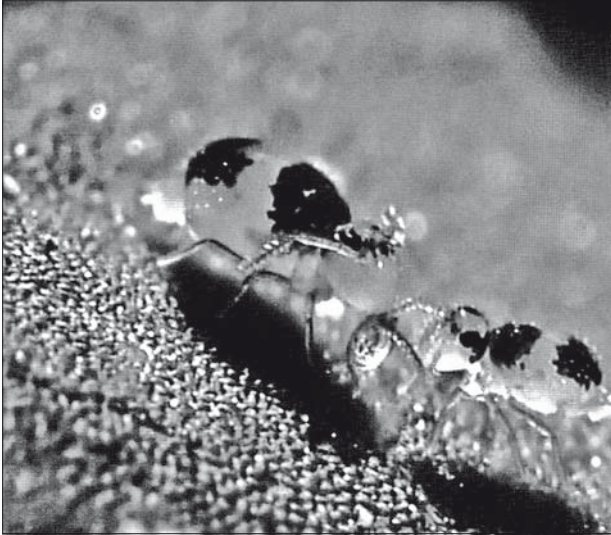
*Śpiewać każdy może...* To stwierdzenie bardzo sprawdza się u owadów. Śpiewają, a właściwie wydają odgłosy, przedstawiciele ponad dziesięciu rzędów owadów. Sygnały akustyczne służą im do porozumiewania się w celu obrony przed drapieżnikami, przekazywania informacji o źródłach pożywienia, a są także wykorzystywane w okresie rozmnażania. Mechanizmy wydawania dźwięków są bardzo różne. Prostoskrzydłe, chrząszcze czy pluskwiaki pocierają jedną częścią ciała o drugą. Szarańczaki (prostoskrzydłe z krótkimi czułkami) pocierają tylnymi odnóżami, na których znajdują się rzędy wyrostków, o przednie skrzydła, a pasikoniki (koniki polne z długimi czułkami) używają do pocierania skrzydeł, na których znajdują się zgrubiałe żyłki. Niektóre pluskwiaki pocierają odnóżami o odwłok, a chrząszcze odnóżami o głowę. Dźwięki mogą powstawać również podczas uderzania różnymi

częściami ciała (głową, odwłokiem i stopami) o podłoże. Bardziej skomplikowane struktury do wydawania głosów posiadają cykady, u których na odwłoku znajdują się membrany zaopatrzone w mięśnie, dlatego ich głosy są bardzo intensywne i różnorodne (dochodzące nawet do 100 dB). Również podczas pracy skrzydeł mogą powstawać dźwięki o określonej częstotliwości stanowiące informację dla osobników danego gatunku.

W porze rozmnażania dźwięki stanowią u wielu gatunków istotny element zalotów ułatwiający odnalezienie i zwabienie partnerki bądź partnera. U owadów dźwięki mogą wydawać zarówno samce, jak i samice. U większości prostoskrzydłych to samce „śpiewają”, zaznaczając w ten sposób swoje terytorium. Analiza tych „piosenek” wykazała, że osobniki każdego gatunku cechuje inna melodia, a samice w morzu różnych odgłosów potrafią odnaleźć swojego wybranka (przy czym istotna jest też intensywność śpiewu). Duże samce śpiewają głośniej, a to znak dla samicy, że dany



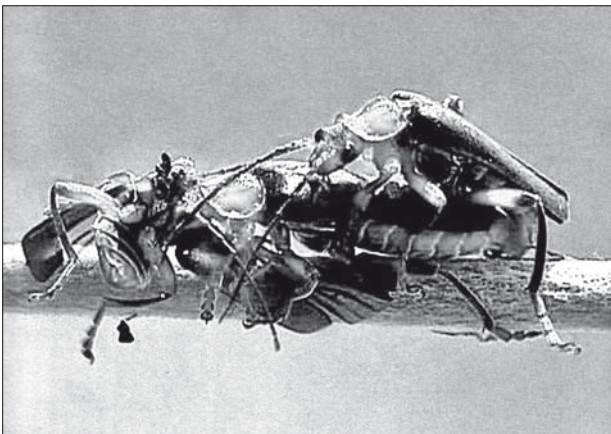
Samiec jedwabnika dębowego z bardzo rozbudowanymi czułkami służącymi do wykrywania feromonów produkowanych przez samicę (fot. M. Kozłowski)



Skoczogonki przed finalizacją długiego rytuału tanecznego (fot. M. Kozłowski)

osobnik ma lepsze geny i bardziej nadaje się na ojca. Informacje o gotowości do rozrodu mogą też dawać samice. U niektórych komarów dojrzałe płciowo samice brzęczą z inną częstotliwością niż samice, które akurat... „boli głowa”, co znacznie ułatwia samcom ukierunkowanie zalotów. Niestety czasami może to prowadzić do fatalnych w skutkach pomyłek, kiedy np. zamiast partnerki do kopulacji odnajdują... rozgrzany transformator, brzęczący z taką samą częstotliwością, co chętna do rozrodu samica... Elektryzujące doznania gwarantowane.

Wśród niektórych gatunków owadów aktywnych nocą istotną rolę w trakcie zalotów odgrywa zdolność do świecenia. Takie „jaśnieoświecone” są chrząszcze z rodziny świetlikowatych i sprząkowitzkich oraz nieliczne muchówki i skoczogonki. Światło, a właściwie określony układ błysków, służy do porozumiewania podczas zachowań godowych. U świetlików występujących w Polsce to bezskrzydłe samice wabią samce, emitując na odwołku światło. Uskrzydłone samce świecą znacznie słabiej. Podobnie jak w przypadku wydawanych przez owady odgłosów, tak i tutaj układ



Omomiłki, samica pożera samca i jednocześnie kopuluje z następnym (fot. M. Kozłowski)

błysków jest cechą swoistą dla poszczególnych gatunków i tworzy bardzo precyzyjny kod sygnalizacyjny.

Swoją partnerkę niektóre owady potrafią wyczuć nosem, przy czym ten owadzi nos zlokalizowany jest w obrębie aparatu gębowego lub na czułkach. Wśród szeregu substancji wydzielanych przez zwierzęta bardzo specyficzne są feromony płciowe wywołujące określone reakcje u osobników tego samego gatunku. Są to lotne związki działające już w bardzo niewielkich stężeniach (około 30 cząsteczek/1mm<sup>3</sup> powietrza) o specyficznym dla każdego gatunku składzie chemicznym. U owadów feromony płciowe są wydzielane głównie przez samice, ale są również gatunki, u których to samce wabią w ten sposób samice. Jak precyzyjny to atraktant (sygnał zapachowy, dźwiękowy lub świetlny) wydawany przez zwierzęta w celu zwabienia ofiary lub partnera seksualnego może świadczyć odległość, z jakiej są wyczuwalne. Samce niektórych ciem potrafią



Modliszka obserwująca otoczenie (fot. M. Kozłowski)

wyczuć samicę z odległości 3–4 km, a rekordziści z odległości nawet z odległości 13 km – służą im do tego bardzo rozłożyste, pierzaste czułki.

Kiedy już nasze owady się odnajdą, dochodzi do wymiany sygnałów, prowadzącej do kopulacji. Te tajemnicze sygnały to potracanie się czułkami, odnóżami i skrzydłami, czyli specyficzny taniec obserwowany u wielu gatunków. Tańczą małe skoczogonki i duże komarnice, motyle i ważki w locie. U skoczogonków rytuały taneczne związane są z przekazaniem przez samca nasienia w postaci pakieciku (spermatoforu), który samica musi wessać otworem rodnym, aby doszło do zapłodnienia. Samiec więc trąca partnerkę czułkami, zabiega jej drogę, pcha ją przed sobą, po czym się cofa (potrafi tak do kilkuset razy), a następnie składa przed samicą pakiecik. Cała zabawa po-



Walczące jelonki rogacze (fot. M. Kozłowski)

lega na tym, aby samica umieściła ten pakiecik w odpowiednim miejscu, co zazwyczaj się udaje, ale wcale nierzadkie są przypadki, kiedy wybranka... zjada pakiecik, traktując go jako solidną porcję białka, a nie cenny materiał genetyczny.

Komarnice reprezentujące muchówki, a określane potocznie jako „komary z długimi nogami”, mają również swój bardzo specyficzny taniec, prowadzący do kopulacji. W tym przypadku samiec bawi się długimi nogami samicy, łapiąc je swoimi odnóżami, na co samica, gdy jest pozytywnie usposobiona, reaguje podnosząc nogę w górę. Wtedy samiec usiłuje przycisnąć ją do podłoża (test na siłę). Po pozytywnym przejściu testu następuje „pocałunek”, a potem kopulacja.

Prezenty to kolejny aspekt owadzich zalotów. Prezenty przynoszą samce, aby obłaskawić samicę. Takim prezentem może być upolowana ofiara, wydzieliny różnych gruczołów, stanowiące rodzaj kolacji przy świecach, zjadanej wspólnie lub tylko przez samicę. Gorzej, jeżeli takim prezentem staje się sam zalotnik... a i tak bywa. Wszystkim znana jest zła sława modliszek pożerających partnera po kopulacji (niestety, jak pokazują obserwacje, zdarza się to także przed albo, co gorsza, w trakcie). Cały problem w tym, że samice robią to cokolwiek nieświadomie. Jest to bowiem związane z przyjętą strategią polowania, polegającą na ataku i następnie konsumpcji wszystkiego, co się rusza. Oczywiście nie wszystkie samce modliszek kończą w ten tragiczny sposób. Aby spełnić swą rolę biologiczną z determinacją walczą o swe życie i próbują podejść do samicy w taki sposób, by nie zostać potraktowanym jako porcja mięska. Zbliżają się więc cichaczem, nie wykonując gwałtownych ruchów lub w trakcie posiłku samicy, kiedy ta nie jest aż tak czujna. Podobne zachowanie widoczne jest u pospolicie występujących w naszym kraju omomiłków (niewielkich drapieżnych chrząszczy). Samice z wielkim zapałem potrafią skonsumentować potencjalnego zalotnika na oczach drugiego, z którym właśnie kopulują... Słowem, obrazy jak z horroru.

Ale i wśród samców nie brakuje gwałtowników, którzy muszą siłą zdobywać swoje partnerki, mimo ich wyraźnego oporu. Tak dzieje się u bardzo skądinąd sympatycznych owadów, spędzających swe życie na

chodzeniu po wodzie. Mowa tu oczywiście o nartnikach – długonogich pluskwiakach widocznych na powierzchni niemal każdego zbiornika wodnego. Samice nartników bardzo zaciekle bronią się przed samcami. Próbując zrzucić zalotnika z grzbietu, wykonują salta do tyłu (co przy specyficznym podłożu, jakim jest powierzchnia wody, wymaga nie lada determinacji), a także odstraszały kolcami na odwłoku. Ten typ zachowań określa się jako zaloty siłowe, a kontrolę nad ich przebiegiem przejmuje samica.

Szczytem perwersji jest kopulacja urazowa (traumatyczna) występująca u niektórych pluskwiaków. Samce przebijają ścianę odwłoka samicy ostrym, zewnętrznym narządem rozrodczym oraz wstrzykują spermę i wydzieliny gruczołów dodatkowych bezpośrednio do krwi, pozostawiając wyraźną bliznę na odwłoku. Na szczęście większość samic przeżywa bez wyraźnego uszczerbku te ekscesy. Tyle, że całą przeszłość seksualną można zobaczyć na ich odwłoku.

W większości przypadków jednak to samica odgrywa decydującą rolę, a samce muszą się trochę potrudzić, aby zdobyć jej akceptację. Muszą bardzo często nie tylko przekonać partnerkę, ale dodatkowo odpędzić konkurentów. Walki między samcami odbywają się na różnych płaszczyznach. Może to być „inteligentna” autoprezentacja na zasadzie: *lepiej i głośniej śpiewam niż tamten, mam ładniejszy garniturek czy – popatrz, jaki przyniosłem prezencik, wybierz mnie*. Inne formy rywalizacji polegają na bezpośredniej walce za pomocą różnych struktur morfologicznych, czyli: kto co ma, tym się broni (lub atakuje). Znane wszystkim,



Lot godowy ważek, złączone w bardzo charakterystyczny sposób odwłoki przypominające kształtem serce (fot. G. Hebda)



Owady w sytuacjach intymnych (fot. G. Hebda)

ale rzadko już występujące w naszym kraju jelonki rogacze do takich walk używają właśnie rozbudowanych rogów (czyli żuwaczek – elementów aparatu gębowego), które zaciskają na głowie lub przedpleczu rywala. Można też kopać odnóżami, używać długich czułków albo długiego ryjka (chrząszcze z rodziny ryjkowców), aby przepędzić lub nawet strącić konkurenta z samicy. Czasami przepychanki trwają na tyle długo, że znudzona samica oddala się, a zaciętrzewieni konkurenci dalej toczą bój, przy czym nierzadko po drodze spotyka ona kolejnego samca, z którym dochodzi do zbliżenia, cóż – gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta...

Są jednak gatunki, których samce nie dopuszczają do tego, by ich geny zostały zastąpione przez konkurencję. Dotyczy to szczególnie gatunków terytorialnych, których samce pilnują, aby samica nie odbyła kolejnej kopulacji z innym partnerem. Do perfekcji mechanizm ten opanowały samce ważek, u których u nasady odwłoka wykształciły się wtórne narządy płciowe (ewenement w świecie owadów) służące najpierw jako miotełka dokładnie czyszcząca organy rozrodcze samicy z plemników poprzednika. Dopiero po tym procedurze rozpoczyna się „prawowita” kopulacja, a następnie samiec towarzyszy samicy podczas składania jaj, przyczepiając koniec odwłoka do jej „szyi”. Powstaje wtedy bardzo romantyczna konstelacja przypominająca serduszek. Samiec jest już pewien, że jego geny nie zostały zmarnowane, a na jego posiadłości rozwijają się jego dzieci...

Jak widać, wachlarz owadzych technik towarzyskich jest przebogaty i nieraz (w naszym, ludzkim pojmowa-

niu) ociera się o perwersję. A wszystko to sprowadza się tylko do jednego – by przekazać geny. Tak więc z sezonu na sezon w owadzie mikrokosmosie rozpoczyna się na nowo ten sam odwieczny rytuał. Każdy ma swoje sposoby i każdy próbuje pozostawić swój ślad w historii życia.

Wiele owadzych mechanizmów – choć całe szczęście nie wszystkie – można również zaobserwować i u ludzi. Czy to nasze własne pomysły, czy przodkowie gdzieś coś podpatrzyli – trudno powiedzieć. Ale skoro występują, to znaczy, że też się sprawdzają, więc pewnie nadal będą trwać.

Ale przecież życie to nie tylko fizjologia, to także problemy filozoficznej natury. Może więc obserwacja owadów skłoni nas do głębszej refleksji. Ot, choćby nad pytaniem, wobec którego nauki przyrodnicze pozostają bezsilne: *Ile modliszki jest w kobiecie, a ile w mężczyźnie jelonka rogacza?*

Joanna Czaja

(Bardzo dziękuję dr. Grzegorzowi Hebdzie z Samodzielnej Katedry Biosystematyki za udostępnienie swoich zdjęć. Pozostałe pochodzą z książek podanych poniżej).

Literatura:

M. Kozłowski, *Owady Polski*. Multico, 2008.

J. Boczek, *Człowiek i owady*. SGGW, Warszawa, 2001.

## Autorzy „Indeksu” w parodiach Mariana Buchowskiego

Od Redakcji:

1 kwietnia poprosiliśmy jednego z przyjaciół uniwersyteckiego czasopisma, aby – w ramach primaaprilisowej zabawy – sparodiował kilku naszych stałych autorów. Wybraliśmy tych, którzy są nie tylko mocnymi filarami dźwigającymi intelektualno-artystyczny poziom „Indeksu”, ale także wielokrotnie demonstrowali przejawy poczucia humoru, którego, mamy nadzieję, i tym razem dadzą kolejny dowód.

Ponieważ „Indeks” czytują nie tylko naukowcy Wydziału Filologicznego UO – przypominamy na wszelki wypadek, że – w największym uproszczeniu – parodia to wyrazista stylizacja, naśladowanie stylu i poetyki znanego utworu, autora, kierunku, ogólnie przyjętych schematów itp., w celu uzyskania efektu komicznego. Uważana za odmianę parafrazy, parodia pełni funkcję satyryczną lub humorystyczną (jako bezinteresowna zabawa), wyjaskrawiając żartobliwie cechy pierwowzoru.

Zleceniobiorca – Marian Buchowski – zaproponował, że napisze nam, jak sobie wyobraża teksty autorów „Indeksu”, którzy biorą na swój twórczy warsztat piosenkę zaczynającą się słowami: *Wlazł kotek na płotek i mruga...*

Stanisław S. Nicieja *napisałby tak:*

### Daremna kota robota

Ludzka zawiść, jak złowróźbny czarny kot, od lat bezskutecznie przebiega w poprzek mej prostej i szerokiej drogi.

Po moim wieczorze autorskim na Stadionie Narodowym w Warszawie (zazdrosna o sławę „Gazeta Wyborcza” wybiła w tytule relacji: *Na widowni stadionowego show Nicieja aż trzy krzesła były puste!*) otrzymałem, jak zwykle, wiele wyrazów wdzięczności i rodzinnych pamiątek kresowych. Do jednego z listów dołączona była nakrochmalona chusteczka, a władająca kaligraficznym piśmem ręka informowała: *Tą chusteczką ocierał łzy wzruszenia na widok Marszałka Piłsudskiego mój zacności dziad, mistrz aptekarski Hipolit Ostoja-Leżarski, o którym Pan Profesor był wspominający w jednym ze swych dzieł cyklu „Bezkrzesne kresy” tam. We w tą samą chusteczkę nos czyścił syn jego z pierwszego ożenku, wybitny muzyk tegoż nazwiska, Barnabę ochrzczon. Onże Barnaba siennego kataru się nabawiwszy jeszcze w konserwatorium – kichał potem w czasie koncertów na partytury treść. I na okoliczność koncertowego kichania onemu załączona chusteczka podarowana się stała.*

Na ślad wybitnego lwowskiego aptekarza Hipolita Ostoję-Leżarskiego natrafiłem podczas jednej z pierwszych wypraw do Lwowa, kiedy jeszcze usta dławiał mi cenzorski knebel, który sobie wieczorami ukradkiem wyjmowałem. Któregoś dnia na Cmentarzu Ły-

czakowskim podkradam się, wyprowadziwszy w pole szpicla z NKWD, do kolejnego z okazalszych nagrobków i czytam:

Św. Pam. Hipolitowi-Ostoja-Leżarskiemu:  
GDYBY NIE TWOJE GŁOŚNE KIEDYŚ  
PRRRRRRRRRR –  
DZIŚ SZEPTEM BYŚMY MÓWILI MY.

Otóż kiedy Lwów wizytował Józef Piłsudski, to na jednej z ulicznych trybun powitalnych stał, przepasany wstęgą w narodowych barwach, wybitny mistrz aptekarski Hipolit Ostoja-Leżarski, wciśnięty w tłum równie wybitnych obywateli lwiego grodu. Traf chciał, że kiedy wybitna Kasztanka pod Marszałkiem była na wysokości tej trybuny, spięta ostrogami zaczęła nagle puszczać końskie pączki i – końskim zwyczajem robiąc to w marszu – szła dalej, jakby nigdy nic. „Prrrrrrrrr!!!” wrzasnął wtedy odruchowo imię Hipolit, bo serce mu się zaczęło krajać na widok pamiątek po Marszałku, wdeptywanych w uliczny bruk przez bezmyślne kopyta marszałkowej świty.

Marszałek nazajutrz odjechał, a Hipolita w południe omal we Lwowie nie zlinczowano. Bo poszła w miasto wieść, że krzyknął „prrrrrrrrr” do samego Marszałka Piłsudskiego, chcąc zastopować jego karierę. Natomiast uradowana lwowska endecja, za to trybunowe „prrrrrrr” w stronę Piłsudskiego, ufundowała po-

## Autorzy „Indeksu” w parodiach Mariana Buchowskiego

tem Ostoi-Leżarskiemu dziękczynny nagrobek, którego treść powyżej zacytowałem. Z kolei po 1989 roku – w ramach polityki historycznej – propaganda udająca naukę wprowadziła do szkolnych podręczników bzdurę, że to Hipolitowe „prrrrrrrr” wykrzywane było *odważnie w kałmuckie gęby Sowietów wkraczających do polskiego Lwowa*.

W otrzymanym liście z załączoną chusteczką była też informacja, że u państwa aptekarzostwa Leżarskich chusteczki prała i prasowała wybitna służąca, niejaka Jadzia Wygiełło. Zaciekawiał mnie trud owej wybitnej służącej, bo lud pracujący nigdy nie był mi obojętny.

Pojechałem więc znowu pod Lwów, gdzie w jednym z przysiółków mieszkała pani Jadwiga, teraz po mężu Czterozub.

Stanąłem u drzwi ubożego domostwa, z wnętrza którego dobiegał pełen nostalgii, przepelniony polskim patriotyzmem, czysty jak wody przedwojennej Prypeci, niewieści alt. Dłoń zastygła mi na klamce pamiętającej czasy Lenina, żelazną ręką poskromiłem ochotę prawej nogi na uczynienie kroku za próg. Włączyłem magnetofon. Kobieta intonowała kolejną, ściskającą serce zwrotkę:

*Wot, ruski kot-idiot  
Paszoł on zdieś na płot,  
A hardyj polski lew –  
Hops na wierzchołki drzew...*

(cdn)

### Jan Goczoł mógłby zacząć w ten sposób: Jesienne opady nastroju

Mój płot chmur sięga.  
Więc powiedz, Nepomucenie, którądy  
przełazi na moją stronę  
spasiony na wiekowej krzywdzie tej ziemi  
chromy kot sąsiadów,  
których duch zachłanny  
dobrej karmy szuka u Whiskasa?

I ledwie Słońce, to wiecznie płonące oko wszechświata,  
w nadrannej godzinie uchyli jawie powiekę –  
miastem trącające kocisko  
najpierw przymilnie mruga udając śląskiego swojaka,  
a potem, jak palcem przywykłym do rządzenia,  
grozi mi karcąco machając ogonem  
i długo, uparcie a głośno  
gra na obu moich trąbkach Eustachiusza  
to swoje szydercze „miauuuu”.

Com miał, tom miał! A tobie, kocie, wara!  
Nie ty będziesz rozdrapywał brudnymi pazury  
blizny moich ambicji i planów.

Wczoraj, o północnej godzinie,  
znowu Stary Ślązak, którego nie ma, ale jest,  
przyszedł i rzekł był łagodnie:  
– Nie szukaj ty, Jasiu, dziury w całym,  
bo szkoda na płotu naprawę psować ostatnią deskę ratunku.  
Lepiej ją starannie pociąć i na szczapy porąbać,  
a robotę snadnie w stos foremny, mimo drzazg, ułożyć,  
by drwa zdążyły poschnąć.  
Bo ciągnie zima sroga...



## Autorzy „Indeksu” w parodiach Mariana Buchowskiego

Andrzej Hamada *snułby taką opowieść:*

### Attyka z intrygującym motywem

Kiedy w 1952 roku, po studiach architektonicznych na Politechnice Gdańskiej, z nakazu pracy wyładowałem w Opolu, miasto i ludzie zrobili na mnie bardzo dobre wrażenie. Jakie ja wtedy robiłem wrażenie na mieszkańcach, to tego nie wiem. Wiem natomiast, że na jednej pani zrobiłem wówczas wrażenie fatalne. A było to tak.

Chcąc poznać historię przedwojennego Opolu, a zwłaszcza tę jej część, która dotyczyła architektury, nie mogłem się ograniczyć do przesiadywania w archiwum, przeglądania pozółkłych numerów „Oppelner Zeitung” i studiowania książkowych wydawnictw. Chodziłem więc w celach poznawczych po Opolu, chodziłem wolno, spacerkiem, zadzierając głowę, by podziwiać architektoniczne detale. I pewnie stojąc tak znieruchomiały – na niejednym przechodniu robiłem wrażenie dziwaka z leciutką niedomogą głowy. Mnie to nie przeszkadzało.

Podczas tych spacerów szczególnie zaintrygowała mnie trzypiętrowa kamienica przy jednej z najstarszych śródmiejskich uliczek Opolu. Bogato zdobiona elewacja, z pełną gamą akcesoriów klasycystycznych: rustyka i boniowania, pilastry i gzymsy gierowane, obramowania okien, portal z obowiązkowym trójkątnym tympanonem... Ale najbardziej zaciekała mnie wieńcząca kamienicę attyka, pełna jakichś dziwnych detali, których kunsztu z poziomu ulicy podziwiać nie sposób.

Ponieważ wejście do tego budynku zabito deskami, wszedłem do kamienicy stojącej naprzeciwko; też trzypiętrowej, ale zamieszkałej. Na trzecim piętrze zapukałem do jednych drzwi, brak reakcji, więc pukam do następnych. Otwiera pani w sile wieku. Mimo południa – ubrana w jedwabny, pstrokaty i zapięty bez przesadniej dokładności szlafrok.

– Czy jest tu kto? – pytam w formie żartu, bo taki mam zwyczaj, kiedy gdzieś zawitam.

Na to ona, z wschodniackim zaśpiewem i nordycką zalotnością: – A taki ładny kawaler to czego on ode mnie potrzebujący jest?

Przedstawiam się więc z imienia i nazwiska, że architektem jestem, że chciałbym szanowną panią prosić o klucz do drzwi strychowych, bo pragnę przez jej strychowe okno pooglądać z bliska detale dziewiętnastowiecznej attyki, która jest ozdobą kamienicy stojącej vis a vis...

Nie zdołałem dokończyć, bo w damę jakby piorun strzelił.

– Idzi ty w kibidu! Ty nie architekt żaden jesteś, zboczeniec! Zboczeniec, jak mi bóg miły. Jakaś Attykę będzie sobie podglądał, dziewiętnastoletnią, też to dziecko jeszcze. Na detaliów damskich podglądanie się bezwstydnikowi zebrało, tfuu, stójkowego zawołam... – kończyła już zza zamkniętych drzwi.

Stałem i ja jeszcze przez chwilę, skonfundowany posądzeniem o dewiację. Próbowałem wyjaśniać, że attyka to nie imię dziewczyny, tylko górny element budynku w postaci ścianki, balustrady lub rzędu sterczyn osłaniający dach, a „dziewiętnastowieczna” nie oznacza 19-letniej, tylko coś sędziwego, co ma już ponad sto lat...

Szanowna pani drzwi oczywiście już nie otworzyła.

Attykę jednak obejrzałem. Przez ponemiecką lornetkę, którą kupiłem od jednego z nielicznych w Opolu autochtonów. Zdobiły attykę dwa jakieś bardzo dziwne koty. Dziwne, bo jeden miał skrzydła jak dwupłatowy kukuruźnik, a drugiego ogromnie długi ogon wywinęty był w taką poziomą ósemkę, jaką się symbolizuje nieskończoność.

Kto, kiedy i dlaczego ogon tego kota na dachu wywinął w symbol nieskończoności – napiszę w następnym odcinku, do którego sam, bez niczyjej ingerencji, wymyśliłem już tytuł: „Wiatr gra na kocim ogonie”.



Kolekcja,  
Józef Chyży,  
linoryt

## Autorzy „Indeksu” w parodiach Mariana Buchowskiego

Adam Wierciński w nieistniejącym cyklu „Zza szybki pisanie”

### Prace ręczne

Dziś odcinek krótszy, bo mam zaległości: już pół kwietnia minęło, a ja w tym miesiącu zaledwie 67 książek zdażyłem przeczytać, zaś czasopism to nawet prawie tknąć nie zdołałem, bo co to jest jedynie 55 tytułów prasowych w ciągu dni czternastu uczynić lekturą i błędy redaktorów szpikulcem erudycji wydłubać? Marację moja wiekowa sąsiadka, która – za sprawą sklerozy – po kilka razy dziennie szepce mi tajemniczo: – W pisaniu, panie profesorze, każdy okruszek jest ważny, bo kto skąpił potu detalowi, ten na ostatku knota powił.

Prowadzę w „Indeksie” wytrwale cykl zatytułowany „Za szybkie pisanie”, bo jeszcze w XX wieku przygarąłem sobie do serca takie XV-wieczne powiedzenie, którego autorstwo przypisują Wredocie z Bucholca: *Rad wielce psowa sadna widoki, kto źdźbłem pogardzi w cudze oki. Sadno to oczywiście późniejsze sedno*, które u Mikołaja Reja występuje w pierwotnej formie i znaczeniu (od kulbaki przetarcie skóry na ciele jeźdźca): *Są ludzie, gdy go dotkną w sadno w obyczajach jego, w których się on kocha, chociaż nie o nim rzecz będzie, tedy się przecie nadziewa, iż to nań przymówki*.

W potocznym języku źdźbło używane jest na określenie niewielkiej ilości czegoś; oznacza okrucieństwo, odrobinę. W tym znaczeniu rodzajem językowego źdźbła jest np. ogonek, dzięki któremu „a” przeistacza się w „ą”, a ortograficznie bezpieczne „o” przekształca w studenczką zmore, czyli „ó”. O tym, że żadnego źdźbła językowego nie należy lekceważyć, spróbuję pokazać na konkretnym przykładzie.

Założmy, że student czyta książkę. Gdybym dla czezej mody gonił za nowinkami technicznymi i snobistycznie pisywał swoje teksty na komputerze, to po sformułowaniu *student czyta książkę* powinienem postawić ulubiony przez studentów piktogram, oznaczający coś śmiesznego (ja co drugą z ich prac zaliczeniowych powinienem, zamiast oceny, opatrywać tym znakiem). Wytężmy jednak wyobraźnię i założmy, że znalazł się student czytający książkę. Założmy dalej, że jest to książka z młodzieńczą prozą Czesława Miłosza z tomu „Inedita i kwita”, a na stronie 47 (trzeci wers od dołu) fragment: *Dziewoja na jego widok zeszywniała, skora do naprawy już być powinna...*

I wyobraźmy sobie teraz, że na stronicy z tym fragmentem kunsztownej linijki Miłosza usiadła mucha plujka, która – jak wiadomo – pstrzy odwiedzane miejsca. Tym razem usiadła nad literą „o” w wyrazie *skora* i zamiast przymiotnika *skora* powstał rzeczownik *skó-*

*ra*. Musza substancja pstrząca jest niebywale trwała, książka z tym skorygowanym przez muchę Miłoszem wraca do biblioteki, wypożycza ją jakaś uniwersytecka doktorantka, dociera do *skóry* muszego autorstwa i fragment *skóra do naprawy* odczytuje metaforycznie (wszak Miłosz to przede wszystkim poeta), co doktorantkę skłania do poszerzenia dysertacji o rozdział zatytułowany *Skóra do naprawy, czyli topos niewieściego bólu maskowany trzecioosobową narracją*.

Coraz mi trudniej choć o wątłą nić porozumienia z młodymi ludźmi, których – pożałuj Boże – kod kulturowy zapisany jest pojęciowymi hieroglifami, wypełniony prefabrykatami zaczerpniętymi z kolorowych czasopism i tv, a ich podstawowe skrzydlate słowo zaczyna się na k. A czy ci nasi dzisiejsi studenci wiedzą chociaż, co to jest ten kulturowy kod?

– Co to jest kod kulturowy? – zniecierpliwiony ugodziłem salę pytaniem, i sam byłem zdziwiony swoim okrucieństwem, bo przecież moje łagodne usposobienie i moja ortalionowa torba, zwana na Śląsku *taszą*, są na uczelni – jak to mówią studenci – legendarne (w Katedrze Kulturoznawstwa i Folklorystyki o tej torbie powstała nawet praca zatytułowana *Pełna książek tasza dwuosobowa kontra pokrowiec markowy skrywający śniadaniowe kanapki zamiast notebooka – symbolika, topika, percepcja, recepcja, trend*).

Przedłużające się, po pytaniu o kod kulturowy, milczenie przerwała wreszcie studentka z pierwszego rzędu. Z twarzą przypominającą Nektarię Płońską z powieści Witalija Skurkowańca „Cudownie daremny trud” (tłumaczenie Krystyny Fertner) i fryzurą noszoną w latach 50-tych przez autorkę „Witaj smutku” Françoise Sagan (prawdziwe nazwisko Françoise Quoirez), studentka pierwszego roku, ze słodką minką sienkiewiczowskiej Danuśki z „Krzyżaków” (opis miny na s. 231), wypaliła:

– Kot kulturowy to jest taki kot, o którym telewizja puszcza program w środku nocy, bo to jest kot, który budzi ciekawość osób kulturalnych albo mądrych w jakiś taki dziwny sposób, i dlatego oni nie muszą rano wstawać.

Wziąłem tedy w garść „legendarną” torbę, ruszyłem ku drzwiom. Usłyszałem jeszcze, jak jeden do drugiego młodzieniec mówił w jakimś egzotycznym narzeczu, chyba o muzyce: „Rzuć mi kesz do kara to się drajwne do szopa po pół basa”.

Barbara Kurzak

## Co siedzi w szmince?

Zaferowani różnymi sprawami życia codziennego zwykle nie zastanawiamy się, co nam szkodzi, a co nie. Świadomość różnych zagrożeń płynących z różnych stron życia jest coraz większa w społeczeństwie, głównie jeśli chodzi o żywność. Tu zarówno prasa, jak i radio czy telewizja dostarczają nam informacji na temat szkodliwości różnych produktów czy też dodatków do tych produktów, np. niektórych konserwantów, barwników itp.

Zbliżając się do stoiska z żywnością, zachowujemy się zupełnie inaczej, niż podchodząc do stoiska z kosmetykami. Kupując produkty spożywcze, zwykle włączamy większość swoich zmysłów – czytamy skład produktu, zwracając uwagę na termin ważności do spożycia, na to, czy zawiera barwniki, konserwanty itp. Często zwracamy uwagę na zapach. Bywa, że prosimy o możliwość spróbowania produktu. Tak robimy np. w przypadku krojonych serów czy wędlin. Zwracamy uwagę na producenta – jedni z nich cieszą się naszym uznaniem inni zaś – nie.

A co robimy, wchodząc do sklepu z kosmetykami? Wyłączamy nasz rozum. Kupujemy oczami. Cieszą nas kolorowe opakowania, błyszczące produkty. Sugerujemy się tym, co ostatnio czytaliśmy lub widzieliśmy w reklamie. Wizja braku „kurzych łapek”, pięknych błyszczących ust czy bosko podkreślonych oczu odbiera nam rozum. W zdecydowanej większości nie szukamy informacji odnośnie składu produktu – jego potencjalnej szkodliwości czy terminu ważności. Ufamy ślepo reklamie i wierzymy, że jak coś ma nas pozbawić zmarszczek, to nas ich pozbawi.

Zadajmy sobie pytanie: czy kosmetyki mogą nam szkodzić? W pierwszym odruchu zapewne odpowiemy – ależ skąd! Kosmetyki?

A jaka jest prawdziwa odpowiedź?

Kosmetyki mogą nam szkodzić głównie z dwóch powodów: zawartości szkodliwych substancji lub nieprawidłowego stosowania. Albo z obu tych powodów jednocześnie.

Spójrzmy na kosmetyki tzw. kolorowe, czyli między innymi: szminki, błyszczki do ust, kredki i cienie do powiek czy pudry. Jestem przekonana, że zdecydowana większość pań nie zastanawia się na tym – co siedzi w szmince, a biorąc pod uwagę fakt, że w ciągu życia kobieta zjada, oblizując usta, od 5 do 7 kilogramów szminki, nie powinno być obojętne żadnej z nas, co zjadamy wraz ze szminką.

A co siedzi? Głównie oleje, takie jak: oliwa z oliwek, oleje mineralne, olej rycynowy z rącznika (castor

oil), który tworzy delikatny, cienki film na ustach po wyschnięciu szminki. Zastosowanie dużych ilości tego oleju w szmince powoduje jednak przykre objawy ze strony układu pokarmowego. W szmince są i tłuszcze, takie jak masło kakaowe, lanolina (jest to wydzielina gruczołów łojowych owiec, której skład do końca nie jest poznany) czy wazelina. Jak każdy kosmetyk, szminka zawiera konserwanty: heksachlorofen – zapobiega on namnażaniu się bakterii, ale bardzo wysusza usta, gumę arabską – konserwant, który z czasem staje się pożywką dla bakterii, a także pigmenty – naturalne bądź syntetyczne oraz związki nadające szminkom perłowy połysk.

Przyjrzyjmy się bliżej pigmentom, gdyż te stosuje się szeroko w tzw. kosmetykach kolorowych, czyli oprócz szminek, również w kosmetykach do oczu czy pudrach. Dzisiaj modne są pigmenty naturalne. Wydaje się nam, że jak naturalne, to zdrowe. A co to są te pigmenty naturalne?

Do pigmentów naturalnych zaliczają się glinokrzemiany, takie jak: kaolin – czysty, jak również kaoliny zanieczyszczone związkami metali ciężkich oraz ultramaryny. Związki typu ultramaryny zawierają w swej sieci między innymi siarkę w postaci anionorodników  $S_2^{\bullet-}$  i  $S_3^{\bullet-}$ . O wolnych rodnikach słyszeli chyba wszyscy. I chociaż większość z nas nie do końca wie, co to jest, to wszyscy wiedzą, że należy się ich wystrzeżać ze względu na ich szkodliwość. Inne znane pigmenty glinokrzemianowe to: umbra, ochra czy ugier. Umbra brązowa jest pigmentem zanieczyszczonym związkami manganu i żelaza. Ochra ma barwę od jasnożółtej do brązowej, w zależności od stężenia i rozdrobnienia związków żelaza.

Do pigmentów syntetycznych zalicza się pigmenty interferencyjne, będące połączeniem miki i tlenków metali. Podstawowym przedstawicielem tej grupy jest mika pokryta niezwykle cienkimi warstwami ditlenku tytanu ( $TiO_2$ ) albo tlenku żelaza (III) ( $Fe_2O_3$ ) – oba tlenki mają wysoki współczynnik załamania światła. Jeśli grubość warstwy  $TiO_2$  mieści się pomiędzy 40 a 60 nm, otrzymujemy efekt perłowy, srebrzysty. Jeśli wartość ta rośnie, obserwuje się efekt tężowania kolorów. Jeśli na warstwę któregoś z tlenków nałożymy warstwę innego tlenku metalu, uzyskuje się kombinację kolorów. Pigmentami syntetycznymi są również tzw. pigmenty transparentne, które otrzymuje się w wyniku wytrącania barwników bezpośrednio na mlice. Układy te cechuje duża intensywność i czystość barwy. Związkami nieorganicznymi stosowanymi do

otrzymywania pigmentów transparentnych są: tlenek żelaza, żelazocyjanek żelazowy, tlenek chromu.

Jak widać z tego bardzo krótkiego i z konieczności pobieżnego opisu pigmentów, zawierają one szkodliwe dla naszego zdrowia rodniki i jony metali. Kilka zdań chciałabym poświęcić pigmentom srebrzystym, do których zalicza się masę perłową (guaninę) określaną czasem mianem esencji perłowej, a którą pozyskuje się na drodze ekstrakcji z łusek i skóry sardynki, śledzi i białej uklei. Ze względu na wysoką cenę, charakterystyczny, trudny do zamaskowania rybi zapach oraz trudności przy konserwowaniu, używa się tego pigmentu głównie do wysokiej klasy lakierów do paznokci.

Na początku XX wieku odkryto, że podobny do guaniny efekt perłowy wywołują niektóre sole bizmutu. Okazało się jednak, że bizmut może powodować objawy zapalenia dziąseł. Gdy wystąpi taka dolegliwość, należy natychmiast przerwać stosowanie substancji zawierającej bizmut, w przeciwnym wypadku mogą wystąpić poważne owrzodzenia jamy ustnej.

Czy w tej sytuacji jesteśmy bez wyjścia? Mamy zaprzestać stosowania perłowych szminek i błyszczaków? No nie, tak źle nie jest. Połysk perłowy mogą nadawać substancje typu wosków. Związkami takimi są niektóre glicerydy, kwasy tłuszczowe czy estry glikolowe. Układy te w zależności od swojej budowy chemicznej mogą powodować różnorodne efekty perłowe, a ich intensywność w dużej mierze zależna jest od stężenia użytego związku.

Zatem, mamy wybór. Tylko musimy chcieć z niego skorzystać!

A co ze szkodliwością szeroko stosowanych kosmetyków do oczu, takich jak tusze do rzęs, cienie do powiek czy kredki itp.? Są one przecież przeznaczone do stosowania zewnętrznego i teoretycznie nie powinny nam zaszkodzić.

A jaka jest prawda?

Musimy mieć świadomość, że nasze oko nie jest oddzielnym bytem. Wiele rzeczy dostaje się do organizmu np. przez kanały łzowe. Działania niepożądane kosmetyków na powierzchni oka to m.in. uczucie dyskomfortu (popularny piasek pod powieką), zapale-

nie spojówek, rogówki, alergię. Te niepożądane efekty mogą być wywołane obecnością w kosmetyku barwników zawierających chociażby chrom, bizmut, ołów –  $Pb(CO_3)$  stosowany, jako pigment, nadaje cieniom perłowy blask – czy kadm. Gdy kadm dostanie się do organizmu, najpierw jest transportowany do wątroby. W tym narządzie tworzą się kompleksy kadmu z białkami, które następnie trafiają do nerek, gdzie się kumulują. Powoduje to usuwanie ważnych białek oraz cukrów z organizmu, a następnie prowadzi do uszkodzenia nerek. Kadm skumulowany w nerkach jest z nich bardzo wolno usuwany.

Musimy mieć przy tym świadomość, że kosmetyki nie są jedynym źródłem szkodliwych substancji, bo



Fot. Magdalena Włodarczyk (ze zbiorów Instytutu Sztuki UO, Pracownia Fotografii)

np. ołów znajduje się między innymi w wodzie (z ołowianych rur i kranów), w pyłe z dawno temu malowanych ścian, na hałdach i zanieczyszczonych glebach czy wreszcie w zabawkach z Chin.

A może pudry są wolne od szkodliwych substancji? Niestety – nie. Zawierają one związki glinu, boru, tytanu i manganu. Glin jest zupełnie niepożądanym metalem w naszym organizmie. Spore znaczenie ma również kaolin, będący naturalnym glinokrzemianem oraz związki boru (kwas borowy, kwas ortoborowy, Borofax). Kwas borowy ma postać połyskliwych płytek lub drobnokrystalicznego proszku. Kwas ten oraz jego związki, działając odwadniająco na protoplazmę komórki, zaburzają przemianę materii, zakłócają jej gospodarkę elektrolitową oraz równowagę kwasowo-zasadową. Z ran i błon śluzowych związki boru resorbują się, wykazując przy tym tendencję do kumulowania się w organizmie, głównie w mózgu, tkance tłuszczowej i wątrobie. Małe dzieci i niemowlęta są szczególnie wrażliwe na związki boru. Ponieważ kwas borowy, podobnie jak boraks, wykazuje jedynie słabe właściwości przeciwbakteryjne i przeciwgrzybicze, zaleca się zastępowanie go innymi konserwantami.

Ditlenek tytanu w kosmetyce pełni rolę tzw. pigmentu wypełniającego, obecnego praktycznie we wszystkich produktach kosmetyki kolorowej. Wyprodukowanie pudru o bardzo silnych właściwościach kryjących wymaga zastosowania ditlenku tytanu, samego lub w połączeniu z tlenkiem cynku, w ilościach od 10 do 15%. Drugi co do popularności biały pigment – tlenek cynku (ZnO) ma kilka razy mniejszą moc krycia. Niestety, pod wpływem promieniowania UV ditlenek tytanu absorbuje foton, a następnie zostaje wyemitowany elektron. Elektron reagując z tlenem produkuje rodnik nadtlenkowy. Poza tym, powstają rodniki hydroksylowe. Powstające rodniki są bardzo reaktywne i reagują z każdym dostępnym materiałem biologicznym. Mogą one reagować z DNA, bakteriami, wirusami, lipidami, proteinami oraz węglowodanami. Pod wpływem promieniowania UV ditlenek tytanu katalizuje również powstawanie zmian w DNA ssaków. Zmiany te są powodowane bezpośrednio przez rodniki tworzące się w wyniku naświetlania ditlenku tytanu. Rodniki powodują także zmiany w strukturze chromosomów w komórkach ssaków. Fotoutlenianiu mogą ulegać nie tylko składniki preparatów kosmetycznych,

ale także nienasycone lipidy znajdujące się w warstwie lipidowej naskórka.

W kosmetyce stosowane są też substancje tzw. nano- (nanosomy, liposomy Ag-nano, Zn-nano), które ze względu na swoje rozmiary przenikają przez skórę i dostają się do krwioobiegu. Jakie będą skutki stosowania tych substancji w dłuższym czasie? Dzisiaj nikt nie wie.

Może w takim razie należy zwrócić się ku naturze. Czy natura może szkodzić? W niektórych przypadkach – przede wszystkim natura. Przyjrzyjmy się olejkom naturalnym. Okazuje się, że najsilniej alergizują: rumianek, nagietek, kit pszczeli i... popularny aloes! Kremy tzw. chemiczne mogą być wówczas jedynym ratunkiem.

Coraz więcej roślin, uznawanych potocznie za lecznicze, zawiera w sobie szkodliwe substancje, pobierane z zanieczyszczonego powietrza. I tak np. zanim położymy plastry ogórka na twarz, warto przypomnieć sobie, gdzie był kupowany. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ktoś spryskał go wcześniej substancją, na którą skóra zareaguje buntem. Dzisiaj pojęcie „sama natura” niekoniecznie oznacza to samo, co „samo zdrowie”.

Temat szkodliwości kosmetyków jest bardzo obszerny. Należałoby wspomnieć jeszcze o konserwantach (mam tu na myśli formaldehyd – podejrzewany o wywoływanie silnych alergii, a także o wywoływanie raka i choroby skóry czy parabeny, które ze względu na działanie na receptory estrogenne nie powinny być używane w kosmetykach, zwłaszcza jeśli są stosowane w okolicach klatki piersiowej, jak dezodoranty czy antyperspiranty).

Czy w tej sytuacji nie stosować kosmetyków? Stosować, ale: tylko kosmetyki dobrych, sprawdzonych firm. Trzeba też zwracać uwagę na termin ważności kosmetyku, jego skład (nie stosować kosmetyków bez podanego składu), używać kosmetyków o jak najjaśniejszym zabarwieniu i zgodnie z przeznaczeniem (np. kremy z liposomami).

**Barbara Kurzak**

Bartłomiej Kozera

## Kult Siebie

Było naturalną rzeczą, że czas studiów stanowił przyspieszony kurs poznawania samego siebie. Służyły temu wielorakie zajęcia na uczelni, ale także czytelnia i biblioteka, spotkania z kolegami na roku czy w akademiku. To poznanie siebie było punktem wyjścia do troszczenia się o siebie. Znajdowałem bowiem w sobie liczne niedostatki, toteż nie bardzo ceniłem to, co wiedziałem. Ceniłem to, co zyskiwałem na zajęciach, w czytelni.

Tak było kiedyś. Łacińskie słowo *studeo* znaczyło dokładnie *starać się usilnie o coś, przykładać się do czegoś*. Każdy student miał świadomość, że to ostatni etap kształcenia, po którym wstąpimy do sfery zwanej inteligencją. Wstyd było nie wiedzieć, głupio było nie rozumieć. Ale i przeciwnie: warto było się wyróżnić, być lepszym.

Dzisiaj jest inaczej. I to z wielu powodów. Poszatkowano studia. Nic nie jest ostatnie, bo najpierw licencjat, na którym realizowany jest cały program w sposób przyspieszony. Potem magisterium, na którym nie wiadomo, co robić, a potem dalej studia doktoranckie i rychło chyba habilitacyjne. Jasna perspektywa straciła swoją przejrzystość. Ogromny pośpiech na pierwszym etapie i leniwy chód na drugim. Nie wiadomo, co na trzecim – to jeszcze student, czy już nie.

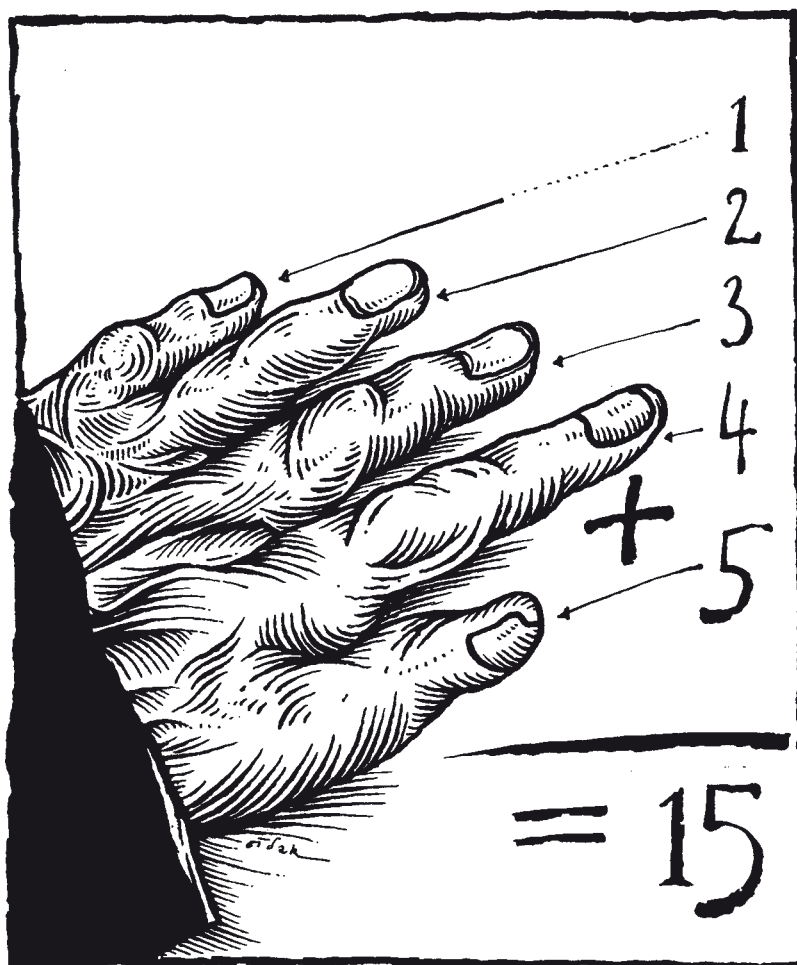
Temu studentowi nie są winni i to jest dopiero pół biedy. Druga połowa jest równie okropna. Oto obserwuję obecnie wśród studentów nie dawną troskę o siebie, ale zupełnie nowe zjawisko. Mianowicie kult Siebie. Uznanie siebie za wartość najwyższą. Wartość autoteliczną.

Po pierwsze, sami do tego kultu Studenta przykładamy rękę. Oto student staje się najważniejszy na uczelni. O niego zabiegamy, dla niego zmieniamy programy. By miał łatwiej, by było prościej. Znosimy egzaminy, luzujemy zaliczenia, zaniżamy kryteria. Po drugie, przymykamy oczy na występujące elementy tego kultu wśród studentów. Na przykład na picie piwa na terytorium uniwersytetu,

wulgaryzm językowy studentów i studentek. Nie reagujemy na to, co jest błędem władz uniwersytetu i pracowników. Po trzecie, udajemy, że nie dotyczy nas studencka buta, bezczelność. Owszem w Opolu nie jest jeszcze źle, ale nie cieszymy się tym, to się i u nas będzie rozwijać. Dawna skromność poszła w zapomnienie, w grze jest często nawet chamstwo studentów.

Efekty kultu Siebie każdy z nas dostrzega. Oto zakończyła się sesja zimowa. Tych studentów, którzy dobrze byli przygotowani do egzaminów, można zliczyć na palcach. Reszta jest dumna ze swojej niewiedzy i za cholere nie da się przymusić do uczenia. Dwój też mi nie wolno stawiać, bo instytuty zlikwidują egzamin, z którego studenci nie zdają.

Myślę, że jeśli zanika szacunek dla nauki, dla wiedzy, to tylko patrzeć jak zniknie szacunek dla jej depozytariuszy.



Dodawanie, rys. Leszek Ołdak

## Joachim Piecuch

Pewna pani postanowiła kupić odkurzacza, aby ułatwić sobie sprzątanie w domu. Udaje się do sklepu i pyta sprzedawcę o radę. Ten pokazuje jej najnowszy model i zachwala go słowami: „ten odkurzacza zaoszczędzi pani połowę pracy”. Na to klientka: „świetnie, to poproszę dwa”.

Tym żartem spróbujmy dzisiaj wejść w świat logiki. Dlaczego ten żart jest zabawny? Jego przesłanki są prawdziwe, a pozornie normalne rozumowanie prowadzi do niewątpliwie fałszywego wniosku. Za prawdziwą przesłankę należy bowiem przyjąć, iż odkurzacza zaoszczędzi połowę pracy. I rozumowanie, że skoro jeden odkurzacza odbierze nam połowę pracy, to dwa powinny zrobić za nas całą robotę, zdaje się być poprawne. A jednak zdrowy rozsądek i doświadczenie uczą nas, że taki wynik rozumowania jest absurdalny i do tego jeszcze bardzo śmieszny.

Formę rozumowania, która, wychodząc od prawdziwych przesłanek, prowadzi do fałszywego czy sprzecznego wniosku nazywamy po łacinie *reductio ad absurdum*, czyli „redukcją aż do absurdu”. Po raz pierwszy w dziejach myślenia filozoficznego do takiego sposobu rozumowania uciekł się Zenon z Elei.

Aby poznać sens jego wywodów, musimy sobie krótko przypomnieć poglądy działającego też w Elei jego mistrza Parmenidesa.

Czy pamiętamy je jeszcze?

Na wszelki wypadek przypomnijmy je sobie i zrekonstruujmy jeszcze raz.

Parmenides twierdzi, że:

po pierwsze, to co istnieje, to istnieje;

po drugie, to co nie istnieje, to nie istnieje;

To przecież takie oczywiste: albo coś istnieje, albo nie istnieje. Trzeciej możliwości nie ma.

Jednakże czeka nas tutaj niespodzianka. Parmenides wyprowadza bowiem stąd wniosek, że nie istnieje żadna zmiana w świecie. Bo każda zmiana oznacza, że wprawdzie czegoś nie ma, a potem to jest. Ale to, czego

wprawdzie nie ma, nie istnieje, a z tego zaś co nie istnieje, nie można wyprowadzić czegoś, co jest.

Zachodzenie zmian w tym świecie jest niemożliwe do pogodzenia z naszymi rozumowymi wywodami.

Doświadczenie zmysłowe wprawdzie poucza nas o zachodzeniu takich zmian. Temu doświadczeniu nie należy jednak wierzyć, jest ono złudne i zwodnicze.

Skoro nie ma zmiany, to i nie ma ruchu. Również on jest iluzją.

I to pragnie nam udowodnić Zenon z Elei.

W swym najśłynniejszym paradoksalnym rozumowaniu poucza nas, że Achilles, najszybszy biegacz starożytnej Grecji, nigdy nie dogoni żółwia, gdy ten żółw wcześniej rozpoczął swój bieg. Gdy Achilles dobiegnie do owego miejsca, gdzie był poprzednio żółw, upłynął jakiś czas. A w tym czasie żółw też posunął się nieco do przodu. Gdy Achilles dociera do kolejnego miejsca, gdzie poprzednio znajdował się żółw, ten znowu w tym czasie pokonał jakiś odcinek drogi. I tak dalej w nieskończoność. Achilles nigdy nie zrówna się z żółwiem, a zatem nigdy go nie dogoni. Stąd wniosek: ruchu w ogóle nie ma, a to, co postrzegamy jako ruch, jest tylko mamieniem naszych zmysłów.

Kolejny paradoks Zenona mówi, że biegacz nigdy nie osiągnie swego celu, bo aby przebiec jakiś odcinek, musi wprawdzie pokonać połowę tego odcinka, a potem z kolei połowę tej pozostałej połowy, a potem znowu połowę tej kolejnej pozostałej połowy, a potem znowu połowę następnej połowy i tak w nieskończoność. Jednym słowem, odcinek możemy dzielić w nieskończoność na połowy. Biegacz zatem nie osiągnie nigdy mety. Czegoś takiego, jak ruchu albo zmiany, zdaniem Zenona z Elei, zatem nie ma.

Rozumowanie stosowane przez Zenona, czyli redukcja aż do absurdu, jest bardzo przydatnym narzędziem w dyskusjach. Po co komuś dowodzić, że jego stanowisko jest nieprawdziwe, lepiej sprawdzić, co może z niego wyniknąć. Następnie tak poprowadzić rozumo-

wanie, że wnioski z niego wyciągnięte są absurdalne i niemożliwe do przyjęcia. Łatwiej wykpić czyjeś poglądy i argumenty, niż sformułować własną opinię.

Z absurdami mamy do czynienia niemal każdego dnia. Zawdzięczamy je przede wszystkim politykom i urzędnikom. Serwują nam oni jakoby słuszne poglądy czy decyzje, a po czasie ujawnia się absurdalność ich polityki i postanowień. Aby wykazać absurdalność czegoś w wywodzie logicznym, nie trzeba zbyt dużo czasu, natomiast w polityce ujawnia się ona, niestety, do-

piero po czasie. Tym dotkliwsze są dla nas ich skutki.

A wracając do kupna odkurzacza, który wykonuje połowę roboty, to drugi kupiony odkurzacz załatwi jedynie połowę pozostałej połowy roboty, trzeba więc kupić kolejny, który znowu wykona połowę tej jeszcze pozostałej połowy roboty. I tak w nieskończoność trzeba kupować odkurzacze, a robota i tak zawsze wykonana będzie jedynie w połowie.

**Joachim Piecuch**



Fot. Tadeusz Parcej



Adam Wierciński

## Za szybkie pisanie (26)

O popularności książek poświęconych historii: *Można nawet postawić tezę, że momentem przełomowym były pierwsze publikacje książek Normana Daviesa, brytyjskiego naukowca [sic!], który z ironią, ale i z podziwem nazywany jest najwybitniejszym historykiem polskim. Ma zresztą ten autor oprócz ogromnego grona wielbicieli i wiernych czytelników też grupę zażartych przeciwników, którzy jednak – jak się złośliwie ocenia – wywodzą się głównie spośród zawiedzionych polskich autorów, którzy mu nie dorównują talentem literackim i kreatywnym, jak też – co jest bezsporne – autokreatywnym* (Piotr Dobrołęcki, *Dobre książki historyczne. Od Daviesa do Snydera*, „Książki. Magazyn Literacki” 2012, nr 11, s. 18).

Naukowiec to szeregowy pracownik naukowy, nie zbyt pasuje to określenie do Normana Daviesa, wybitnego, znanego szeroko w świecie, pisarza historycznego. Stosowniej byłoby go nazywać uczonym. Sławny matematyk, Hugo Steinhaus, pokpiwał: *Naukowiec to taki, co wymyślił ten wyraz!* A Davies to przecież instytucja jednego człowieka. Jego dorobkiem można by było obdzielić kilka poważnych instytutów naukowych. A że utalentowany historyk czasem za szybko pisze i wydaje książki, to już inna sprawa. Nie lubi też chyba wracać do wcześniejszych prac. I poprawiać nie lubi. Nawet błędów, które wytknęli mu tacy znawcy historii Polski, jak prof. prof. Stefan Kieniewicz („Przegląd Historyczny” 1984, z. 2) i Janusz Tazbir (Nowe Książki” 1990, nr 2), nie chciało mu się poprawić w tytuł polskich wydaniach *Bożego igrzyska*.

A Wydawca, zamiast podziękować za krytyczne uwagi, i poprawić żenujące czasem wpadki znakomitego Autora, pokpiwa z krytyków i recenzentów: *Nie mogąc znieść jego popularności ani mierzyć się z nim talentem pisarskim, wyżywają się w złośliwych recenzjach, skwapliwie wykazując potknięcia faktograficzne, przekreślone daty bądź imiona panujących* (Jerzy Illg, *Mój znak*, Kraków 2009, s. 264).

A w *Bożym igrzysku* nie tylko pełno potknięć faktograficznych, tam też sporo zmyśleń można znaleźć (to, co napisał Davies o szlachcie zaściankowej i zagonowej, nadaje się do rubryki: *Humor zeszytów szkolnych*). Za dużo zmyśleń i wzmianek w tym dziele polecanym uczniom i studentom. O kilku ich dziesiątkach pisałem ostatnio (zob. *Zagończyk historiografii polskiej*, „Strony” 2010, nr 1, s. 264–280; *Zmyślenia Normana Daviesa*, „Pamiętnik Literacki” [Londyn] 2010, t. XL, s. 91–93).

Czy to pięknie uczącej się młodzieży polecać książki z błędami? Czy polecający naprawdę przeczytali je uważnie. I jeszcze Wydawca powtarzający w tytuł wy-

daniach tyle wzmianek. I kompromitujący znakomitego Autora. Pomyłki – ludzka rzecz, ale po co je powielać. Po co pomniejszać rolę wnikliwych krytyków, po co wmawiać im małostkowość czy złośliwość?

\*\*\*

Recenzent o książce Jeffreya Eugenidesa: *W „Intrydze małżeńskiej” – jeśli wolno tak powiedzieć – Eugenides poszedł na całość* (Dariusz Nowacki, *I ty zostaniesz wiktorianistą*, „Gazeta Wyborcza” 2013, nr 44, s. 12).

Lepiej tak nie mówić ani nie pisać, może się przecież zdarzyć, że recenzję przeczyta ktoś o nieco większej wrażliwości językowej, kto odczuwa jeszcze niestosowność i niedoborowość takich zwrotów. Tłumaczył kiedyś czuły na piękno języka znawca: *Wiele osób nie widzi już np. nic niestosownego w wyrażeniu „na całego” i „iść na całość”. Tymczasem wystarczy tylko chwila refleksji, by się domyślić, jaką to czynność odziera się z wszelkiej intymności i sprowadza do jednego ruchu, mówiąc w ten sposób. Czy nikt naprawdę nie zdaje sobie sprawy z podstawowego znaczenia tego określenia?* (Andrzej Markowski, *Polszczyzna znana i nieznaną*, wyd. 2 rozszerzone, Gdańsk 1999, s. 23).

\*\*\*

Mylenie czasów i nazw: *W 1903 r. Makuszyński zdał maturę i zapisał się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu im. [sic!] Jana Kazimierza [sic!] we Lwowie* (Jolanta Przybylska, *Życie i dzieła pana Kornela*, „Biblioteka. Szkolne Centrum Informacji” 2012, nr 6, s. 5).

Kiedy Makuszyński zaczął studia, uniwersytet we Lwowie nazywał się inaczej, był to ck Uniwersytet imienia Cesarza Franciszka Józefa. Uniwersytet Jana Kazimierza (bez zbędnego „im.” w nazwie) istniał w latach 1919–1939.

\*\*\*

O Janie Jerzym Pinslu, znanym rzeźbiarzu, twórcy lwowskiej szkoły rzeźbiarskiej, który w XVIII wieku ozdabiał pięknymi rzeźbami kościoły i cerkwie na Podolu i na Rusi Czerwonej: *Pinsel był bowiem przybyszem z obcego kraju, który w Galicji [sic!] znalazł warunki dla rozwoju swojego artystycznego geniuszu, przyczyniając się do wzbogacenia kultury dawnej wieloletniej Rzeczypospolitej* (Wojciech Kononczuk, *Rzeźbiarz rozdarty*, „Rzeczpospolita” 2013, nr 40, s. P9).

Pinsel zmarł w latach sześćdziesiątych XVIII wieku (w 1761?, w 1762 roku?), a Galicją i Lodomerią przezwali Austriacy zagarnięte przez siebie ziemie po

pierwszym rozbiórce Polski. Pinsel nie znał kraju o takiej nazwie. Kraju koronnego Habsburgów.

\*\*\*

Kamyk do bliskiego ogródka. W ostatnim „Indeksie” o konferencji na Uniwersytecie w Białymstoku: *Wielu badaczy krytycznie wypowiedało się o współczesnych spisach ludności w Europie, w tym i w Polsce, gdyż większość mieszkańców Europy, zarówno Zachodniej jak i Wschodniej, nie identyfikuje siebie w oparciu o kategorię narodu. W carskiej Rosji zasadniczym pytaniem było pytanie o wyznanie* (Beata Gaj, „*Cathedra Mediterranea*”, czyli *pośrodku ważkich dyskusji*, „Indeks” 2013, nr 1-2, s. 84).

Długo by pisać o tym, czy naprawdę większość Europy, zarówno Zachodniej jak i Wschodniej, nie identyfikuje siebie w oparciu o kategorię narodu. Bywa różnie. Na zachód od Łaby ważniejsze obywatelstwo (prawo ziemi) od pochodzenia etnicznego, na wschód od niej – narodowość. Ale już w Bośni czy w Bułgarii – wyznanie. A na pograniczach często materii pomieszanie. Mieszkają tam ludzie czasem o chwiejnym poczuciu narodowym; dwujęzyczni, a czasem i dwunarodowi, mogliby powtórzyć za alzackim pisarzem o francuskim imieniu i niemieckim nazwisku: *Moje serce jest za duże na jedną ojczyznę, a za małe na dwie* (René Schickele). Zdarzało się na pograniczu litewsko-białoruskim w XIX wieku, że dziadkowie znali jeszcze język litewski, średnie pokolenie na co dzień posługiwało się językiem „prostym” (gwarą białoruską z licznymi lituanizmami i polonizmami), a dzieci mówiły po polsku.

Na Spiszu i Orawie kilkadziesiąt tysięcy osób mówiących polską gwarą góralską czuje się Słowakami; niektórzy poczuwający się do niemieckości na Śląsku za swoją *Muttersprache* uważają przede wszystkim

poliszczynę śląską. „Tutejszych” tu i tam też nie brakuje. Na Podlasiu można spotkać wyznawców „polskiej wiary”, tzn. katolików, i „ruskiej wiary” – prawosławnych. Jak na Kaszubach w XIX wieku, gdzie odróżniano „polską wiarę” (katolicyzm) od „niemieckiej wiary” (protestantyzmu).

W carskiej Rosji pytano o wyznanie podczas spisu w 1897 roku, to prawda, ale ważniejsze było kryterium językowe. Język uważano tam za najważniejszy wyznacznik narodowości. Stąd też carscy rachmistrze traktowali katolików zamieszkujących zachodnie gubernie Cesarstwa, dwujęzycznych, a bywało i trójjęzycznych, posługujących się na co dzień tzw. „językiem prostym” (gwarami na substracie białoruskim i ukraińskim), a przywiązanych do polskości (język polski był dla nich językiem kultury i religii), jako Białorusinów i Małorusinów (tak nazywali wtedy Rosjanie Ukraińców). A ich język jako „chłopskie narzeczce”, regionalną odmianę języka rosyjskiego.

\*\*\*

Uwagi krytyczne recenzentki: *W pracy poświęconej dziejom książki chciałoby się widzieć staranniejszą robotę redakcyjną. Liczba literówek, błędów interpunkcji czy nawet składni przekracza granicę, od której można się nie upierać z ich wytykaniem. Jeden wszakże błąd wydaje się kompromitujący. Otóż w szeregu wskazanych rejonów, dokąd docierała książka lwowska, znalazło się województwo „łódzkie”. Biedny ten Łuck, tak dziś zapomniany. Któż pamięta bowiem województwo łuckie?* (Irena Janowska-Woźniak, *W wydawniczym Lwowie*, „Nowe Książki” 2013, nr 2, s. 23).

Nikt nie może pamiętać. Nawet starzy Wołynianie nie pamiętają. Można je tylko wymyślić. Przed wojną nie było takiego województwa. Było województwo wołyńskie ze stolicą w Łucku.

Inna recenzentka, też za szybko pisząca, chwali autora książki poświęconej Iwaszkiewiczowi: *Przynajmniej dwa [fakty] zasługują jednak jeszcze na wzmiankę. Pierwszy to ten związany z doświadczeniami wojskowymi autora „Brzeziny” w czasie walk na Podolu, podczas wojny polsko-bolszewickiej [sic!]. Jak dowiadujemy się od [Radosława] Romaniuka, jednostka artylerii, do której zgłosił się pisarz (zaprzeczający wielokrotnie, jakoby służył w armii) została wówczas użyta do pacyfikacji wsi ukraińskich* (Jagoda Wierzejska, *Bardziej niż prawdziwy*, „Nowe Książki” 2013, nr 2, s. 60).

Pomieszanie z poplątaniem. Iwaszkiewicz był dwukrotnie żołnierzem-ochotnikiem, w 1918 roku i w 1920. O swoich żołnierskich

ławniczy, zaświad-  
we Lwowie co naj-  
4,2 proc.), ukraiń-  
e, że według spisu  
yk ojczysty wyno-  
według autora, że  
ewództw z ludnoś-  
skonfrontowanie  
za Lwowem, mo-  
ienności tej grupy  
zgrupowany tak

· Na koniec pewna uwaga pod adresem wydawcy: w pracy poświęconej dziejom książki chciałoby się widzieć staranniejszą robotę redakcyjną. Liczba literówek, błędów interpunkcji czy nawet składni przekracza granicę, do której można się nie upierać z ich wytykaniem. Jeden wszakże błąd wydaje się dość kompromitujący. Otóż w szeregu wskazanych rejonów, dokąd docierała książka lwowska, znalazło się województwo „łódzkie”. Biedny ten Łuck, tak dziś zapomniany! Któż pamięta bowiem województwo łuckie? ☉

„Nowe Książki” 2013, nr 2, s. 23.

Nikt nie może pamiętać o *województwie łuckim* [sic!]. To przecież niemożliwe. Przed wojną istniało województwo wołyńskie ze stolicą w Łucku.

doświadczeniach pisał obszernie w *Książce moich wspomnień*. A że gdzie indziej napisał, że nie był *żołnierzem regularnej armii*, to już inna sprawa. Tłumaczył w *Książce...*, dlaczego ociągał się przed wstąpieniem do wojska w 1920 roku: *Co innego była wiosenna wyprawa na Podole w 1918 roku, co innego służba w regularnej armii o dyscyplinie wzorowanej na pruskiej i wśród ciężkich bojów, które utrudniała jeszcze bardzo śnieżna i mroźna zima* (s. 214). To nie w czasie wojny polsko-bolszewickiej służył Iwaszkiewicz w artylerii konnej na Podolu; był żołnierzem III Korpusu Polskiego wiosną 1918 roku, kiedy jeszcze nie było państwa polskiego, w czasie niemiecko-austriackiej okupacji Ukrainy.

Niektórzy mitologizują żołnierkę Iwaszkiewicza, trudno im, zdaje się, uwierzyć, że ten pacyfista dwa razy na ochotnika zgłaszał się do wojska: *Kiedy w 1818 roku sam został powołany pod broń [sic!], szybko okazał się pacyfistą, gdy tylko odczuł na własnej skórze rozczarowanie wobec dziejącej się na jego oczach historii: „zinstrumentalizowanie jednostki, traktowanie człowieka jako paliwa jej procesów”, a gdy znów wzięto go w kamasze w roku 1920 [sic!], było jasne, że „służba wojskowa jakoś nie chciała mu się połączyć z patriotyczną frazeologią”* (Janusz Drzewucki, *Głodomór, pederasta i na dodatek poeta*, „*Twórczość*” 2013, nr 2, s. 101).

O swojej służbie wojskowej pisał Iwaszkiewicz w *Książce moich wspomnień*, nikt go w 1918 roku nie powoływał pod broń, ani nie wzięto go w kamasze w 1920 roku: *Miecio [Kozłowski] pojechał na front, z którym odbył całe cofanie się pod Warszawę i bitwę pod Radzyminem, ja zaś udałem się do owego Rembertowa, gdzie się gromadziły rozmaite inteligenty w moim rodzaju, co tworzyło barwny, ale nieprzyjemny obóz. Osobiście byłem zdania, że już jak wojna, to wojna, i robiłem starania przez księżną Woroniecką, aby się dostać do któregoś z walczących pułków. W Rembertowie trzymano nas bezczynnie do tego stopnia, że mogłem codziennie bezkarnie opuszczać obóz i iść do Warszawy* (Jarosław Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, wyd. 2, Warszawa 1968, s. 223). I na front już nie trafił.

A potem Cytadela, koszary w wielkopolskim Ostrowie i demobilizacja w październiku 1920 roku; wspomnienia z dwumiesięcznej służby w Ostrowie: *dalekie marsze wokół Ostrowa do lasów w stronę Antonina, na szerokie pola od strony Kalisza, napęłniały wesołością serca, beztraska żołnierska pozwalała nie myśleć o niczym – sprawiała, że czas spędzony w maleńkim garnizonie stał się szczęśliwą epoką mojego życia* (*Książka...*, s. 234).

Ktoś inny o Iwaszkiewiczu: *W 1960 roku zapisał przebieg swojej podróży na Ukrainę w 1958 roku, kiedy oprócz Kijowa odwiedził także położone na Podolu Berdyczów [sic!], Winnicę, Niemirów, Daszów i Kalnik, gdzie upłynęły jego dzieciństwo i młodość* (Eugeniusz Sobol, *Polak, Europejczyk czy Wschodnioeuropejczyk? O „Dziennikach” Jarosława Iwaszkiewicza*, „*Wiadomości Literackie*” 2013, nr 2, s. 36).

Wszystko to prawda, ale po co przenosić Berdyczów z Wołynia na Podole?

\*\*\*

Znowu ktoś próbuje się popisać słabą znajomością nie tak dalekiej przeszłości. W rewizjonistycznym (a tak!) artykule o powstaniu styczniowym wzmianka o zesłańcach: *Liczba zesłanych na Sybir jest trudna do oszacowania. Spis zesłańców syberyjskich z 1880 roku wskazuje liczbę 4 tys. Polaków przebywających na zesłaniu za udział w Powstaniu Styczniowym* (P. A. Zajonczkowski „*Kryzys Samodierżawija*”). *Jeżeli liczbę tę potroić, uznając, że taka musiała być w przybliżeniu rzeczywista liczba zesłańców z Powstania Styczniowego, daje to 12 tys. ...* (Adam Witek, *Konserwatywno-liberalna mitologia Powstania Styczniowego*, „*Najwyższy Czas!*” 2013, nr 8, s. XLII).

Po co liczyć po amatorsku i mnożyć byty ponad potrzebę? Zesłańcy już dawno zostali policzeni, na podstawie raportów sztabowych oficerów żandarmerii obliczeń dokonał Henryk Skok: *Łącznie dla całego imperium daje to znowu liczbę 37–38 tys., do której doszliśmy na podstawie innych wyliczeń już wcześniej* (Henryk Skok, *Polacy nad Bajkałem 1863–1883*, Warszawa 1974, s. 109). Ustalenia Skoka uznał za wiarygodne Stefan Kieniewicz (poznał je z maszynopisu pracy doktorskiej): *Liczbę zesłanych na Syberię ocenia się na 38 tys. Według hipotetycznych szacunków Królestwo Kongresowe jest reprezentowane w tej liczbie w 38%, Litwa i Białoruś w 57%, Ukraina w 5%. Na katorgę zesłano około 10% skazanych na Sybir, dla reszty wyznaczono rozmaite formy osiedlenia* (Stefan Kieniewicz, *Powstanie styczniowe*, Warszawa 1972, s. 738).

Większość zesłańców pochodziła z ziem litewskoruskich dawnej Rzeczypospolitej. Masowe zesłania przyczyniły się do odpolszczenia Ziemi Zebranych; po kilku amnestiach większość zesłanych nie mogła wrócić na Litwę i Ruś, dlatego tytuł „Litwinów” pojawiło się w Królestwie w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Zgodnie z postanowieniem z 13 V 1871 r., dawni zesłańcy mogli zamieszkać *wszędzie, oprócz obu stolic [tzn. Moskwy i Petersburga – przyp. A.W.], guberni stołecznych oraz guberni zachodnich* (cyt. za: Henryk Skok, *op.cit.*, s. 307). Nawiasem: nawet w popularnych zarysach dziejów można znaleźć dane o zesłańcach styczniowych (zob. Władysław Czapliński, *Zarys dziejów Polski do roku 1864*, Kraków 1985, s. 515).

\*\*\*

Pretensje do Marii Konopnickiej: *Założyła „Świt”, pismo dla kobiet, jak na tamtą epokę zbyt liberalne w kwestii ich swobód. W 1863 r. jednak nie nęciła jej rola Emilii Plater czy choćby konspiratorki, na wzór swojej późniejszej naczelnej w „Bluszczu” [Marii Ilnickiej – przyp. A.W.]. Dwa powstańcze lata [sic!] spędziła w Wiedniu ze swym świeżo poślubionym mężem i ledwo co narodzonym synem. I tylko z tym pewnie mógł kojarzyć się jej 1863 r.* (Tomasz Kalita, *Pisarze progu epo-*

ki. *Epizody literackie*, „Pomocnik Historyczny” 2013, nr 1, s. 97).

„Świt” powstał 20 lat później, pismo założył Salomon Lewental, który powierzył Konopnickiej stanowisko kierownika literackiego (ale przez dwa lata była w rzeczywistości redaktorem pisma). Za szybko piszący autor nie zna, zdaje się, nawet opowiadań Konopnickiej z cyklu *Powieści Sawy*, ani wierszy ze *Śpiewnika historycznego*. Na emigracji w Wiedniu i w Dreźnie przebywała Konopnicka rok tylko, w listopadzie 1864 roku była już w kraju. Z czym mógł się jej kojarzyć rok 1863? Ze śmiercią jedyne go brata-powstańca (zginął w bitwie pod Krzywosądem), z aresztowaniem męża, podejrzanego o sprzyjanie powstańcom, z rewizją we dworze.

A o Elizie Orzeszkowej napisał Kalita tak: *W majątku swego męża, Ludwinowie w Guberni Brzeskiej* [...], ukrywała przez ponad kwartał [sic!] Romualda Traugutta, który zrazu do powstania szczególnie się nie kwapił, aż w końcu w lipcu 1863 r. sama go odwiozła do granicy Kongresówki... (s. 97).

Nie było guberni brzeskiej, Ludwinowo w Kobryńskiem, należało do guberni grodzieńskiej. Traugutt, po dwóch miesiącach partyzantki, po kilku potyczkach, zostaje ranny; na przełomie maja i czerwca 1863 roku, ukrywa się około dwóch tygodni w Ludwinowie. Ale kto by się takimi szczegółami przejmował, kto by tam odróżniał tygodnie od miesięcy. Lepiej z rannego powstańca zrobić dekownika i przedłużyć dwa tygodnie do kwartału. I pomylić czas wyborów (przyszły dyktator wahał się, czy przystąpić do powstania na początku 1863 roku, ale nie w Ludwinowie).

\*\*\*

Ciekawy, napisany z dużym znawstwem szkic, poświęcony pochodzeniu nazwiska *Terlecki*, kończy się uwagą, że Tymon Terlecki (1905–2000), teatrolog i

eseista: *znajduje się w gronie wybitnych przedstawicieli polskiej historii i kultury, takich m.in. jak Chodkiewicz, Kościuszko, Bohomolec, Książnin, Mickiewicz, Słowacki, Fredro, Moniuszko, Sienkiewicz, Piłsudski [sic!], Bułhak [sic!], Wańkowicz, Iwaszkiewicz, Harasymowicz, żeby pozostać przy przykładach postaci najbardziej znanych, noszących również nazwiska o cechach ruskich* (Władysław Makarski, *Terleccy*, „Roczniki Humanistyczne” [Lublin] 2012, T. LX, z. 6, s. 110).

Czy nie za dużo tych nazwisk o rzekomo ruskich (tzn. ukraińskich i białoruskich) cechach? Można się sprzeczać, czy *Mickiewicz* pochodzi od ruskiego *Mit'ki* (*Mički*) czy od jego litewskiego odpowiednika – *Mickusa*. Ale *Piłsudski* to nazwisko litewskie, nie ruskie, utworzone od nazwy miejscowej Piłsudy (lit. *Pilsūdai*) w Rosieńskim na Żmudzi. Kazimierz Nitsch kiedyś pobłądził, myślał, że to ruskie nazwisko i wywodził je od wymyślonego „półśędka”! Pisałem o tym dawno temu (zob. „Język Polski” 1981, z. 1–2, s. 77–79). A *Bułhak* to nazwisko nie ruskie, ale tatarskie. W Nowogródzkim, gdzie tyle szlachty drobnej i średniej wywodzącej się z Tatarów mieszkało, powtarzano nieraz: *Co krzaczek – to Bułhaczek*. Najślawniejszy z Bułhaków, Jan, znany fotografik, wspominał: *Słyszałem nieraz o tatarskim pochodzeniu naszego rodu. Leon Kryczyński umieścił go w swoim herbarzu szlachty tatarskiej...* (Jan Bułhak, *Kraj lat dzieciennych*, Gdynia 2003, s. 12).

Nawiasem: niektórzy rosyjscy Bułgakowie i Bułgakowowie pochodzą też z dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego (jeden z nich otrzymał w XVIII wieku polski indygenat) i są spokrewnieni z Bułhakami, polską rodziną szlachecką o tatarskim rodowodzie.

Adam Wierciński

Andrzej Hamada

## Łowiłem ryby w oceanie

Do Gallway, na zachodni kraniec Irlandii, lecimy z Paryża samolotem; stąd samochodem do Cleggan-Connemara, małej miejscowości, kiedyś rybackiej, najbardziej na zachód wysuniętej części Irlandii i Europy. Dalej nie ma już nic, tylko ocean.

Zaprosił tam nas (to znaczy naszą córkę Katarzynę mieszkającą od lat w Paryżu, wraz z rodzicami) na kilkunastodniowy nadmorski pobyt wczasowy, jej, jeden z wielu, francuski przyjaciel, paryski architekt Allain. Wynajmuje on tam w lecie domek rybaka, w którym może pomieszkiwać do dziesięciu osób, i co roku zaprasza tam swoją paczkę. Właściciele domu przenoszą się wtedy do zabudowań gospodarczych i pilnują obejścia; swoją stałą siedzibę wyposażyli w nowoczesne urządzenie kuchni i w łazienki, i pokoje jakby hotelowe.

Allain przyjeżdża tam z Paryża autem, terenowym jeepem, ciągnąc na lawecie dużą gumową, dmuchaną łódź motorową. Ta łódź będzie bardzo potrzebna, tam bowiem żyje się na własnym wikcie, bez żadnej pomocniczej obsługi; wokół bezludzie i żadnych sklepów, a podstawowym daniem są ryby, które trzeba samemu złowić. I przyrządzić. I w tym cała frajda!

Codziennie wypływa się więc na połowy: ryba, kraby, małże, jakies jeżowce; owoce morza, co się da, to się złowi. Ale gdy przyjdzie niepogoda, wysoka fala albo sztorm, wtedy siedzi się w domu i żyje tym, co się wcześniej uловиło. I wtedy kwitnie życie towarzyskie. I spacer.

Bywały też, a jakże, odwiedzi-ny. W rozrzuconych daleko od siebie domkach pomieszkiwali różni bardzo ciekawi, acz trochę dziwni ludzie.

Kiedyś wybraliśmy się do takich odległych sąsiadów, ładnych parę kilometrów. Pan gospodarz Holender, gitarzysta rockowy, z zawodu malarz, zjeździł cały świat. Grywał z różnymi zespołami, także sławnymi muzykami; wspominał różnych „Hendriksów”, nawet któregoś z Beatlesów. A pani go-

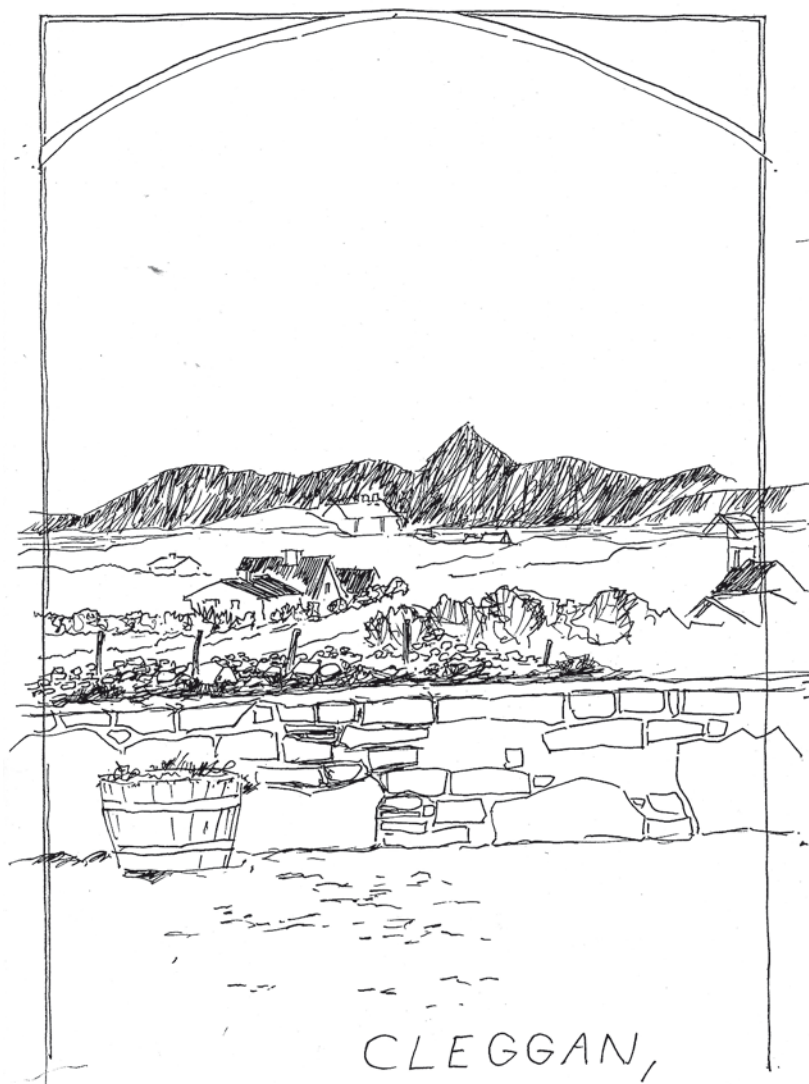
spodyn – jugosłowiańska Węgierka, rzeźbiarka, grała na skrzypcach i na jakimś dziwnym flecie. Prawdziwi artyści, utalentowani, on nikłej postury, trochę wątły człowiek, jak to gitarzysta, ona przeciwnie, obfita, chodząca statua. I teraz, po bujnym życiu, osiedli tu na odludziu w dosyć prymitywnych warunkach.

Cały wieczór nam przygrywali, piliśmy wino. A że pan gospodarz potrafił mówić różnymi językami, wdałem się z nim w rozmowę po niemiecku. Zwierzał się, że teraz dużo maluje, nawet ma zlecenia na jakieś freski w tutejszym merostwie, w Cleggan. Ale prawdziwą jego pasją jest namalowanie własnej wersji „Ostatniej Wieczerzy”, poświęca temu dużo czasu. Miał w albu-



CLEGGAN, CONNEMARA

Dom rybaka (tu mieszkamy)



Saint Patrick, najwyższy szczyt gór Connemara

mach wszystkie dzieła wielkich twórców, od Leonarda da Vinci począwszy, studiował je, pokazywał mi swoje szkice; bo musi stworzyć dzieło swego życia, nową „Ostatnią Wieczerzę”.

Poznawaliśmy żyjących jakby z dala od cywilizacji samotnych, ciekawych ludzi, mających tu swój własny, chyba piękny świat.

A ja po raz pierwszy w życiu łowiłem ryby. Na wędkę. Wypływamy łodzią z naszej zatoki, Allain stoi na środku łodzi za kołem sterowym, ma też przed sobą ekran sonaru, ja siedzę na gumowej burcie i kurczowo trzymam się olinowania; bacznie obserwuję nadpływające grzywacze fal, bo wtedy łódź podskakuje, a wraz z nią wszystko i my. Szybko uczę się utrzymywania równowagi na tej tańczącej, chybotałej łodzi.

Ale wcześniej trzeba było przygotować ją do wypłynięcia – na noc zakotwiczona jest na środku niewielkiej zatoczki, przycumowana do liny rozpiętej pomiędzy przeciwległymi wysokimi brzegami. Tę linę przyciąga się, aż łódź zbliży się do brzegu. *Douce-ment, doucement! Spokojnie!* – wołał do mnie z drugiego brzegu Allain, widząc, jak ja (dla niego starszy pan) zwawo rwałem tę linę. Potem pakowało się sprzęt:

wędki, skrzynki na ryby, przynętę; i w drogę! W przestwór oceanu.

Szybko wydostajemy się z zacisznej zatoki. Po jakimś czasie, z dala od brzegu, Allain zatrzymuje łódź. Gasi motor, robi się cisza; pora na nas.

*Andre! Fish ten metre! Ryba dziesięć, dno jedenaście* – woła Allain po angielsku i pokazuje głębokości na migi – po francusku. Później się dowiem, że ławica ryb zwykle znajduje się blisko dna, co dobrze widać na ekranie sonaru.

Spuszczam wędkę z kołowrotka na jakieś dziesięć metrów, pierwszy raz w życiu! I czekam. Tylko chwilę i... jest! Szarpnęło wędką, ale utrzymałem.

Podciągam skokami w górę, kręcę korbką, jak Allain przykazał. Zresztą, pomagał mi przy tym pierwszym (i nie tylko) wydobyciu. Ale byłem dumny!, duża złociста ryba! Allain bije brawo, gratuluje, mnie duma rozpięra. A potem... odhacza rybę od przynęty i... o zgrozo, wyrzuca za burtę. *Ze too small, za mała*. I czar prysł, moje pierwsze szczęście zniknęło w odmętach oceanu.

Tak łowimy jakąś godzinę albo dwie, zmieniając parę razy miejsce połowu; z pełną skrzynką dorodnych ryb (kilkanaście sztuk) wracamy

do naszej zatoki. Teraz stały rytuał zakotwiczania łodzi i wreszcie szczęśliwy powrót do domu. Z ciężką skrzynką ryb. Domownicy witają nas i podziwiają oceaniczne trofea; zachwyтом nie ma końca.

Ale teraz trzeba się wziąć znowu do pracy, do oprawienia ryby, a robi się to na kamiennym murku tarasu. Ryby są długości 50-60 cm, odcina się najpierw ogromną głowę, potem ogon i płetwy, na koniec ostrym nożem tniesz się wzdłuż, usuwając wnętrzności i szkielet kostny; pozostają piękne duże filety bez ości. I to przekazuje się naszym paniom do smażenia na patelni. A na posiłek będą się też składać: sałatki z warzyw po francusku, białe pieczywo z masłem, dużo wina. Smacznego!

W specyficznej scenarii odbywało się zawsze to patroszenie ryb. Zaraz zlatywała się gromada krzykliwych mew, które krążąc i kłębiąc się wokół nas, piśkiem i chichotem czyniły niesamowity tumult. A sprowadzały je wyrzucane za tarasowy murek resztki z patroszonych ryb – kąsek nie lada. To hałaśliwe towarzystwo ogromnych mew było dodatkową, acz zupełnie nieprzewidzianą atrakcją, urozmaicającą rybi obrządek.



Widok z mojego okna

Całkiem inną przygodą był połów krabów. Łowiło się je na przynętę do drucianych koszy z okrągłym otworem u góry, którym kraby miały się dostawać do wnętrza. W tym celu zawieszano się w środku głowę świeżo złowionej ryby, na długim źdźble nadmorskiej trawy, przetykając ją przez otwór gębowy ryby i zawiązując na węzełek.

Tak przygotowane kosze, dwa albo trzy, wiązaliśmy liną, a do niej mocowaliśmy kolejną linkę z okrągłą, białą bojką. Wypływamy pod wieczór wzdłuż brzegu, w znanym Allainowi miejscu, skalistym, o kamienistym dnie, spuszczałyśmy na dno skrzynki, na falach pozostaje tańcząca biała bojka. Zmęczeni, jak zwykle, ale szczęśliwi powracamy na ląd, na towarzyską biesiadę wieczorną.

Rano przygotowujemy łódź i wypływamy po kraby. Czy będą? Czy jakieś złe moce nie weszły nam w drogę? Z trudem odszuku-

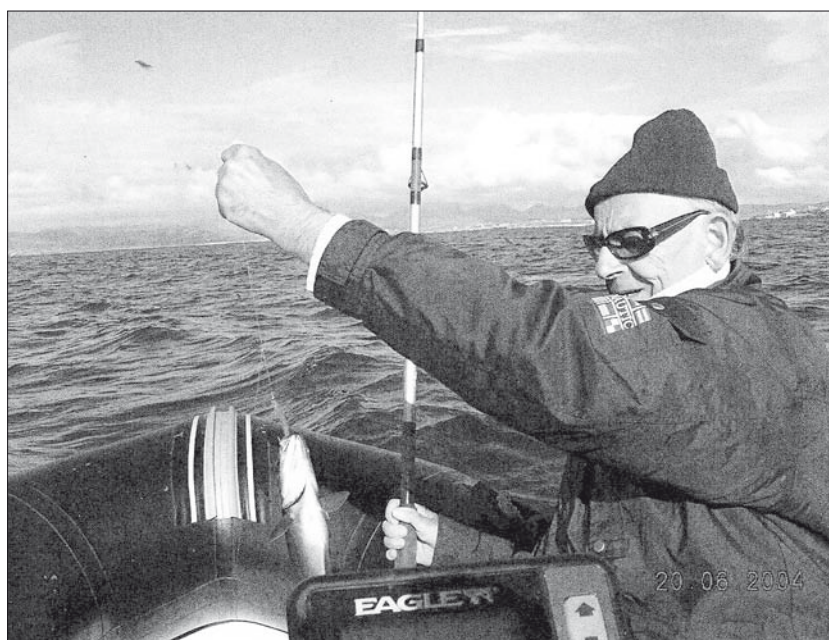
jemy naszą bojkę, bo przy wysokiej fali trudno ją dostrzec pośród białych grzyw. Zabieramy się do wyciągania skrzynek, najpierw linka bojki, potem skrzynki. To było trudne, ale jakże skuteczne: w każdej skrzyni kilka krabów. Dużych, pięknych krabów.

Z krabów robiło się zupę z krabów, ale to już była tajna specjalność. Był wśród nas młody człowiek, Francuzik, który był takim specjalistą; czekał onże na swoje pięć minut. I się doczekał.

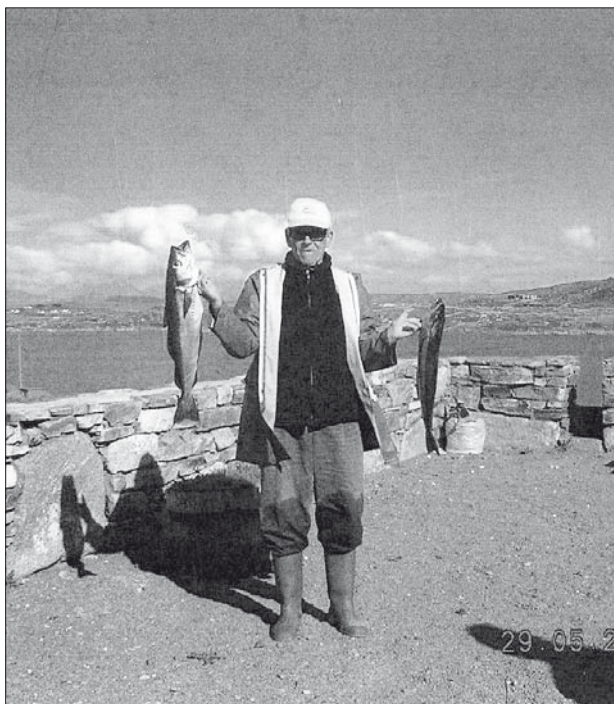
Gotowało się więc wodę w dużym blaszanym baniaku, takim jak do gotowania bielizny, i na wrzątek wrzucało się kraby. I przyprawy, różne różności. To się potem długo gotowało, i się mieszało, mieszało. I to gęstniało. Aż potem... zupa była gotowa.

Wyczekiwany smakolyk trafiał wreszcie do talerzy; było co smakować! Zupa w kolorze zbliżonym do pomidorowej, a smak... niepowtarzalny. Trudno do czegoś przyrównać, gdzieś pomiędzy dobrą pomidorową a dobrymi flakami. Raczyliliśmy się tym rarytasem przez kilka dni, i długo potem jeszcze się wspominało.

Zapadła mi w pamięć ta krabowa zupa. Kiedy więc zobaczyłem w orientalnej restauracji Kim Lan w Opolu anons o podawanej dziś zupie z krabów, zamówiłem. Z nadzieją wspomnienia fantastycznych smaków i fantastycznego pobytu nad oceanem. I co? I... nic. Nic z tego niezwykłego, niepowtarzalnego smaku. Poza nazwą i kolorem niewiele przypominało to tam-



Moja pierwsza w życiu ryba



Ta...ka ryba!

tą oceaniczną specjalność. Ale może mnie się tak tylko wydawało.

Mieliśmy tam też różne inne morskie przygody. Wyprawy na sąsiednie skaliste półwyspy i wysepki na małże i jeżowce, które zbierało się po odpływie, kiedy to poziom wody obniżał się i odsłaniał pełne życia przybrzeże. Ja w małżach nigdy nie gustowałem, więc raczej ich unikałem, a jeżowce? Znałem je z Jugosławii, i nigdy nie przypuszczałem, że tu może być coś do skonsumowania.

Podglądałem więc, co też robią nasze panie. A one przecinały nożem takiego żywego jeżowca, usuwały wnętrze i oczyszczone skorupy wrzucały do wiadra z wodą; po przepłukaniu kładły na półmisek.

Po lunchu wjedzie ten półmisek z jeżowcami na stół.

Biorą moi francuscy przyjaciele taką skorupkę, łyżeczką coś tam wydłubują i smarują na białą bułkę. Brrr... przecież to żywe! Więc ja pasowałem, wszyscy biorą, ja nie. Ale pan gospodarz Allain przygotował piękną kanapkę i podaje mi ją: *Bon appetit, Andre! Smacznego!* Trudno, trzeba; wychyłam więc duży haust szampana, przysmykam oczy i.... to było smakowite. Jak najlepsza ikra, kawior. I już potem sam sobie, ku zadowoleniu współbiedniaków, ten przysmak przyrządziłem.

Bywały też wypadki naszą gumową motorówką do miejsc skalistych, gdzie zwykli wylegiwać się foki. Olbrzymie bezkształtne

cielska zalegające na nagranych w słońcu przybrzeżnych kamieniach. Moja Kasia już je z dala wypatrzyła i wskazuje palcem: *O tam, na kamieniach przy brzegu.* A ja nic nie widziałem, tak podobne były one do tych kamieni. A kiedy łódź do nich się zbliżała, zaczęły zsuwać się po kamieniach i z pluskiem wpadać do wody. Allain zgasił motor i dobiliśmy do brzegu. A z wody wokół nas co raz wylaniały się focze głowy, wypisz wymaluj: ludzkie twarze. Tyle że z wąsiskami.

Przy okazji takich wypraw łodzią po okolicy nieraz widywało się odpoczywające na skałach kormorany, specyficzną czarną sylwetką odróżniające się od znanego powszechnie ptactwa.

Kiedyś znowu spotkała nas nie lada atrakcja. Wracamy skwaszeni po nieudanym połowie (ryba nie brała, ławicy nie było) do naszej zatoki, *Andre, dauphin!* woła do mnie nagle Allain wskazując palcem w dal. Ja oczywiście nic nie widzę, ale po chwili dostrzegam wyskakującego z wody delfina. Potem drugiego, i jeszcze... Zawrócił Allain łódź i zbliżyliśmy się do delfinów, a ich jest coraz więcej. W końcu po wyciszeniu silnika wpływamy wolno w sam środek dużego stada. I tu zaczął się niezapomniany spektakl: wokół nas, w dużym promieniu, dziesiątki delfinów odbywały swój skoczny taniec. Wyskakiwały z wody pojedynczo i parami, a nawet w trójkę. My zamarliśmy w bezruchu, *Ce magnifique, ce magnifique! Wspaniale!* zachwycał się Allain.

Później powie, że po raz pierwszy spotkał się z tak dużym stadem delfinów. I bardzo żałował, że nie miał przy sobie aparatu fotograficznego.

Niezwykle, niezapomniane morskie wakacje w zachodniej Irlandii. I ten niecodzienny spektakl, najprawdziwsze oceaniczne delfinarium – tak jak cały nasz pobyt w dalekiej Connemara, zapisał się na zawsze i mocno w pamięci.

**Andrzej Hamada**  
Rys. autora



I spaceruję...



Dobromir Kożuch

# Spotkanie

*Tomaszowi Budzyńskiemu*

Siedzieli w niewielkich, ale wygodnych fotelach.  
W żółtej jesiennej łodzi.  
W pobliżu szklanego labiryntu wypełnionego księgami.  
Łódź powoli i sennie  
niemniej w pełni przez nich kontrolowana  
dryfowała na Wschód.  
Pod prąd świata.  
Obaj w czerni.  
Poetę zasypywały żółte listy  
które niestrudzenie wysyłał październik.  
Pili herbatę.  
Malarz smakował sernik.  
Malarz – Poeta.  
Tworzył i śpiewał  
Pieśni  
które sprowadzały zaświaty na świat.  
Czy można byłoby ich pomylić z Estragonem  
i Vladimirem?  
Raczej nie. Rozmawiali bowiem między innymi  
o Anastasis.  
Malarz wspomniał także o Natalii.  
Mówił o niej z taką czułością...  
Kiedy delikatnie wymawiał imię Żony  
lekko unosił głowę  
jak gdyby się bał  
że mogłoby spaść na ziemię.  
Poeta miał wrażenie  
jakby znał Malarza od urodzenia.  
Czuł się niezwykle dobrze i bezpiecznie  
kiedy tak razem siedzieli  
podczas gdy słońce rozszczepiało się w tęczę  
w pobliskiej pstrokatej fontannie.  
Malarz zdawał się być równie wyciszony i zadowolony  
z tej wspólnej ich Podróży.  
Jeżeli nawet gdzieś w pobliżu krążyły nazgule

nie miały szans ich dostrzec.  
Pielgrzym który musiał ich na jakiś czas opuścić  
żeby przygotować miejsce  
gdzie miała wieczorem rozbrzmiewać Pieśń  
pozacierał ślady.  
Sternik Serc co jakiś czas wskazywał im ląd.  
Niebieski.  
Pełen niezwykłych drzew  
które już nigdy nie miały zaznać kornika.  
Ufali  
że kiedyś z rodzinami  
będą tam wędrowali  
w bezkresie  
w dźwiękach  
w zapachach  
w barwach  
w uśmiechu wpatzonego w nich  
Sternika Serc.  
Malarz był pewien, że przed nimi będzie biegł pies.  
Poeta wypił ostatni łyk herbaty.  
Pozbierał z siebie żółte listy i położył je na stoliku obok  
filiżanki.  
Trudno byłoby komukolwiek stwierdzić  
jak długo tak przebywali  
poza czasem.  
Jedynie Temu może  
dla Którego jeden dzień  
jest jak tysiąc lat.  
Malarz czuł się coraz bardziej senny i postanowił odpocząć.  
Opuścili Łódź.  
Zacumowali ją do rozłożystego platanu i odeszli  
osłonięci obłokiem.

*Opole, październik A.D. 2012*



Browar Friedlaenderów na litografii znajdującej się w zbiorach Muzeum Śląska Opolskiego

Maciej Borkowski

# Friedlaenderowie

## Najbogatsza rodzina żydowska Opola

Najbardziej wpływową i najbogatszą rodziną żydowską w Opolu była rodzina Friedlaenderów. Jej protoplasta to Victor Friedlaender (1776–1855), syn Nachuma, urodzony w Ściborzycach Wielkich (wówczas Steubowitz), o którym wiadomo, że przed osiedleniem się w Opolu był arendarzem w Raciborzu. W Opolu zamieszkał około roku 1798<sup>1</sup>. Z małżeństwa z Rosalią (z domu Berg) miał troje dzieci: Marcusa (ur. 18 I 1800), Friedericke (1806) i Arona (1808)<sup>2</sup>.

### Założyciel browaru „Zamkowego”

Najstarszy syn, Marcus, przejął interesy po ojcu. W roku 1824 założył browar „Zamkowy” (Schloßbrauerei), najważniejszą firmę rodzinną, i zawarł związek

małżeński z Julią (z domu Lewy). Małżeństwo to doczekało się aż jedenaścioro dzieci – córek Anny i Pauliny oraz synów Siegfrieda, Moritza, Louisa, Maxa, Josefa, Friedricha, Oscara, Heinricha oraz Hugona.

Wzbogaciwszy się, Marcus Friedlaender kupił w roku 1833 okazały dom przy Schloßstrasse 2 (dziś ul. Zamkowa), który miał stać się główną siedzibą rodziny na ponad stulecie. W tym samym roku Marcus wraz z ojcem otrzymał obywatelstwo miejskie (Bürgerrecht)<sup>3</sup>. Angażował się także w działalność opolskiej gminy żydowskiej – w roku 1854 został członkiem władz gminy żydowskiej, a w roku następnym złożył podpis na egzemplarzu pierwszego statutu opolskiej kongregacji mozaistycznej<sup>4</sup>. Nie tylko jednak poważne

<sup>1</sup> *Fest in einem alten Bürgerhause*, *Oppelner Zeitung*, nr 293, 14-15 XII 1929 oraz list Charlesa Jacksona Friedlaendera do autora z 15 VI 1997.

<sup>2</sup> List Ch. J. Friedlaendera do autora z 15 VI 1997.

<sup>3</sup> W. Dziewulski, *Żydzi przyjęci do prawa miejskiego w Opolu w latach 1814-1851*, *Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego w Polsce*, 1981, nr 2, s. 9, aneks, pozycja 45.

<sup>4</sup> Archiwum Państwowe w Opolu, zespół Landratsamt Oppeln (dalej: APO LO), sygn. 680, *Synagogen-Gemeinden im Kreise Oppeln*, Vol. I, 1847-1887, bez paginacji, Statut für die Synagogen-Gemeinde Oppeln, s. 17.

sprawy zaprzętały uwagę Marcusa Friedlaendera – na początku marca 1867, na parceli obok domu Friedlaenderów, zobaczyć można było muzeum zooplastyczne (Zooplastische Museum) niejakiego F. A. Zobela.

Żona Marcusa, Julia Friedlaender, była jedną z najaktywniejszych w mieście społeczniczek – w latach 1847, 1853–1854 i 1876 pomagała ofiarom powodzi, a w latach 1866 i 1870–1871 żołnierzom rannym w wojnach z Austrią i Francją. Za swoją działalność odznaczona została, w roku 1871, orderem Luizy I klasy (Luisen Orden I Klasse).

Niezwykłe uroczyście obchodziło małżeństwo Friedlaenderów swoje złote gody, przypadające na dzień 10 listopada 1874 roku. Kilka dni po jubileuszu prasa podała, że Marcus i Julia Friedlaenderowie ufundowali z okazji swoich złotych godów zapomogę w wysokości 1000 talarów dla biednych i potrzebujących.

Schyłek życia Marcusa i Julii Friedlaenderów był pogodny. W styczniu 1875 roku cieszyli się oboje z wyboru ich najstarszego syna Siegfrieda na przewodniczącego opolskiej rady miejskiej. Marcus Friedlaender zmarł 22 listopada 1876 roku, Julia natomiast 26 kwietnia 1878. Oboje zostali pożegnani w prasie pięknymi nekrologami, a Julii Friedlaender poświęcono żalobny wiersz.

## Żyd przewodniczącym rady miejskiej

Najstarszy syn Julii i Marcusa Friedlaenderów, Siegfried, urodził się w Opolu 1 października 1825 roku<sup>5</sup>. Na początku lat sześćdziesiątych zastąpił zmarłego browarnika Josepha Boronowa i został przewodniczącym zarządu opolskiej gminy żydowskiej. Dla opolskiej synagogi przy Hospitalstrasse ofiarował fisharmonię<sup>6</sup>. W tym czasie rozpoczął także działalność w organach miejskich – od roku 1863 był kuratorem miejskiej kasy oszczędności (Sparkassencurator), a od stycznia roku 1868 radnym miejskim. Po ośmiu latach 14 stycznia 1875 roku wybrany został absolutną większością głosów (mit absoluter Stimmenmehrheit) na przewodniczącego rady miejskiej (Stadtverordneten – Vorsteher). Funkcję tę, jako jedyny Żyd w dziejach miasta, pełnił do stycznia 1888 roku, kiedy to nadano mu w uznaniu zasług tytuł „Starszego Miasta” (Stadältester). Siegfried Friedlaender uważał się za Niemca i był lojalnym poddanym dynastii Hohenzollernów. W roku 1885 współredagował uroczysty adres z okazji 70. urodzin kanclerza Otto von Bismarcka.

Działając w gminie żydowskiej i władzach miasta, nie zaniedbywał Siegfried Friedlaender spraw firmy – w roku 1870 kupił folwark na wyspie Pasieka, gdzie z

czasem postawił okazałe budynki browaru „Zamkowego”<sup>7</sup>. Kilka lat później, na początku grudnia 1888 roku, ofiarował pokaźną kwotę 300 marek na budowę w Opolu pomnika cesarza Wilhelma I<sup>8</sup>.

Bardzo uroczyście obchodzono w Opolu, przypadający w roku 1888, jubileusz pracy Siegfrieda Friedlaendera w korporacjach miejskich. W czasie uroczystości kolejni mówcy m. in. burmistrz Opola Paul Trentin podnosili wielkie zasługi jubilata dla miasta. Na przypadające w roku 1895 siedemdziesiąte urodziny Friedlaender otrzymał od władz opolskiej gminy żydowskiej swój naturalnej wielkości (lebensgroßes) portret<sup>9</sup>. Cesarz niemiecki Wilhelm II odznaczył go orderem Korony (Kronenorden). U schyłku życia był Siegfried Friedlaender człowiekiem bardzo zamożnym. Oprócz browaru posiadał trzy domy (dwa jednopiętrowe i jeden dwupiętrowy) oraz cztery parcele budowlane<sup>10</sup>. Do lipca 1894 roku własnością rodziny były także dwie parcele rolnicze (Ackerparzellen) na przedmieściu Bytomskim (Beuthener Vorstadt). Aż trzech Friedlaenderów znajdowało się w roku 1895 w najwyższej, pierwszej, wyborczej klasie majątkowej – obok Siegfrieda należał do niej jego młodszy brat Max oraz syn, Max junior<sup>11</sup>.

Siegfried Friedlaender był dwukrotnie żonaty – z pierwszego małżeństwa miał dwóch synów Victora i Maxa (późniejszego spadkobiercę) oraz córkę Annę, z drugiego zaś trzech synów: Georga, Friedricha i Alberta<sup>12</sup>.

W drugiej połowie lat 90. XIX wieku Siegfried Friedlaender zaczął zapadać na zdrowiu. Zmarł w Opolu 2 września 1899 i został pochowany na miejscowym cmentarzu żydowskim.

Młodszy brat Siegfrieda, Max, przyszedł na świat w domu rodzinnym 1 czerwca 1834 roku<sup>13</sup>. W wieku jedenastu lat został uczniem opolskiego gimnazjum. Przez wiele lat był przewodniczącym gminy Wilhelmstal (dziś wyspa Pasieka). Zmarł po ciężkiej chorobie 3

<sup>7</sup> OZ, nr 293, 14–15 XII 1929. Litografia (wykonana około roku 1890) przedstawiająca browar „Zamkowy” zob. U. Zajączkowska, *Dawne widoki Opola w grafice 1680–1920*, Opole 2001, s. 39. Zdemastowane budynki browaru wysadzano w powietrze jeszcze we wrześniu 1970 roku. Zob. Trybuna Opolska, 6 IX 1970, s. 5; 11 IX 1970, s. 4.

<sup>8</sup> Stadtblatt des Stadtkreises Oppeln (dalej: SSO), nr 48, 1 XII 1888, Extraordinaire Beilage zum Stadtblatt Nr. 48 für Errichtung eines Kaiser Wilhelm Denkmals in Oppeln.

<sup>9</sup> AZJ, nr 49, 6 XII 1895, Der Gemeindebote, s. 2. Członków władz miejskich na tym przyjęciu zobowiązano do ubrania czarnych surdutów i białych krawatów.

<sup>10</sup> E. Kościak, *Przemiany w strukturze społeczno-zawodowej i demograficznej ludności Opola w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku na podstawie ksiąg parafialnych i akt USC*, Acta Universitatis Wratislaviensis, 1993, nr 1466, Historia CV, s. 60.

<sup>11</sup> Ibid., nr 43, 26 X 1895, Extraordinaire Beilage zum Stadtblatt Nr. 43: Liste der stimmfähigen Bürger pro 1895, s. 1, poz. 2, 5, 32.

<sup>12</sup> List CH. J. Friedlaendera do autora z 15 VI 1997.

<sup>13</sup> Archiwum Państwowe w Opolu, zespół Burggymnasiums Oppeln (dalej: APO BO), sygn. 43, Album des Gymnasiums zu Oppeln vom 10. October 1841 bis 31. December 1878, s. 26 pozycja 296.

<sup>5</sup> Archiwum Państwowe w Opolu, zespół Akta miasta Opola (dalej: APO AmO), sygn. 97, bez paginacji,teczka personalna Siegfrieda Friedlaendera.

<sup>6</sup> Opperlner Zeitung (dalej: OZ), nr 76, 3 IV 1918. W notatce prasowej napisano, że Siegfried Friedlaender ofiarował fisharmonię „zur Verschönerung der Gottesdienste”.

lutego 1897 roku. Pochowany został pod przepięknym, przypominającym okno, nagrobkiem<sup>14</sup>.

## Iluminator cesarskiego pomnika

Spadkobierca Siegfrieda Friedlaendera, Max – imię otrzymał na cześć stryja – urodził się 16 grudnia 1859 roku. Jako dziesięcioletek zapisany został do opolskiego gimnazjum „Na Górcę” do którego uczęszczał przez dwa lata. Naukę kontynuował w gimnazjum raciborskim. Mając lat siedemnaście trafił jako uczeń do domu towarowego Plessnera we Wrocławiu. W roku 1882 ojciec wysłał go na dwa lata do Stanów Zjednoczonych, a w roku 1883 dopuścił do współkierowania firmą<sup>15</sup>. Po siedmiu latach, w roku 1890, Max Friedlaender został współwłaścicielem (Teilhaber) rodzinnej firmy. W listopadzie 1891 roku ożenił się z Betty (z domu Cohn), z którą miał dwie córki.

Działał aktywnie w organizacjach producentów alkoholu i związkach kupieckich. Kontynuował także działalność ojca we władzach miejskich – w listopadzie 1901 roku wybrano go radnym miejskim na czteroletnią kadencję, a w październiku 1917 roku został niepłatnym radnym miejskim (unbesoldeter Stadtrat). U schyłku pierwszej dekady XX wieku był już Max Friedlaender właścicielem sporego majątku – w roku 1909 należało do niego między innymi 6 nieruchomości<sup>16</sup>. Znany był w mieście ze swej szczerej lojalności wobec dynastii Hohenzollernów. Co roku w styczniu, w dniu urodzin cesarza Wilhelma II, iluminował i ozdabiał stojący przed gmachem rejencji opolskiej pomnik cesarza Wilhelma I.

Po zakończeniu I wojny światowej Max Friedlaender zaangażował się w politykę. W latach 1918–1919 był członkiem istniejących wówczas w Opolu rad - robotniczej i ludowej<sup>17</sup>. Jako przedstawiciel władz Opola witał, w styczniu 1920 roku, przybywającą do miasta Międzysojuszniczą Komisję Rządzącą i Plebiscytową<sup>18</sup>.

<sup>14</sup> W roku 1927 pochowano pod nim żonę Maxa Friedlaendera - Linę. Nagrobek małżeństwa Friedlaenderów został całkowicie zniszczony w kwietniu 2005 roku.

<sup>15</sup> D. Piątkowska, *Wyjazdy z powiatu opolskiego do Ameryki w świetle Pass-Journal (1871-1890)*, Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, 1985, Historia XXII, s. 37.

<sup>16</sup> Były to domy przy: Hafenstrasse 17 (ob. ul. Piastowska), Hospitalstrasse 9 (ob. ul. Szpitalna), Krakauerstrasse 57 (ob. ul. Krakowska), Lindenstrasse 5 (ob. ul. Barlickiego), Seiffertstrasse 1 (ob. ul. Odrowążów) i Turmstrasse 4 (ob. ul. Niedziałkowskiego). Zob. Adressbuch der Regierungs-Hauptstadt Oppeln 1909, Oppeln 1909, Teil II, s. 96, 98, 104, 106, 123, 127.

<sup>17</sup> Max Friedlaender wchodził w skład plenum rady ludowej. Zob. W. Lesiuk, *Rady robotnicze, żołnierskie, chłopskie i ludowe w rejencji opolskiej w latach 1918-1919*, Opole 1973, s. 86-87, 103.

<sup>18</sup> Postać M. Friedlaendera znalazła się na rysunku przedstawiającym przybycie Komisji do Opola zamieszczonym w Oberschlesischer Heimatkalender 1928, Ratibor 1928, s. 3. Oprócz Friedlaendera w imieniu

Max Friedlaender był postacią powszechnie w Opolu szanowaną. Na siedemdziesiąte urodziny okolicznościowy tekst o jubileacie zamieścił w „Oppelner Zeitung” znany opolski historyk Alfred Steinert. Na początku lat trzydziestych wyroby firmy Maxa Friedlaendera – m.in. znakomite soki owocowe – kupować można było w 7 sklepach na terenie Opola.<sup>19</sup>

Żona Maxa Friedlaendera, Betty, była jedną z najaktywniejszych kobiet żydowskich Opola. Aż do lat trzydziestych XX wieku przewodniczyła żydowskiemu związkowi kobiet (Israelitischer Frauenverein), angażowała się także w różnego rodzaju akcje dobroczynne<sup>20</sup>. Najstarsza córka Maxa i Betty Friedlaenderów, Ada, w marcu 1920 roku wyszła za mąż za kupca Ericha Kassela<sup>21</sup>.

Max i Betty Friedlaenderowie, mimo narastających po roku 1933 szykan antyżydowskich, odwlekali decyzję o emigracji. Podjęli ją dopiero u schyłku roku 1938, po wypadkach tzw. „Nocy Kryształowej”, i w roku 1939 wyjechali – początkowo na Kubę, a potem do Stanów Zjednoczonych<sup>22</sup>.

## Z cementowni do polityki

Bardzo ciekawą postacią był młodszy brat Maxa Friedlaendera – Richard. Urodzony 14 marca 1867 roku w Opolu, w roku 1876 zapisany został, podobnie jak starszy brat, do opolskiego gimnazjum<sup>23</sup>. Na początku lat dziewięćdziesiątych przebywał dłuższy czas w Stanach Zjednoczonych<sup>24</sup>. Po powrocie z zagranicznych wojaży zaręczył się w marcu 1896 roku z Johanną Frankenstein z Wrocławia<sup>25</sup>. Z małżeństwa tego przyszło na świat czterech synów: Max, Werner, Wilhelm i Fritz<sup>26</sup>.

W roku 1906 Richard Friedlaender założył we Wró-

władz miasta Komisję witali nadsekretarz miejski Tschimpke i radca rejencyjny von Sutterheim.

<sup>19</sup> SSO, nr 65, 15 VIII 1931, s. 219. Były to: drogeria „Grüne (Breslauerplatz 10), sklep z konfiturami Cholewy (Krakauerstrasse 39), drogeria Carla Geyera w hotelu „Krug”, oraz sklepy braci Hausdorff (Eichendorffstrasse 9), Jacoba Mrossa (Malapanerstrasse 7), Panitzta (Hafenstrasse 1) i Kallusa (Fleischerstrasse 2).

<sup>20</sup> M. in. latem 1915 roku organizowała zbiórkę pieniędzy dla żołnierzy frontowych. Zob. OZ, nr 166, 24 VII 1915.

<sup>21</sup> Ibid., nr 67, 21 III 1920. W lipcu 1921 roku Maxowi i Betty Friedlaenderom urodziła się wnuczka Marianne, która jednak przeżyła tylko miesiąc. Zob. OZ, nr 150, 19 VIII 1921; Brieger Zeitung (Sonderausgabe für Oppeln), 22 VII 1921.

<sup>22</sup> List Ch. J. Friedlaendera do autora z 15 VI 1997.

<sup>23</sup> APO BO, sygn. 43, Album des Gymnasiums, s. 304, pozycja 3067.

<sup>24</sup> Piątkowska, op. cit., s. 41.

<sup>25</sup> SSO, nr 13, 28 III 1896, s. 79.

<sup>26</sup> Syn R. Friedlaendera, podporucznik Max Friedlaender, dowódca dywizyjnej kolumny samochodów ciężarowych (Divisions Kraftwagenkolonne), otrzymał we wrześniu 1916 roku Krzyż Żelazny II klasy. Zob. OZ, nr 204, 5 IX 1916. Zawiadomienie o narodzinach syna Fritza zob. SSO, nr 82, 12 X 1904, s. 372.

blinie pod Opolem cementownię „Neue Oppelner Portland-Zement Fabrik”, której planowana produkcja wynosić miała około 400 tys. ton cementu<sup>27</sup>. U progu wybuchu I wojny światowej, w roku 1914, Richard Friedlaender był dyrektorem opolskiej fabryki tekstylnej (Oppelner Textilosewerk)<sup>28</sup>. Dbał także o dzielnicę, w której mieszkał – w roku 1902 został wybrany na przewodniczącego (Deichhauptmann) towarzystwa zajmującego się wałami przeciwpowodziowymi (Wilhelmsthaler Deichverband)<sup>29</sup>.

Pod koniec I wojny światowej Richard Friedlaender zaangażował się mocno w politykę. Na początku listopada 1918 roku na łamach „Gazety Opolskiej” ukazał się tekst zatytułowany „Bierzcie sobie przykład”, który dotyczył listu, jaki Richard Friedlaender opublikował w gazecie „Schlesische Zeitung”. Opolski dziennik podawał: *Pod tym tytułem („Nehmt euch Beispiel”) ogłasza generalny dyrektor Friedlaender z Opola obszerny list, w którym zachęca do jedności i zgody i do dalszego prowadzenia wojny. Friedlaender opowiada, że często bywa w Belgii (oczywiście dla geszeftu!) i że udał się pewnego razu w Brukseli do tamtejszej katedry, dokąd go zwabił piękny, nabożny śpiew. Gdy się znajdował w pośrodku kościoła wśród tłoczących się tłumów, nagle zagrzmiąły z pierśi wszystkich wiernych pełne zapału okrzyki: Niech żyje Francja!, Niech żyje Belgia!, Niech żyje król i wojsko i zwycięstwo! Okrzyki te spowodowało ukazanie się uwielbianego i kochanego w Belgii kardynała Merciera, bo było to w dniu rocznicy ogłoszenia samodzielności Belgii. Friedlaender powiada, że taka jedność powinna być „u nas”, a w takim razie odrzucilibyśmy „pokój o czarnym chlebie” a ratowalibyśmy „ojczyznę”. Ale „nam powodzi się jeszcze za dobrze – tak dowodzi Friedlaender – „nieprzyjaciół powinien stać u nas w kraju, grzmot armat powinniśmy usłyszeć, ażeby naród poczuł się narodem” – a w takim razie zamilkliby małoduszni i kłótlivi, i poczulibyśmy się silnymi i stanowczymi do obrony i nietykalności naszych granic*<sup>30</sup>. Gazeta komentowała stwierdzenia Richarda Friedlaendera bardzo ostro<sup>31</sup>.

<sup>27</sup> OZ, nr 105, 9 V 1906; nr 106, 10 V 1906. Nowa cementownia zarejestrowana została 5 maja 1906 roku.

<sup>28</sup> Oberschlesischer Handels-Adressbuch 1914, Berlin-Breslau-Katowitz-Leipzig 1914, s. 282.

<sup>29</sup> OZ, nr 30, 6 II 1902.

<sup>30</sup> Gazeta Opolska, nr 168, 5 XI 1918.

<sup>31</sup> Napisało m. in.: „I takie to „kazanie” prawi w protestanckiej gazecie pan Friedlaender, żyd (pisownia oryginalna – M. B.), który się chwali, że zwiedza katolickie katedry. Wierzmy również w ten żydowsko-niemiecki patryjotyzm, bo go już nieraz mieliśmy sposobność poznać u osobników podobnej kategorii – jak nasz żydowski „moralista”, ale radzimy panu Friedlaenderowi, aby mniej pisał i gadał, a więcej po cichu myślał”.

**Himbeer-Rohsaft frisch von der Presse + Alle Sorten Fruchtsyrupe**  
**Liköre, Gesundheitsbitter und andere Spirituosen**  
**Weine, Medizinalweine, Fruchtweine**  
 in bekannt guter Qualität billigst! [837]

Telefon Nr. 11. **M. FRIEDLAENDER** Telefon Nr. 11.  
 Spezialflaschenladen Schloßstraße 2 am Schwibbogen.

Reklama produktów browaru

Do kolejnej ostrej scysji między Friedlaenderem a „Gazetą Opolską” doszło niedługo później. Pod koniec listopada 1918 roku przyjechał do Opola wrocławski socjalista Handke, który w wypełnionej sali hotelu „Form” wygłosił odczyt na temat „Zadania ludu niemieckiego w nowym państwie niemieckim”. „Gazeta Opolska” tak relacjonowała to spotkanie: *W dyskusji nad wykładem zabierali głos: ks. prof. Kresse, dyrektor Moelzig i dr Hoheisel. Wszyscy trzej trzymali się ram wykładu, tylko żyd (pisownia oryginalna – M. B.) były dyrektor Friedlaender zapytywał się prelegenta, co się z Górnym Śląskiem stanie, bo do Polski pod żadnym sposobem należeć nie powinien. Friedlaender przeciw temu protestuje i będzie walczył „auf Leben und Tod”, jak się wyraził, by Śląsk dla „Vaterlandu” uratować. Chyba p. Friedlaender nie myśli Górnego Śląska do Palestyny przyłączyć, bo w bliższym określeniu Palestyna powinna być jego ojczyzną*<sup>32</sup>. O aktywności politycznej Richarda Friedlaendera najlepszej opinii nie miał także Szymon Koszyk<sup>33</sup>.

W kwietniu 1919 roku Richard Friedlaender zabiegał o utworzenie w Opolu rady mieszczańskiej<sup>34</sup>. Niedługo po utarczkach prasowych z „Gazetą Opolską” został mianowany przez Międzysojusznictwą Komisję

<sup>32</sup> Ibid., nr 181, 29 XI 1918.

<sup>33</sup> Wspominał on: „Na czele tej zorganizowanej pomocy dla byłych jeńców wojennych stanął radca handlowy i generalny dyrektor fabryki cementu we Wróblinie Ryszard (pisownia oryginalna – M. B.) Friedlaender, równocześnie prezes Niemieckiej Partii Narodowej („Deutsch Nationale Volkspartei”), człowiek bez najmniejszych skrupułów, gotowy do każdej brudnej roboty politycznej. Zob. *Wspomnienia Opolan*. Red. A. Glińska, K. Malczewski, A. Pałosz, Warszawa 1965, s. 121. Szymon Koszyk oskarżył także Friedlaendera o rozbicie polskiej demonstracji patriotycznej w Opolu 2 maja 1920 roku. Jego zdaniem Friedlaender „przekupił kocyndrów zaodrzańskich i część członków USPD (Unabhängige Sozialdemokratische Partei Deutschlands – M. B.) przed 2 V 1920 r., aby rozbić polski pochód”. Zob. E. Mendel, *Stosunki społeczne i polityczne w Opolu w latach 1919-1933*, Warszawa-Wrocław 1975, s. 79.

<sup>34</sup> Mendel, op. cit., s. 56. Na zebraniu politycznym 29 kwietnia 1919 Richard Friedlaender wraz z innymi jego uczestnikami wystosował rezolucję do ministra spraw zagranicznych z żądaniem, by Niemcy nie przyjęły warunków pokojowych sformułowanych w 14 punktach prezydenta USA Woodrowa Wilsona.

**Zum Osterfeste** empfehle ich

[432]



**Oster-Eiercreme**  
aus ganz frischen Trinkeiern und Weinbrand

**Spezial-Liköre**  
aus frischen Früchten und Edelbranntwein destilliert

**Mai-Wein und Weine** jeglicher Herkunft

**Spirituosen** in grösster Auswahl.

Alles in erlesener Qualität u. äußerst billig.

**Telefon 11. M. Friedlaender, Schloßstr. 2. Gegr. 1824.**

☛ Während des Umbaues meines Flaschenladens Eingang zur Geschäftsstelle in der Hospitalstrasse. ☚

Wielkanocna oferta browaru (reklama w gazecie)

Rządzącą i Plebiscytową doradcą ze strony niemieckiej przy powiatowym Międzysojuszniczym Biurze Plebiscytowym w Opolu<sup>35</sup>. Działał także aktywnie w opolskim zarządzie partii „Deutschnationale Volkspartei” (DNVP)<sup>36</sup>.

Schyłek życia schorowany Max Friedlaender spędził w Berlinie, gdzie zmarł 29 grudnia 1929 roku<sup>37</sup>. Jego zgon odnotowany został skrupulatnie w kronice Opola z lat 1923–1932<sup>38</sup>.

<sup>35</sup> *Encyklopedia powstań śląskich*. Red. F. Hawranek, A. Kwiatek, W. Lesiuk, M. Lis, B. Reiner, Opole 1982, s. 98.

<sup>36</sup> OZ, nr 7, 10 I 1919; nr 10, 14 I 1919. W styczniu 1919 roku R. Friedlaender został kandydatem partii DNVP w wyborach do konstytuanty niemieckiej. Na liście kandydatów otrzymał miejsce 10 – mandatu jednak nie uzyskał. Zob. M. Cygański, *Niemieckie mieszczańskie partie polityczne na Górnym Śląsku wobec polskiego ruchu narodowego w latach powstań śląskich i plebiscytu 1919-1921*, Studia Śląskie, 1981, T. 39, s. 15; E. Klein, *Wybory do konstytuanty niemieckiej w styczniu 1919 r. na Górnym Śląsku*, Studia Śląskie, 1969, T. 14, s. 97.

<sup>37</sup> Ciało R. Friedlaendera zostało spopielone w krematorium cmentarza żydowskiego Berlin-Wilmersdorf.

<sup>38</sup> APO AmO, sygn. 456, Chronik der Stadt Oppeln für die Zeit vom 1. April 1923 bis 31 März 1932, maszynopis, s. 8.

\*\*\*

Ciekawe losy kolejnych pokoleń rodziny Friedlaenderów są nie tylko historią rodzinną, ale zarazem znakomitą ilustracją fenomenu, jakim była asymilacja niemieckich Żydów. Społeczność ta w bardzo krótkim czasie przebyła drogę od grupy ledwo tylko tolerowanej i ograniczanej wieloma zakazami do społeczności będącej elitą polityczną, kulturalną, ekonomiczną i społeczną Niemiec. Wypada mieć nadzieję, że dalsze poszukiwania archiwalne pozwolą na jeszcze dokładniejsze i pełniejsze odtworzenie pasjonujących dziejów najwybitniejszej żydowskiej rodziny Opola – rodziny Friedlaenderów.

Maciej Borkowski

Aleksander Woźny

# Tajemnice „Tajemnicy Westerplatte”

15 lutego 2013 r. na ekrany polskich kin wszedł długo zapowiadany film pt. *Tajemnica Westerplatte* w reżyserii Pawła Chochlewa. W swojej recenzji Jacek Szczerba („Gazeta Wyborcza” z tego dnia) napisał m.in., że nie jest to obraz z posmakami skandalu, ani skrajnie nieudolny – czego obawiali się „dyżurni patrioci”. Z kolei jego kolega z łamów, Paweł T. Felis, nazwał to dzieło wymęczonym historycznym gniotem, o którym szybko trzeba będzie zapomnieć.

Zamiar nakręcenia filmu pt. *Tajemnica Westerplatte* ogłoszono w 2008 r., wtedy też zlecono recenzje scenariusza. Skrajnie różne opinie wygłaszali literaci, filmowcy, czytelnicy i historycy. Istotnym głosem w dyskusji był list Remigiusza Kasprzyckiego z Muzeum Armii Krajowej w Krakowie do redakcji „Przeglądu Politycznego” na początku października 2008 r.: *Historyczne protesty wokół projektu filmu o polskich obrońcach gdańskiego przyczółka z września 1939 roku dają sporo do myślenia. Nasuwa się refleksja, że przedstawienie obrazu historycznego, który nie jest przepojony patetycznymi „dziejami z dziejów” narodu, nie ma szans zaistnienia. Bardzo to złe czasy, kiedy sztuka staje się, jak śpiewał kiedyś „Kult” – służą polityki*<sup>1</sup>.

W efekcie tej niezwykle gwałtownej i długiej dyskusji medialnej produkcja stanęła pod znakiem zapytania: wycofał się niemiecki producent, niepewne było wsparcie prywatnych sponsorów. Zmniejszono także budżet filmu z 14 do 11,4 mln zł. Ciągłe przesuwanie terminów realizacji filmu i inne okoliczności wywoływały zmiany w jego obsadzie. Z roli komendanta Wojskowej Składnicy Tranzytowej wycofał się, zbliżony fizjonomią do mjr. Henryka Sucharskiego, Bogusław Linda. Zastąpił go Michał Żebrowski. Podpułkownika dypl. Wincentego Sobocińskiego miał zagrać Jan Peszek.

Zmianom ulegał i sam scenariusz. Znikły więc kontrowersyjne sceny, obecne w jego pierwszej wersji

<sup>1</sup> R. Kasprzycki, *Nowe scenariusze dla odważnych*, „Przegląd Polityczny” 2008, nr 91, s. 226.

Obrona półwyspu miała znaczenie taktyczno-operacyjne, a przede wszystkim propagandowe. Kierownictwa polskiej dyplomacji i wojska wiedziały od dawna, że Niemcy ustawicznie prowokowali do wystąpienia zbrojnego na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Szukali wiarygodnego pretekstu do opanowania tego terytorium. Z drugiej zaś strony wywiad wojskowy ustawicznie ostrzegał kierownictwo polityczne i wojskowe państwa, że III Rzesza przygotowała się do agresji na II RP.



Pancernik Schleswig-Holstein (1 września 1939 r., godz. 4.47)

(żołnierze oddający moc na portret Marszałka Śmigłego-Rydza, lizanie pornograficznych kart, obraz biegnących, nagich Polaków ostrzeliwanych przez Niemców)<sup>2</sup>. Reżyser obiecywał, a jego słowa przytoczył w swoim tekście („Gazeta Wyborcza” z 12–13 września 2009) Paweł T. Felis, że w filmie [...] będą tylko dwie sceny, w których żołnierze piją alkohol – m.in. ta, w której Sucharski z Dąbrowskim piją bruderszaft<sup>3</sup>. Skrajnie różnych wypowiedzi na temat scenariusza udzielili historycy: Tomasz Nałęcz i Paweł Wieczorkiewicz (zmarły 23 marca 2009 r.). Pierwszy ocenił: *Ów obraz Westerplatte, w którym obok wielkości i poświęcenia są obecne także słabość i małość, jest największą zaletą scenariusza, jak najbardziej zgodną z realiami historii*<sup>4</sup>. Drugi natomiast stwierdził: *Myślę, że [ten kształt scenariusza to wynik] kompletnej hucpy, przekonania, że wszystko jest łatwe i proste, że nie ma tematu, z którym nie można się zmierzyć. Może to prawda, bo do ambitnych świat należy, ale są tematy, nad którymi trzeba popracować. Jak się nie umie pracować albo się nie ma kwalifikacji, to potem wychodzą gnioty*<sup>5</sup>.

<sup>2</sup> P. T. Felis, *Tajemnica Westerplatte. A jednak się kręci*, „Gazeta Wyborcza” (dodatek: „Kultura”) 2009, nr 214 z 12-13 IX, s. 13.

<sup>3</sup> Ibidem.

<sup>4</sup> *Polemika. Prawda o <<Tajemnicy Westerplatte>>*. Chochlew przedstawia historię bez makijażu, „Dziennik” 2008, nr 272 z 21 XI, s. 19.

<sup>5</sup> *Polemika. Prawda... Ten film to kompletny gniot*, ibidem.



Kampfgruppe, które czeka pod pokładem na rozkaz opuszczenia okrętu i zaatakowania Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte

I oto, po kilku latach tych gorących dyskusji nad scenariuszem, film wreszcie pojawił się w polskich kinach.

27 marca 2013 r., w sali opolskiego „Kinopleksu”, zmierzyłem się z *Tajemnicą...* i ja. W obecności czterech (!) widzów.

Ten moment poprzedziła długoletnia kwerenda przeprowadzona przez mnie w archiwach wojskowych i zbiorach cywilnych; jej efektem była książka pt. *Niemieckie przygotowania do wojny z Polską w ocenach polskich naczelnych władz wojskowych w latach 1933-1939* (Warszawa 2000), w której zawarłem także odniesienia do obrony Westerplatte (na powojenne dokumenty dotyczące tego wojennego epizodu natknąłem się później w Instytucie Polskim i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie).

Już na początku filmu pojawiają się nieprawdziwe informacje, mimo że przecież reżyser miał kilka lat na uwzględnienie uwag recenzyjnych. Narrator mówi nam np., że obszar Westerplatte, czyli dawne uzdrowisko<sup>6</sup>, na mocy postanowień traktatu wersalskiego przekazano Polsce. Nic bardziej błędnego. O ten skrawek terytorium (później eksterytorialny) zadbali przede wszystkim przezorni, wybitni Polacy – gdańszczanie. To oni uświadomili Warszawie, że: *Kto ma Westerplatte, ten panuje nad wejściem do portu. Rząd niemiecki z niezrozumiałych [...] powodów nie przywiązywał większej wagi do strategicznego znaczenia Westerplatte*. Pomocni w tej operacji byli, za dość okazałym wy-

<sup>6</sup> Na Westerplatte na przełomie XIX/XX w. istniał dobrze urządzony kurort nadmorski z obszernym, ładnie rozplanowanym parkiem, kilka willi i *Kurhaus*. Na samym ostrzu cypla mieściły się dawne forty. [Teren był w rękach prywatnych].

nagrodzeniem, miejscowi Kaszubi. Po sfinalizowaniu umowy nabycia, natychmiast telegraficznie powiadomili o tej transakcji komendanta Józefa Piłsudskiego i premiera Ignacego Paderewskiego. Potem Wojsko Polskie, za zgodą sprzymierzonych, obsadziło Składnicę Tranzytową (potem: Wojskową).

Przy okazji: w filmie znalazła się, i słusznie, bo to prawda historyczna, archiwalna sekwencja z Wolnego Miasta Gdańska (ustanowionego traktatem wersalskim), pokazująca tłum zafascynowany Adolfem Hitlerem. Miasto w tamtym czasie nie było polskie. II RP była jednak obecna poprzez: Poczta Polską, PKP, przedstawicieli w Zarządzie Portu i Komisariat Generalny RP z Referatem Lądowym, którym kierował, wywodzący się z Inowrocławia, wybitny znawca niemieckich sił zbrojnych (Wehr-



Niemiecki oficer salutuje mjr. Henrykowi Sucharskiemu. Zdjęcie opatrzone podpisem: *Der tapfere polnische Festungskommandant Major Sucharski erhielt nach der Kapitulation seinen Degen zurück, und deutsche Offiziere salutieren von ihm (Walecznemu polskiemu komendantowi twierdzy, majorowi Sucharskiemu [gen. Fridrich Eberhardt – dop. A.W.] zwrócił po kapitulacji jego szablę, oficer salutuje*



macht) i były kierownik zachodniego referatu studyjnego w centrali wywiadu wojskowego (Oddział II SG WP) ppłk W. Sobociński. Podpułkownik, a nie major – jak słyszymy w filmie, w którym w jego postać wcielił się Jan Englert.

Kolejnym błędem twórców filmu jest nazywanie – już 31 sierpnia 1939 r. – naczelnym wodzem marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Użycie takiego określenia było uprawnione od 1 września, tj. od agresji Wehrmachtu (do tego czasu był generalnym inspektorem). Każdy, kto zna regulamin dyscyplinarny Wojska Polskiego II RP wie także, że pokrzykiwanie mjr. Henryka Sucharskiego, komendanta eksponowanej placówki, na dyplomata wojskowego i przełożonego w randze podpułkownika (W. Sobociński) – nie mogło się zdarzyć. Wiadomo, iż długotrwałe działania wojenne, pobyt w okopach i trudy wojny z czasem powodują skrócenie dystansu służbowego między podwładnym a przełożonym. Mało wiarygodnym wydaje mi się jednak, by doszło do tego po tak krótkim czasie.

Warto przypomnieć przy tej okazji, że Wolne Miasto Gdańsk było barometrem nastrojów w politycznych stosunkach polsko-niemieckich. Wywiad wojskowy rzetelnie informował kierownictwo wojska i władze polityczne o potędze militarnej zachodniego sąsiada, której Polska z pewnością nie sprosta. Od 3 maja 1939 r. w kręgach polityczno-wojskowych wiadomo było, że Niemcy dążą do odnowienia sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Po wypowiedzeniu, 28 kwietnia 1939 r., przez kanclerza III Rzeszy deklaracji o pokojowym regulowaniu spraw spornych (pakt o nieagresji) i dramatycznym przemówieniu min. Józefa Becka w Sejmie (5 maja) – wojna była pewna. Jednak w kierownictwie MSZ łudzono się ciągle, że gwarancje brytyjskie i umowa wojskowa z Francją zatrzymają III Rzeszę. Kanclerz „grał Gdańskiem”, a zastosowana dezinformacja przyniosła mu sukces w postaci wprowadzenia przez dowództwo polskie dwudywizyjnego Korpusu Interwencyjnego do korytarza pomorskiego<sup>7</sup> (miał zdusić hitlerowski pucz i uniemożliwić włączenie miasta do Rzeszy). Za operacyjny błąd zapłacili straszną cenę żołnierze Armii „Pomorze”, których zmasakrował nierozpoznany XIX KPanc gen. Heinza Guderiana<sup>8</sup>.

Jest w filmie scena składania raportu sytuacyjnego komendantowi składnicy w szóstym dniu oblężenia, a

<sup>7</sup> 31 VIII 1939 r. Korpus Interwencyjny otrzymał rozkaz odwrotu, 1 września wycofywał się już pod bombami *Luftwaffe*. [Dowódca obszaru pomorskiego gen. Władysław Bortnowski meldował od 1936 r. kierownictwu wojska, że nie ma na tym obszarze żadnych możliwości w miarę bezpiecznego działania operacyjnego. Wybrzeże morskie zostanie natychmiast odcięte i dlatego należy je niezwłocznie przygotować do samodzielnej obrony].

<sup>8</sup> Wywiad „Wschód”, któremu podlegała Czechosłowacja (od marca 1939 r. Protektorat Czech i Moraw) do 27 sierpnia (potem w Referacie „Zachód”) – ustawicznie meldował koncentrację XIX KPanc na Morawach. [Jak nazwać w tym kontekście odwołanie 20 VIII 1939 r. przez szefa Sztabu Głównego kierownika wywiadu zachodniego. Powód – sianie paniki informacjami o koncentracji dywizji pancernych wzdłuż polskich granic].

więc 6 września – w tym raporcie padają słowa, że tego dnia Niemcy zajęli Kraków. Tymczasem wiadomo, że polskie wojsko opuściło Kraków bez walki już 3 września.

Kolejna wątpliwość dotyczy filmowej, emocjonalnie rozchwianej postaci mjr. Henryka Sucharskiego. Otóż w rzeczywistości był on człowiekiem zrównoważonym, perfekcyjnym, oficerem przeszkolonym w centrali wywiadu wojskowego w dziale prac specjalnych (tajne przygotowania składnicy, łączność z Referatem Łądowym). W kwestiach ewidencyjnych (wywiadowczych) – podlegał i składał raporty szefowi wywiadu. Na tym stanowisku w eksterytorialnej placówce musiał mieć kat. zdrowia „A”. W wojsku występują różne sytuacje, ale powierzenie epileptykowi dowodzenia tak ważną placówką – jak to przedstawiono w filmie – wykluczam. Dowódca najprawdopodobniej cierpiał na chorobę wrzodową, którą pogłębiał



Stary bunkier amunicyjny po ostrzale (7 IX 1939 r.) z wojenną flagą III Rzeszy na nasypie



W sadzie na Westerplatte. Od lewej: płk dypl. Wincenty Sobociński, szef Wydziału Wojskowego Komisarjatu Generalnego RP, jego żona Elżbieta, mjr Henryk Sucharski i por. Leon Pająk

ustawiczny stres, ogromny ciężar odpowiedzialności, nadmiar wypalanych papierosów<sup>9</sup>.

Koszary Westerplatte od dawna przygotowywano do obrony. Majstersztykiem budowlanym było, utrzymywane w tajemnicy, wzmocnienie stropów koszar i ufortyfikowanie piwnic oraz wartowni. Powiększono stan broni maszynowej, przemycono dwa działa, zwiększono zapas amunicji, wyposażenia i liczebność załogi. Wielkim problemem była postawa żołnierzy (88 etatów). Miał z nimi kłopot od lat trzydziestych XX w. jeden z komendantów kpt. Jan Lityński. Meldował sztabowi, że żołnierze-Kaszubi, stanowiący prawie połowę załogi, stykali się z gdańską ludnością, *prawdopodobnie nie zawsze dobrze ustosunkowaną do naszej państwowości*. Tym tłumaczył zdarzenia, jakie miały miejsce w koszarach: podpiłowanie zamka ckm, rysowanie hitlerowskich krzyży na obiektach wojskowych, rozmowę w języku niemieckim, rozmyślne zasypianie na posterunku lub schodzenie z niego, a nawet przesunięcie przez podoficera w Gdańsku wieńca z niemieckimi barwami narodowymi pod pomnikiem poległych żołnierzy, co groziło wywołaniem skandalu dyplomatycznego). Być może te elementy posłużyły reżyserowi do wprowadzenia w filmie desperackiego, w mojej ocenie, wątku sprofanowania przez podoficera propagandowego plakatu *Do broni*, z sierpnia 1939 r. (według wcześniejszego scenariusza miał to być portret Naczelnego Wodza). Przy okazji, kapral pod wpływem alko-

<sup>9</sup> Koledzy z wywiadu w Londynie pamiętali o nim w niewoli (także i o innych jeńcach). Otrzymywał standardowe paczki (konwencja w sprawie traktowania jeńców) nadawane z Portugalii przez specjalną placówkę polskiego wywiadu. Koszt paczek nie obciążał budżetu rządu emigracyjnego. Fundusz paczkowy pochodził z żołdów oficerskich. Jego nazwisko odnalazłem na jenieckich listach wysyłkowych (paczki kierowano także do żon oficerów mieszkających na terenach okupowanych; docierały do adresatów). Major H. Sucharski po uwolnieniu z niewoli wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (II Korpus Polski – Włochy). Zmarł w 1946 r.

holu zwraca się w kasynie<sup>10</sup> do oficera kpt. Franciszka Dąbrowskiego (zastępca dowódcy) „per ty” – nie do pomyślenia! Nie w pierwszych dniach wojny.

Rzeczywiście pierwotne wymiany załóg składnicy nie były regularne<sup>11</sup>. Po doświadczeniach z lekkomyślnym traktowaniem sprawy doboru żołnierzy do służby w składnicy przez kierownictwo wojska – wreszcie rozkazem z 19 lutego 1938 r. ustalono, że załogę składnicy, bez żołnierzy z Pomorza, miały wystawić dywizje: 8., 18., 28. oraz 1. i 2. DPLeG. (Kielce; od 1 kwietnia do 1 października 1939 r.). Wiosną i latem 1939 r. dokonano ponadkontyngentowego zwiększenia liczby żołnierzy<sup>12</sup>. Od 1937 r. dbano szczególnie o dobo-

rowy charakter załogi, zarówno pod względem fizycznym, wykszolenia i przekonań ideowych. Szeregowcy musieli być obywatelami polskimi, kawalerami o wzroście minimum 170 cm, odpowiednich kwalifikacjach wykszoleniowych, wysokim morale i bez nałogów. Wszystkich sprawdzał kontrwywiad wojskowy i służby cywilne (nie mogli być karani dyscyplinarnie i sądowo, powinni być wolni od zdeklarowanych sympatii komunistycznych lub socjalistycznych). Podoficerowie służby stałej mogli być żonaci, ale rodziny musiały zostać w kraju. Podoficerowie (np. plutonowi) i kaprale nadterminowi musieli się legitymować specjalnością celowniczego ciężkiego karabinu maszynowego. Miesiąc przed wymianą załogi listę żołnierzy parafowało Biuro Personalne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych<sup>13</sup>. Kilkakrotnie w filmie słyszymy wyraźnie rozkaz płk. W. Sobocińskiego przekazywany komendantowi składnicy: *załoga Westerplatte powinna bronić się przez sześć godzin do czasu przybycia odsieczy*. Łudzono się, że pomoc nadejdzie ze strony Korpusu Interwencyjnego. Rzeczywiście szef Referatu Ładowego przybył 31 sierpnia do WST z wizytą inspekcyjną, ale jego *nienaturalne zachowanie zostało [...] zauważone*. Podczas osobistej rozmowy przekazał dowódcy składnicy bieżące informacje oraz rozkaz,

<sup>10</sup> Wówczas kasyna w jednostkach wojskowych były osobne dla oficerów i podoficerów służby stałej. Kapral z poboru nie miał wstępu do kasyna oficerskiego. Kapral nadterminowy mógł przebywać w kasynie dla podoficerów.

<sup>11</sup> Potem dokonywano wymian wiosną i jesienią. Do 1933 r. zmiany wystawiała 4. DP (Toruń). Specjalistów do składnicy przydzielał Batalion Mostów Kolejowych i Batalion Silników Spalinowych w Modlinie. Natomiast w latach 1933-1937 załogę wystawiał Batalion Morski z Wejherowa, podlegający Dowództwu Marynarki Wojennej.

<sup>12</sup> J. Tuliszka, *Westerplatte 1926-1939. Dzieje Wojskowej Składnicy Tranzytowej w Wolnym Mieście Gdańsku*, Toruń 2003, s. 47-48.

<sup>13</sup> Ibidem, s. 51.

że obrona zamiast przewidywanych 6 godzin ma być wydłużona do 12 i na żadną pomoc z zewnątrz nie należy liczyć. Równocześnie zobowiązał on mjr. H. Sucharskiego do zachowania bezwzględnej tajemnicy. W trakcie obiadu w kasynie poinformował, w obecności komendanta kpt. F. Dąbrowskiego i ppor. Zdzisława Kręgielskiego, o wydłużeniu czasu obrony. Prosił ich, by nie dali się zaskoczyć niespodziewanym atakiem. Porucznikowi Z. Kręgielskiemu obiecał, że zaopiekuje się jego samotną matką. Po pożegnaniu odjechał samochodem do Komisariatu Generalnego<sup>14</sup>. Nieco inaczej moment ten przedstawia Piotr Derdej, według którego szef Referatu Lądowego miał powiedzieć: [...] *jeżeli wytrzymacie 12 godzin, to, gdy losy na to pozwolą, całą załogę ozłocimy*. Potem, na osobności, w serdecznych słowach miał zwrócić się do ppor. Z. Kręgielskiego: *sluchaj „Mały”, mówię z tobą jak z oficerem i mężczyzną – mała nadzieja na uratowanie życia. Bijecie się o honor żołnierski i polski Gdańsk [...]. Przewaga po tamtej stronie jest olbrzymia. Jestem przekonany, że potrafisz wspólnie z innymi udźwignąć i wypełnić to trudne zadanie, że będziecie bronili się 12 godzin*<sup>15</sup>.

Szef Wydziału Wojskowego KGRP miał zatem pełne wyobrażenie o przewadze Wehrmachtu, nie tylko w Gdańsku, ale i w całej, zbliżającej się wojnie. Rozkaz wydany dla załogi Westerplatte był więc decyzją polityczną: obrona półwyspu, jak i innych obiektów polskich w Wolnym Mieście Gdańsku, miała pokazać Europie i światu, że II RP bez walki nie wyrzeknie się prawa do niego. Pomijając szczegóły, które znane są z licznych publikacji – mjr. H. Sucharski wykonał zada-

nie obrony Westerplatte. Miał prawo poddać składnicę po upływie nakazanego czasu obrony. Jestem przekonany, że autor scenariusza (i reżyser) nie był w stanie wyobrazić sobie, co oznaczał dla zamkniętych w bunkrach żołnierzy ostrzał z pancernika „Schleswig-Holstein” – pociskami 280 mm (wystrzelono ich 90), 407 mm (150), 88 mm (366), zużyto 3 tys. pocisków 20 mm. Na psychikę załogi musiały oddziaływać naloty samolotów bombardowania bezpośredniego – Ju 88 (bomby 500, 250 i 50 kg; łącznie 26,5 tys. kg). Półtonowa bomba trafiła w wartownię nr 5, z całej załogi zdołano uratować dwóch żołnierzy.

Za puentę niech posłuży cytat z rozmowy o scenariuszu tego filmu z przywołanym już przeze mnie Pawłem Wieczorkiewiczem, który w 2009 r. powiedział: *Oceniam dobrze sam pomysł, ale w kategorii przedstawienia sporu major Sucharski – kapitan Dąbrowski. To pomysł na wielką literaturę lub wielki film, bo to tragedia na miarę greckiej czy szekspirowskiej. Tragedia, gdzie obie racje są równo podzielone. Rację miał i Dąbrowski, i Sucharski. Nie sposób jednego potępić, a drugiego uczynić bohaterem. Obaj byli gorącymi patriotami myślącymi o Polsce, tylko inaczej czuli te myśli: czy walkę o Polskę na Westerplatte zrealizować pragmatycznie, czy romantycznie? To stary spór w historii Polski i temat na wielkie dzieło. Niestety, w tej wersji, którą poznałem i recenzowałem, wyszła karykatura*.

**Aleksander Woźny**

**Fotografie, z b. archiwum Wehrmachtu, pochodzą z tygodnika „Quick” (nr 36, z 29 sierpnia 1974)**

<sup>14</sup> Ibidem, s. 144-145.

<sup>15</sup> P. Derdej, *Westerplatte – Oksywie – Hel 1939*, Warszawa 2009., s. 75-76.

## Cytaty z importu

„Uważam Rze”, nr 10 (110), 11–17 marca 2013

## Negowanie polskości Lwowa to droga donikąd

Z profesorem Stanisławem Sławomirem Nicieją, historykiem, rektorem Uniwersytetu Opolskiego rozmawia Marcin Hałas

– **Oficjalny informator turystyczny Lwowa, wydany właśnie przez władze tego miasta, o Polakach nie wspomina. Ukraińscy przewodnicy oprowadzający polskie wycieczki po Lwowie mówią, że w listopadzie 1918 r. obrońcami miasta byli siczowi strzelcy atamana Wytowskiego. Czy pan, historyk, autor wielu książek o Kresach, jest tym zdziwiony?**

– Rzeczywiście, na terenie dzisiejszej Zachodniej Ukrainy, gdzie głównym miastem jest Lwów, obserwujemy w bardzo licznych publikacjach irytujące nas, Polaków, nacjonalistyczne oceny. Pojawiają się opinie, że Polacy nic nie zrobili dla tych ziem, że byli tylko i wyłącznie okupantami. Pod względem merytorycznym przypomina to podejście, jakie u nas panowało w czasach PRL w oficjalnym dyskursie propagandowo-historycznym: nie można było wówczas wymienić nazwy Breslau czy Oppeln ani opisywać niemieckich wątków historii Dolnego lub Górnego Śląska z jakąkolwiek nutą sympatii bądź uznania. Obecna próba zamazania polskiej historii Lwowa czy innych miast dawnej Małopolski Wschodniej wynika zapewne z ukraińskiej traumy, która trwa do dzisiaj. Pamiętajmy, że przez 600 lat Lwów był wyjątkowo mocno wpisany w historię Polski, żyły w tym mieście pokolenia Polaków, kreując zadziwiające zjawiska w nauce, kulturze i gospodarce. To było multikulturowe miasto zatartych granic. Jednak przy wielości zamieszkujących Lwów nacji miasto to miało zawsze mocny aromat polskości, który po 1945 r. został unicestwiony przez gwałtowną, represyjną depolonizację. Wtedy właśnie powstało założenie, że wszystko, co polskie we Lwowie, trzeba ukryć i zamazać. I tak o czasach polskich zaczęło się mówić i pisać z użyciem kryptonimu „czasy austriackie”: tam była Austria, monarchia Habsburgów, to był Lemberg. Na czym polega nadużycie? Otóż w tym Lembergu właściwie wszyscy mówili po polsku, język polski – nie niemiecki – był językiem urzędowym, prezydentem miasta był Polak, namiestnikiem Galicji był Polak, dyrektorami gimnazjów byli Polacy, szefem poczty był Polak i tak dalej... Politycznie Polski rzeczywiście na mapie Europy nie było, ale żywioł Lwowa, jego kul-

tura, jakość ludzi, którzy tam mieszkali – to wszystko było w ogromnej przewadze polskie. Pamiętajmy, że w połowie XIX w., a zwłaszcza po 1870 r. Polacy po raz pierwszy obronili Lwów i w fenomenalny sposób zepchnęli Ukraińców na drugo-, trzeciorzędne pozycje. Przecież wtedy Ukraińcy też mieli szansę sprawę inaczej rozegrać, bo na samym początku po zajęciu Galicji w 1772 r. (I rozbiór Polski) Austriacy zgermanizowali Lwów, próbowali narzucić w nim swój ryt. I Polacy się odbili, odzyskali przestrzeń kulturową, wywalczyli autonomię, spolszczyli urzędy, a Ukraińcy spóźnili się ze swoim przebudzeniem narodowym.

– **Czy z tego wynika, że obecne zachowania Ukraińców wynikają ze świadomości, iż w konfrontacji z polską kulturą zawsze przegrywali?**

– Na Ukrainie wciąż mamy do czynienia z kompleksem, który owocuje wymazywaniem polskości. Mam jednak nadzieję, że coraz częściej będą się pojawiały poważne opracowania ukraińskie, w których to zjawisko będzie ustępowało, że Ukraińcy dojrzeją do pokazywania i opisywania Lwowa zgodnie z prawdą historyczną. Nam, Polakom, już dziś nie przeszkadza, że Niemcy uważają część historii Wrocławia, Szczecina czy Opola za swoją. Ukraińcom wciąż przeszkadza polskie poczucie historycznej i kulturowej własności Lwowa czy Stanisławowa – myślę, że jest to jeszcze kwestia pokoleń i czasu, który to znormalizuje. Takie mam przekonanie, może zbyt optymistyczne.

– **Wykreślanie w Polsce niemieckiej przeszłości na przykład Wrocławia czy Górnego Śląska to epoka komunizmu. Kiedy weszliśmy w czas wolności, bardzo szybko to zmieniliśmy. Dzisiaj w wielu miastach Śląska polscy historycy odwołują się przede wszystkim do dziedzictwa niemieckiego, mniej uwagi poświęcają żywiołowi polskiemu. Tymczasem Ukraińcy, wychodząc z komunizmu, niejako pozostawili jego „politykę historyczną”. Do tego dołożyli od siebie recydywę ideologii ukraińskiego nacjonalizmu. Czy polska strona powinna reagować – a je-**

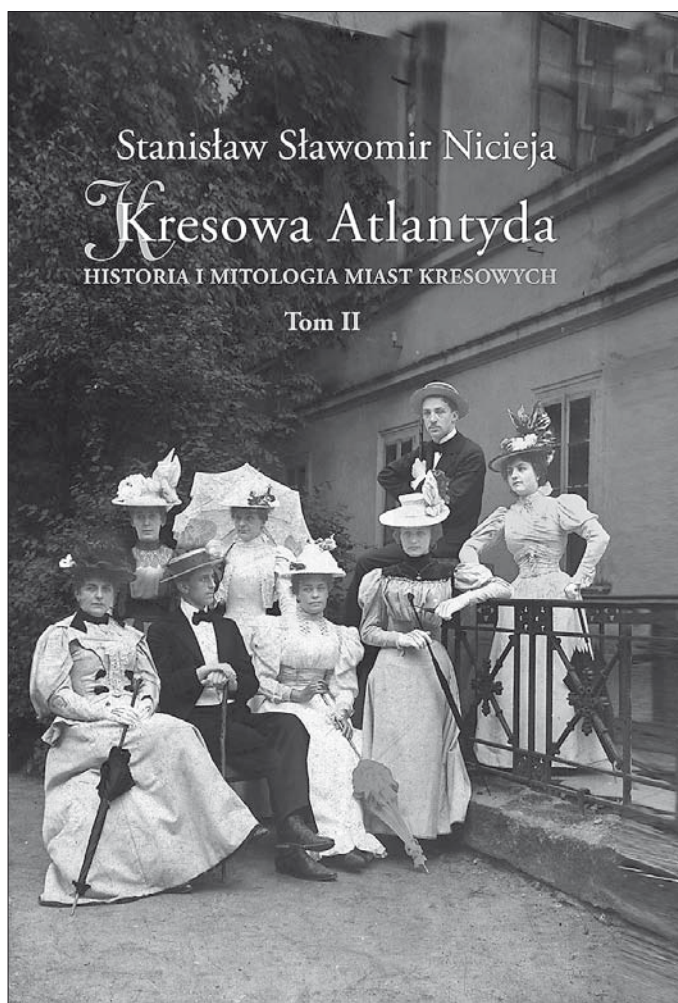
### šli tak, to w jaki sposób – na gloryfikację sprawców ludobójstwa dokonanego przez OUN/UPA na Kresach Wschodnich?

– Z pewnością dla nas, Polaków, jest niedopuszczalne, że ze zbrodniarzy robi się bohaterów i nazywa się ich imieniem ulice oraz place. Część Ukraińców postacie Bandery albo Szuchewycza tak mocno wzięła na swoje sztandary i wprowadziła do swojej świadomości społecznej przy zupełnej obojętności środowisk dyplomatycznych i historycznych, że wydaje się to dziś falą nie do odwrócenia. Kult OUN/UPA tak głęboko wszedł już w świadomość ludzi na Zachodniej Ukrainie, że praktycznie trudno już myśleć o jego wykorzenieniu. Bo jak to robić: nakazemy Ukraińcom, aby setki tych pomników zlikwidowali? To wielkie zaniedbanie i zadrza w stosunkach polsko-ukraińskich. Z Niemcami wszystko zostało „wyczyszczone”, zbrodnie nazistowskie zostały pokazane do końca, Niemcy nie uchylają się od odpowiedzialności za nie. Zbrodnie UPA nigdy nie zostały pokazane w taki sposób. Jeśli chodzi o to, co stało się na Wołyniu i Podolu w czasie tamtejszego holocaustu Polaków – historycy zawodowi w Polsce w bardzo skromny sposób zajęli się badaniem

tego zagadnienia. Powstało za to bardzo dużo opracowań, których autorami są amatorzy historii, którzy po prostu opisali to, co się w tamtym czasie zdarzyło na Kresach, jak umieli najlepiej. Powstało więc swego rodzaju pęknięcie – często do opisów i przekazów sporządzonych przez niezawodowych historyków odnosi się z rezerwą, podważa ich wiarygodność. Na tym polu jako Polacy przegraliśmy. Na polskich uniwersytetach, uczelniach pracują zastępy historyków, a bardzo mało mieliśmy takich, którzy ten temat chcieli podejmować w swoich pracach habilitacyjnych. W kręgach zawodowych historyków uważano i nadal się uważa, że jest to temat „zaminowany” politycznie. I toczą się kularowe dyskusje, jak go rozbroić. W tym zakresie wciąż panuje ogromna niemoc polskiej zawodowej historiografii. (...)

– (...) **Proszę powiedzieć: czy tak po ludzku nie jeży się panu czasami włos na głowie, kiedy obserwuje pan, co Ukraińcy wyprawiają z historią Lwowa?**

– Nieraz czuję dyskomfort, kiedy ukraiński autor nie powoła się, nie zacytuje czegoś, co wyszło w Polsce, co prezentuje bezsporne fakty, a nie ich interpretacje. Na szczęście jeżdżę na Ukrainę, rozmawiam i umiem pozyskać materiały, porozumieć się z tamtymi autorami. Takie przyczółki warto uchwycić i czekać, pamiętając, że Ukraina to młode państwo, wciąż zależnione, które boi się dominacji polskiej kultury i na każdym kroku chce zademonstrować, że rzeczywistość wygląda tak, jak oni to widzą. Taką sytuację obserwowałem chociażby przy okazji odsłonięcia pomnika profesorów lwowskich zamordowanych przez hitlerowców w 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich. Strona ukraińska się uparła, że nie będzie na nim napisane, iż byli to polscy profesorowie. Dorabiano do tego najdziwniejsze uzasadnienia: że profesor Roman Longchamps de Bérier, obrońca Lwowa z 1918 r. to Francuz, że jak ktoś z tego grona miał nazwisko niemieckie, jak choćby Stanisław Ruff czy Kasper Weigel – to był Niemcem, że jak się nazywał Adam Sołowij, jak słynny profesor ginekologii, to już był Ukraińcem. Dlatego myślę, że to dla nas zadanie: trzeba o tym mówić, pisać, opracować chociażby nowoczesną monografię Uniwersytetu Jana Kazimierza i wydać ją także po ukraińsku. Zamiast prostować, klócić się z Ukraińcami, pouczać, jak mają to robić, obrażać się na nich – warto przede wszystkim dokumentować i przedstawiać fakty. (...)



Okładka najnowszej książki Stanisława S. Nicieji *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych, t. II* (Wydawnictwo MS, 2913)



Włodzimierz Kaczorowski

## Lekarz zadzumionych

160. rocznica śmierci Carla Ignatiusa Lorinsera, honorowego obywatela Opola

W wiekach od XVI do XIX duży wpływ na życie intelektualne Opola wywierali lekarze, którzy poza działalnością zawodową pełnili w mieście różne funkcje społeczne. Dzięki intensywnej pracy i zaletom umysłu zyskali opinię wybitnych lekarzy i humanistów. Wśród wielu przedstawicieli opolskiego środowiska lekarskiego na szczególne wyróżnienie zasługują: Abraham Schwalbe, Elias Kuntschius, Johann Karl Stock oraz Carl Ignatius Lorinser.

Carl Ignatius Lorinser przez dwadzieścia sześć lat kierował służbą zdrowia rejencji opolskiej. Jego nazwisko znalazło się w austriackich, czeskich, francuskich i niemieckich encyklopediach, leksykonach i słownikach, a na jego prace powoływano się w wielu opracowaniach z zakresu medycyny, weterynarii

czy historii wychowania fizycznego. Lorinser położył wielkie zasługi w zwalczaniu epidemii cholery i duru brzuszego na Górnym Śląsku.

Był człowiekiem głęboko wierzącym i wrażliwym na problemy ogólnospołeczne. Poprzez swoje zdecydowane wystąpienia w obronie praw człowieka, niejednokrotnie narażał się władzom rządowym, czego konsekwencją było blokowanie jego działalności naukowej na Uniwersytecie Berlińskim. To Lorinserowi właśnie szkolnictwo niemieckie zawdzięcza wprowadzenie wychowania fizycznego, jako ważnego przedmiotu nauczania, do szkół. W opracowaniach polskich, poświęconych historii Górnego Śląska, Lorinsera wymienia się w sposób incydentalny, nie podnosząc w ogóle jego zasług dla rozwoju służby zdrowia na tym



Carl Ignatius Lorinser oraz faksymile jego podpisu. Reprodukacja z: C. I. Lorinser, *Eine Selbstbiographie*. Vollen-det u. hrsg. von F. Lorinser, Bd. 1, Regensburg 1864, s. 1

terenie. Stąd też współcześni mieszkańcy Górnego Śląska niewiele wiedzą o lekarzu, który z poświęceniem opiekował się tutejszą ludnością, chroniąc ją przed epidemią cholery i duru brzusznego.

Carl Ignatius Lorinser urodził się 24 lipca 1796 r. w Mimoniu (Czechy), w rodzinie Ignatiusa, rządowego chirurga i Magdaleny, z domu Schorss. Do szkoły podstawowej uczęszczał w Mimoniu, następnie w Rzepinie koło Mielnika, a w latach 1806–1808 do szkoły w Nowych Zakupach. Pod okiem proboszcza Johanna Lehmana w Hengersdorf (k. Straż pod Ralskiem) zgłębiał podstawy łaciny, przygotowując się do gimnazjum. W roku 1810 rozpoczął naukę w gimnazjum w Pradze i po trzech latach immatrykulował się na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Praskiego. Po rezygnacji ze studiów filozoficznych rozpoczął studia medyczne na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Berlińskiego, gdzie 30 lipca 1817 r. uzyskał stopień doktora medycyny na podstawie rozprawy *De functione hepatis sana et laesa*. Bezskutecznie zabiegał o przyjęcie do austriackiej służby lekarskiej. Początkowo związał się z młodymi lekarzami w Wiedniu i wraz z nimi hospitował kliniki prof. Beera i Hildenbranda (u tego ostatniego poznał metody leczenia duru brzusznego), a potem przeniósł się do Berlina, gdzie 2 lipca 1818 rozpoczął pracę jako repetytor w Królewskiej Szkole Weterynaryjnej. Małżeństwo sprawiło jednak, że nie odbył przewidzianej podróży naukowej do przodujących

szkół weterynaryjnych w Europie – radca stanu dr Langermann nie akceptował żonatych młodszych nauczycieli, stąd Lorinser 16 września 1819 r. złożył rezygnację. W roku 1820 opublikował w Berlinie *Entwurf einer Encyclopädie und Methodologie der Tierheilkunde*, a następnie został asystentem prof. Wolfarta w jego lecznicy magnetycznej (z rocznym honorarium wynoszącym 100 talarów).

2 lipca 1822 r., z rekomendacji Langermanna, powołano Lorinsera na drugiego radcę Kolegium Medycznego w Szczecinie. Kontynuował tam między innymi pisanie kolejnej pracy o chorobach płuc (*Die Lehre von den Lungenkrankheiten nach ihrem gegenwärtigen Standpunkte und mit vorzüglicher Rücksicht auf pathologische Anatomie*, Berlin 1823), w której uwzględnił najnowsze osiągnięcia patologii i anatomii oraz nowo wprowadzone fizykalne badania układu oddechowego. Publikacja ta wywarła duży wpływ na jego karierę: redakcje wielu czasopism i towarzystwa naukowe starały się pozyskać go na współpracownika, praktykujący lekarze darzyli go coraz większym szacunkiem, a ministerstwo powołało go w skład komisji egzaminów państwowych.

W marcu 1824 r. Lorinser przeniósł się wraz z rodziną do Koszalina. Został radcą sanitarnym i zawiady-

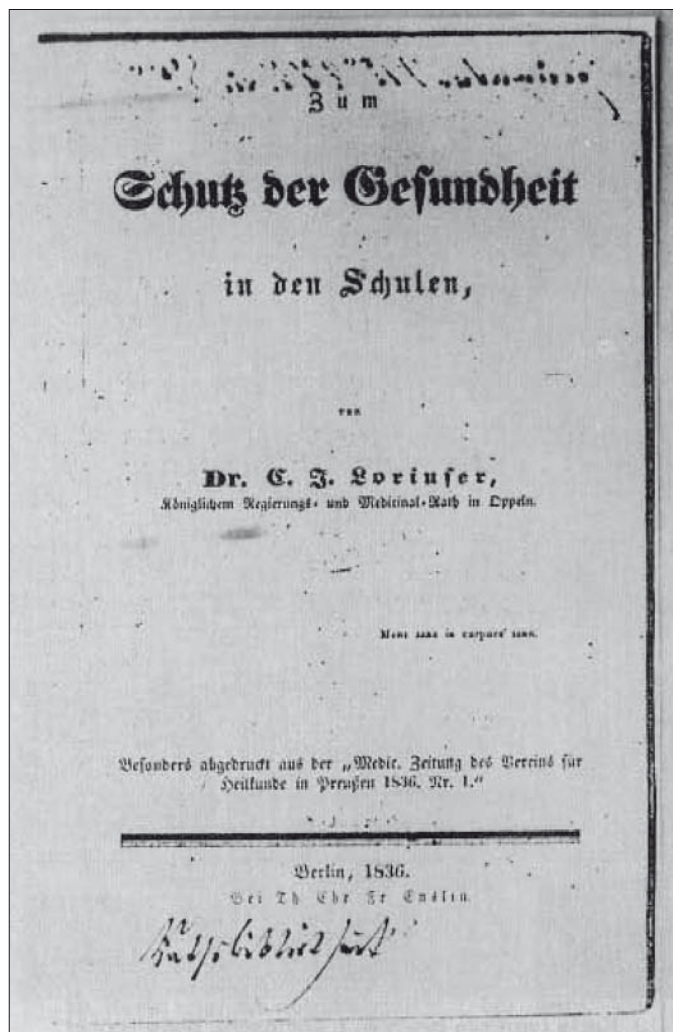


Karta tytułowa pracy C. I. Lorinsera poświęconej księgosuszwii (zarazie bydłowej)

wał służbą zdrowia rejencji koszalińskiej. Nadal pracował naukowo, wydał kolejną pracę (*Versuche und Beobachtungen über die Wirkung der Mutterkorns auf den menschlichen und thierischen Körper*, Berlin 1824), zawierającą wartościowe zestawienie urzędowych sprawozdań o przypadkach zatrucia sporyszem na Górnym Śląsku w latach 1817–1821 (złożonych w aktach pruskich władz sanitarnych), jak również rezultaty eksperymentów ze sporyszem, przeprowadzonych w Królewskiej Szkole Weterynaryjnej w Berlinie. Publikacja ta została napisana dla potrzeb policji sanitarnej.

14 listopada 1825 r., na polecenie ministerstwa, Lorinser przeniósł się do Opolą, w którym przebywał do 1851 r., pełniąc funkcje radcy rejencyjnego i sanitarnego. Tu mógł się wkrótce przekonać, że dzięki dawnym doświadczeniom weterynaryjnym jest doskonale przygotowany do badań naukowych w zakresie patologii porównawczej. W roku 1827 po raz pierwszy nadzorował zwalczanie zakaźnej choroby wirusowej bydła rogatego, zwanej księgosuszem – po roku na Górnym Śląsku ta choroba już nie występowała. W styczniu 1831 r. ukazała się praca Lorinsera (*Untersuchungen über die Rinderpest*, Berlin 1831) zawierająca konkretne propozycje walki z ogniskami księgosuszu, która powstała m.in. w oparciu o obserwacje epizootii, występującej w latach 1827–1828 na Górnym Śląsku. Dzieło to określano nawet jako klasyczne, bazowali na nim wszyscy, którzy później naukowo zajmowali się księgosuszem.

W czasie wojny rosyjsko-tureckiej, jesienią 1829 r., w krajach wzdłuż Dolnego Dunaju niepokojąco szybko zaczęła rozprzestrzeniać się dżuma. Kiedy dotarła do Galicji, Lorinser otrzymał od ministerstwa polecenie zbadania sytuacji na terenach objętych epidemią. Mimo niezwykle trudnych warunków misja zakończyła się pomyślnie, a jej wynikiem był raport dotyczący ognisk epidemii dżumy, opis wizytowanych placówek kwarantanny, a także – dzięki zdobytym doświadczeniom z zakresu epidemiologii – kolejną publikacją, tym razem poświęconą dżumie (*Die Pest des Orients*, Berlin 1837). Spośród jego licznych prac duże zainteresowanie wzbudził artykuł opublikowany w gazecie rządowej na początku października 1831 r., w którym Lorinser udowadniał bezcelowość stosowania kordonów sanitarnych w walce z cholera. Autor, cieszący się uznaniem w środowisku lekarskim, powyższym artykułem naraził się sferom rządowym, gdyż podważył ich metody działania. Ostatecznie jednak nadprezydent prowincji śląskiej złagodził uciążliwe przepisy, znosząc kwarantannę i utrzymując jedynie wymóg posiadania dokumentu (przy wjeździe na Śląsk) zaświadczonego przybycie z miejscowości nie objętej epidemią. Rok 1833 przyniósł Lorinserowi Order Czerwonego Orła IV stopnia wraz z nadzwyczajną gratyfikacją za pracę nad księgosuszem. Podczas kolejnego pobytu w Berlinie zlecono mu opracowanie projektu ustawy o okresie kwarantanny. W roku 1835 został dyrektorem



Karta tytułowa rozprawy C. I. Lorinsera poświęconej szkolnictwu w Prusach

Instytutu dla Położnych w Opolu.

Duże poruszenie w państwie pruskim wywołała rozprawa Lorinsera o charakterze medyczno-pedagogicznym: *Zum Schutz der Gesundheit in der Schulen*, opublikowana 8 stycznia 1836 r. w „Medizinischen Zeitung” (nr 1), a poświęcona szkolnictwu. O tym, jak potężnym impulsem do zajęcia się problemem ćwiczeń fizycznych okazała się ta rozprawa, świadczy wielka liczba późniejszych publikacji lekarzy i nauczycieli (wg leksykonu Brockhousa – 70) poświęconych temu zagadnieniu. Jedno z wydań tej pracy zostało, za pośrednictwem prezydenta rejencji opolskiej Theodora Gottlieba von Hippla, przedłożone królowi pruskiemu Fryderykowi Wilhelmowi III. Lorinser utrzymywał przyjacielskie kontakty z prezydentem rejencji opolskiej. Jako przyjaciel biednych i chorych był w całym mieście znany i lubiany. Hippel scharakteryzował go w następujący sposób: *Godny szacunku urzędnik i lekarz, obowiązkowy, wielce doświadczony przez los człowiek o gruntownej wiedzy, stojący mocno przy swoich przekonaniach, przyjaciel, którego przyjaźń wysoko sobie cenię.*

Zaangażowanie Lorinsera w propagowanie wychowania fizycznego w Prusach spowodowało, że naj-



pierw otwarto sale gimnastyczne dla szkół, a później idea ćwiczeń gimnastycznych rozpowszechniła się w zrzeszeniach i klubach. Nauki Lorinsera dotyczące wychowania fizycznego wprowadzono w Opolu w 1846 r. 9 lutego 1846 r. Zarząd Miasta Opola przekazał bezpłatnie obszar wielkości 3,5 morgi, położony na wschód od cmentarza zmarłych na cholere, na plac do gimnastyki. 9 marca 1846 r. plac ten został przydzielony gimnazjum, a 20 maja w prowadzonych na nim ćwiczeniach uczestniczyło 276 uczniów gimnazjalnych. (Rząd niebawem wyraził zgodę na budowę hali gimnastycznej w Opolu. Budowę rozpoczęto w październiku 1846 r., ukończono w kwietniu 1847 r., a 1 maja 1847 r. sala została przekazana do użytku. Z tej przestronnej budowli korzystano do 1875 r.). Nauczyciel gimnastyki w gimnazjum Hugo Heinrich Hielscher prowadził prywatne kursy gimnastyczne na powietrzu dla chłopców i dziewcząt, jak również dla mężczyzn i kobiet. Opłata wynosiła 2 talary dla dorosłych, dla młodzieży – 1 talar. Powtorkowe kursy kosztowały o połowę mniej. Od 1847 r. prowadzono podobne ćwiczenia w nowo wybudowanej sali gimnastycznej. W tym czasie w opolskich sklepach można było nabyć specjalne stroje gimnastyczne.

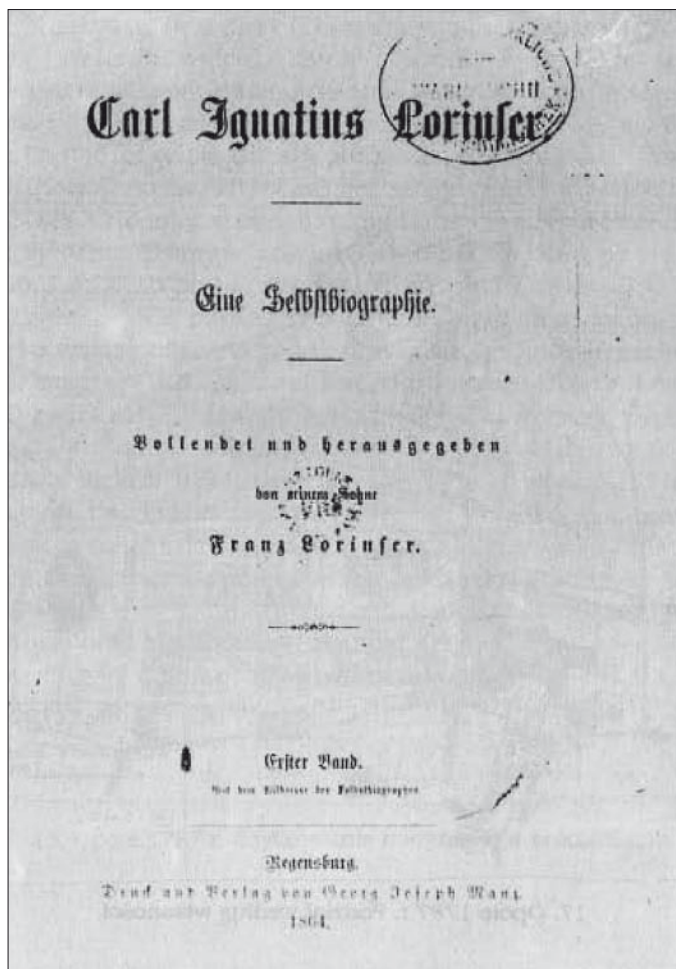
W 100. rocznicę urodzin Carla I. Lorinsera Wilhelm Beck, nauczyciel gimnazjalny wychowania fizyczne-

go w Opolu, przypomniał postać radcy rejencyjnego i jego zasługi dla Górnego Śląska w liczącej 44 strony książeczce (W. Beck, *Dr C. I. Lorinser. Regierungs- und Geheimer Medizinalrat. Sein Leben und seine Verdienste um das Turnen*, Oppeln 1896), zainicjował też budowę sali gimnastycznej im. C. I. Lorinsera w Opolu. W październiku 1896 r. członkowie Męskiego Stowarzyszenia Gimnastycznego w Opolu, dla zaakcentowania wdzięczności i pamięci o zmarłym Lorinserze, odnowili jego pomnik na miejscowym cmentarzu komunalnym. Sala gimnastyczna jego imienia została wybudowana w ciągu roku i przekazana do użytku w 1902 r. Nad głównym wejściem wmurowano popiersie z brązu z napisem: *Umieszczono ku pamięci tajnego radcy Dr C. I. Lorinsera*. Portret Carla I. Lorinsera (grafika z 1839 r., prawdopodobnie według rysunku opolskiego malarza Carla Hermanna, przyjaciela Lorinsera) trafił do zbiorów Muzeum w Opolu.

Ale na razie jest rok 1840. Po śmierci żony Augusty z domu Fritz, Carl Ignatius Lorinser wyrusza z Opola, w towarzystwie dziewiętnastoletniego syna Franza<sup>1</sup>, do Wiednia i Monachium. Podczas tej podróży Lorinser zawarł znajomości z wieloma wybitnymi ludźmi nauki i sztuki. Odwiedził m.in. profesora prawa kanonicznego na uniwersytecie w Monachium, Josefa Phillipsa (1804–1872), z którym nawiązał znajomość w czasie wcześniejszego pobytu w Berlinie. Podczas obiadu wydanego przez Phillipsa Lorinser poznał dr. Johanna Nepomuka Ringeisa (1785–1880), sławnego medyka tamtejszego uniwersytetu, oraz jednego z najbliższych jego przyjaciół – Clemensa Brentano (1778–1842), poetę, powieściopisarza i nowelistę romantycznego. Franz Lorinser w swojej autobiografii *Aus meinen Leben* (Regensburg 1891) opisał spotkanie z Clemensem Brentano jako nieprzyjemne, gdyż informację o przyjeździe gościa z Opola skwitował on pogardliwie: *Oppeln-Stoppeln*. Pomimo tego incydentu, wkrótce znajomość obu mężczyzn przerodziła się w przyjaźń.

Dzięki Phillipsowi Lorinser poznał również Johanna Josefa Görresa (1776–1848), niemieckiego filozofa, historyka i publicystę politycznego, w latach 1827–1847 profesora historii na uniwersytecie w Monachium. Nawiązał także kontakt z kanonikiem dr. Friedrichem Windischmannem (1811–1861), orientalistą, odwiedził też wpływowych wówczas artystów katolickich w

<sup>1</sup> Franz Lorinser rozpoczął w 1841 r. studia teologiczne w Monachium. Od 1856 r. pełnił obowiązki proboszcza parafii św. Macieja we Wrocławiu, a następnie został radcą tajnej kancelarii metropolitarnej. Od 1869 r. był członkiem Kapituły Katedralnej. W latach 1852–1864 wydawał „Schlesische Kirchenblatt”. Z jego prac teologicznych należy wymienić: *Entwicklung und Fortschritt in der Kirchenlehre*, Breslau 1847; *Geist und Beruf des katholischen Priestertums*, Regensburg 1858. Franz Lorinser był znawcą języka i literatury hiszpańskiej. Przetłumaczył 73 religijne przedstawienia świąteczne Pedro Calderona (*Gestliche Festspiele*, Regensburg 1856–1872), największe dramaty Calderona o treściach religijnych (*Calderons grösste Dramen religiösen Inhaltes*, Regensburg 1875–1876). Ponadto przełożył na język niemiecki 2 utwory sceniczne Lope de Vegi. Był autorem szkiców z podróży po Hiszpanii (*Reiseskizzen aus Spanien*, Regensburg 1855).



Karta tytułowa autobiografii C. I. Lorinsera

Monachium: Josefa Stigelmayera (1791–1844), ludwisarza, i Ludwiga Schwanthalera (1802–1848), rzeźbiarza, czołowego reprezentanta klasycyzmu w południowych Niemczech, autora licznych grobowców, pomników, rzeźb ogrodowych i architektonicznych. W tym czasie Schwanthaler pracował nad rzeźbą grupy (w marmurze) z przeznaczeniem na ścianę szczytową klasycystycznej Walhalli w Ratyźbonie – świątyni chwały narodowej. Spośród wielu osobistości, które Carl Ignatius Lorinser poznał w czasie peregrynacji po Europie, najserdeczniej zaprzyjaźnił się z prof. Johannem Josefem Görresem. Görres w znacznym stopniu przyczynił się do powstania w 1838 r. czasopisma „Historisch-politische Blätter für das katholische Deutschland”, redagowanego przez jego syna Guido Görresa. W swojej autobiografii Franz Lorinser napisał: *wykłady prof. Johanna Josefa Görresa były wyjątkowe, pod każdym względem przerasła on poziom pozostałych profesorów – był jak Himalaje ponad wszystkimi*. Johann Josef Görres nie zdążył wydać drukiem zbioru swych świetnych wykładów zatytułowanych *Philosophie der Geschichte*. Dopiero później Franz Lorinser opublikował kilka jego wykładów na łamach wydawa-

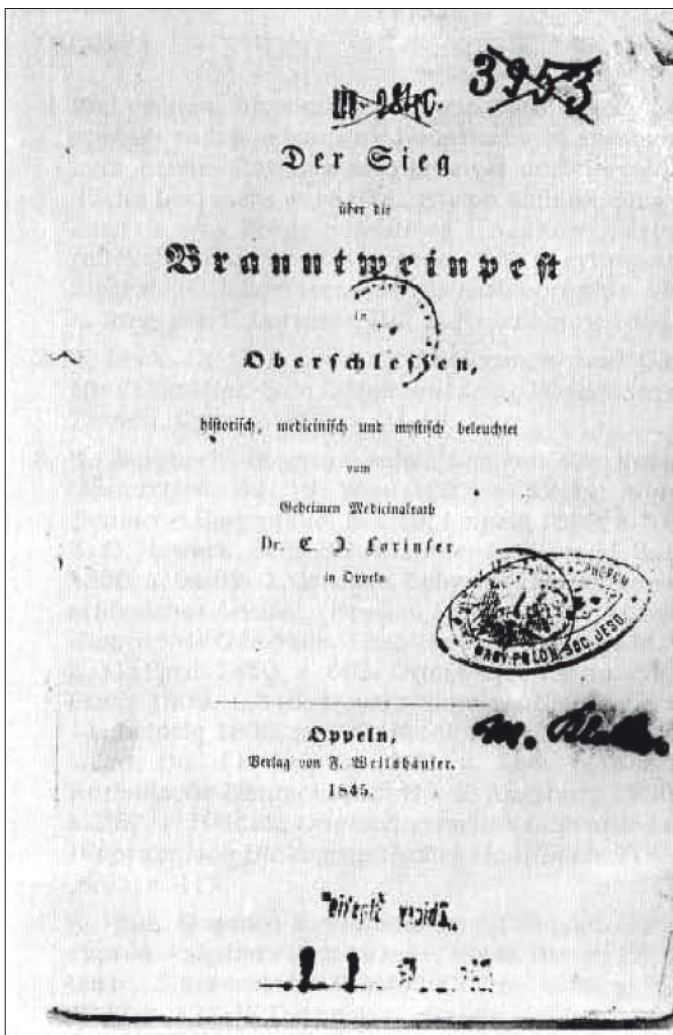
nego przez siebie czasopisma „Schlesische Kirchenblatt”. Do opublikowanej przez Görresa w 1845 r. pracy *Wallfahrt nach Trier* odniósł się jednak krytycznie.

W roku 1842, w drodze do Włoch, Carl Ignatius Lorinser odwiedził ponownie Görresa (to spotkanie opisał w swojej autobiografii: *Eine Selbstbiographie*. Volendet u. hrsg. von F. Lorinser, Bd. 1-2, Regensburg 1864). Otrzymał wówczas od niego pracę poświęconą budowie katedry w Kolonii *Dr Dom von Köln und das Münster von Strassburg 1842*. W drodze powrotnej Lorinser kolejny raz spotkał się ze swoim przyjacielem, złożonym już wtedy chorobą. W liście do syna Franza (z 21 lutego 1843 r.) pisał, że z Görresem jest niedobrze, ale obaj pozostają z bliskim kontakcie. Johann Josef Görres zmarł 28 stycznia 1848 r. Z jego synem, Guido Görresem, Lorinser spotykał się bardzo często w Karlsbadzie. Guido Görres zmarł w 1852 r.

Ważnym wydarzeniem w dziejach Górnego Śląska była zakrojona na masową skalę walka z alkoholizmem, prowadzona w 1844 r. pod patronatem ks. Alojzego Ficka. Lorinser poświęcił temu problemowi swoją kolejną pracę: *Der Sieg über die Branntweinpest in Oberschlesien historisch, medizinisch und mystisch beleuchtet*, Oppeln 1845. Znalazły się w niej akcenty religijne, na tle których wyeksponował wartości społeczeństwa górnośląskiego: odwagę, pracowitość, przywiązanie do własnej ziemi. Tą publikacją Lorinser naraził się rządowi pruskiemu oraz nowemu prezydentowi rejencji opolskiej hrabiemu Erdmannowi Pücklerowi, należącemu do skrajnych reakcjonistów berlińskich.

W latach 1846–1848, kiedy w wyniku pauperyzacji społeczeństwa, klęsk nieurodzajów, a w efekcie – głodu, ponownie wybuchła na Górnym Śląsku epidemia duru brzuszego, Lorinser miał w swym dorobku naukowym już wiele publikacji dotyczących leczenia chorób zakaźnych. Pruska służba ochrony zdrowia dostrzegła związek między pogłębiającą się nędzą i fatalnymi warunkami sanitarnymi a pogarszającym się stanem zdrowia Górnoszlązaków. Nie dysponowała jednak wystarczającymi środkami do zapobieżenia szerzącej się epidemii. Dodatkowym utrudnieniem był niski poziom wiedzy medycznej. W tak trudnych warunkach wysiłki Lorinsera zmierzające do poprawy sytuacji epidemiologicznej nie przyniosły zadowalających efektów. W wyniku przedsięwziętych przez niego działań pruska służba ochrony zdrowia skierowała do najbardziej zagrożonych epidemią obszarów lekarzy z terenu Niemiec. Żeby zapobiec rozpowszechnianiu się choroby, organizowano miejsca izolacji pacjentów, budowano szpitale. 29 lutego 1848 r., w Mikołowie, odbyła się zwołana przez Lorinsera konferencja lekarzy działających na obszarze objętym epidemią duru brzuszego. W konferencji tej brał udział również Rudolf Virchow, niemiecki anatom, patolog i antropolog, jeden z twórców współczesnej patologii, zwłaszcza histopatologii.

Wydarzenia na Górnym Śląsku w latach 1646–1848,



Karta tytułowa pracy C. I. Lorinsera poświęconej pladze alkoholizmu na Górnym Śląsku

## Tajny Radca Królewskiego Rządu

## Pan Doktor CARL IGNATIUS LORINSEK

Podczas swego 25-letniego pobytu w tutejszej miejscowości zaskarbił sobie swoją życzliwością, ludzkim podejściem, czynieniem dobra, jak i innymi swoimi zaletami, powszechną miłość i poważanie. Przez pomoc i bezinteresowne leczenie ubogich, znaczne nakłady na Szpital i Kasę Biednych, a szczególnie przez utworzenie Sierocińca, położył tak wiele zasług dla miasta, że niżej podpisane Urzędy z radością podjęły nadarżającą się okazję, by zgodnie z miejskimi przepisami, mocą posiadanego prawa, Panu Tajnemu Radcy

Doktorowi LORINSEKOWI nadać Honorowe Obywatelstwo miasta Opolą i ogłosić, że zasłużył sobie na płynące z tego tytułu honory.

Dla udokumentowania tego faktu został wykonany niniejszy Dyplom opatrzony pieczęcią miasta i podpisami.

Opole, dnia 24 listopada 1850.

Magistrat		Radni miasta			
Goretzki	Galle	Witzenhusen	Stottko	Kosserowski	Scheika
Riedel	Schmidt	Richter	Krause	Kopetzki	Zupitza
Baidel	Koch	Hoefer	Brzoza	Hankę	Hulwa
Baron	Raabe	Trump	Weigert	Schüler	Faschinka
		Juliusberg	Muhr	Ratuschni	Nawatzki
		Maliq, senior	Wanderstrass	Tritscher	

Dyplom Honorowy  
dla

Tajnego Radcy Sanitarnego Królewskiego Rządu  
Pana Doktora Lorinsera

Dyplom Honorowego Obywatela miasta Opolą przyznany C. I. Lorinserowi w tłumaczeniu na język polski

intensywna praca administracyjna, jak również działalność naukowa, odbiły się niekorzystnie na stanie zdrowia Lorinsera. Po wygaszeniu epidemii duru brzuszego, w 1848 r., zamierzał przejść na emeryturę. W 1849 r., w czasie epidemii cholery na Górnym Śląsku, Lorinser w towarzystwie syna udał się do Karłowich Varów, na kurację, która przyniosła mu częściową ulgę. Jednak choroba postępowała nadal, powodując pogorszenie jego sprawności ruchowej.

24 listopada 1850 r. magistrat miasta Opolą przyznał Carlowi Ignacjuszowi Lorinserowi tytuł Honorowego Obywatela miasta Opolą – w 25. rocznicę rozpoczęcia przez niego pracy lekarskiej w Opolu. Dyplom ten znajduje się w zbiorach archiwalnych Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu (wykonany z papieru powlekanego o wymiarach 42x53,5 cm; litografię wykonał

Erdmann Raabe, opolski drukarz, rzemieślnik, przedsiębiorca i kupiec).

W marcu 1851 r. Lorinser przeszedł na emeryturę. Prezydent rejencji opolskiej, składając mu podziękowanie za wieloletnią ofiarną pracę, odznaczył go Orderem Czerwonego Orła II stopnia. Niska emerytura i wysokie koszty utrzymania w Opolu skłoniły Lorinsera do przeniesienia się do Paczkowa. Tam też spędził ostatnie lata życia, walcząc z objawami postępującego zniechęcenia i zaburzeń neurologicznych. Zmarł 2 października 1853 r. w Paczkowie. Pochowany został 6 października w Opolu, na cmentarzu komunalnym przy ulicy Wrocławskiej obok żony Augusty.

W 2013 r. minie 160. rocznica śmierci Carla Ignacjusza Lorinsera, co dodatkowo skłania do przypomnienia jego zasług dla Opolą. Podjęte przeze mnie, przed dwudziestu laty, badania naukowe wypełniają w pewnym stopniu

istniejącą lukę w historiografii śląskiej, przedstawiając życie i działalność zawodową Lorinsera w ścisłym związku z wydarzeniami historycznymi na Górnym Śląsku<sup>2</sup>.

Włodzimierz Kaczorowski

<sup>2</sup> Zob. W. Kaczorowski, *Karol Ignacy Lorinser (1796-1853), lekarz, radca rejencyjny i sanitarny*, Katowice 1994; *idem*, *Lorinser Karol Ignacy (1796-1853)*, w: *Słownik medycyny i farmacji Górnego Śląska*, red. A. Puzio, t. 2, Katowice 1995, s. 149-151; *idem*, *Europejski wymiar działalności Karola Lorinsera - dziewiętnastowiecznego radcy sanitarnego z Opolą*, w: *Sąsiedztwo i granica. Medycyna, historia i kultura w dialogu polsko-niemieckim*, red. B. Płonka-Syroka, F. Dross, Biblioteka Polsko-Niemieckiej Historii Medycyny, t. 2, Wrocław 2010, s. 209-219.

Piotr Obrączka

## Docent Stefan Smak – w stulecie urodzin

Stefan Smak, długoletni pracownik opolskiej polonistyki, był synem Kielecczyzny, ściślej: ziemi buskiej, na której spędził dzieciństwo i młodość. Urodził się 12 maja 1913 roku w małej wiosce Łatanice, położonej w pół drogi z Wiślicy do Buska. W bliskim sąsiedztwie Łatanic leży wioska Niegosławice, w której przyszedł na świat (w 1839 r.) Adolf Dygasiński. Nie jest zapewne przypadkiem, że twórczość piewcy Poniidzia znalazła się później w kręgu badawczym Smaka, co zaowocowało szkicami o sztukach ludowych Dygasińskiego oraz o publicystycznych i literackich planach podróży pisarza po ośrodkach polskiej emigracji chłopskiej w Brazylii.

Źródła zainteresowania brazylijskim epizodem Dygasińskiego można się też doszukać w biografii Sma-

ka. Ojciec jego, Władysław, zatrudniony początkowo jako robotnik folwarczny – przymuszony biedą i bezrobociem – na krótko przed urodzeniem syna wyjechał za chlebem do Ameryki, by nigdy już do kraju nie wrócić. Sprawa ta nurtowała Stefana Smaka zapewne przez całe życie, bo oto w ostatnich latach działalności dydaktyczno-naukowej zamyśla o obszerniejszej rozprawie, poświęconej emigracji chłopskiej w literaturze polskiej lat 1870–1914. Pracy tej, niestety, nigdy nie napisał, pozostały jedynie fragmenty.

Pozbawiony ojca (jak często mawiał: *z konieczności byłem jedynakiem*), był wychowywany przez matkę, Katarzynę z Wąsików, zarabiającą na życie szyciem, a także przez dziadka, u którego wraz z matką mieszkał. Do szkoły chodził w rodzinnej wiosce oraz w pobliskim Busku; w latach 1929–1934 kształcił się w Seminarium Nauczycielskim w Jędrzejowie, gdzie za sprawą jednego z nauczycieli zbliżył się do idei socjalizmu.

Po ukończeniu seminarium odbywał roczną służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy w Jarosławiu. Kolejny rok – nie mogąc znaleźć pracy w wyuczonym zawodzie, co nie stanowiło wówczas szczególnego wyjątku – spędził na gospodarce dziadka, pomagając mu w pracy na roli i w ciesielce.

W roku szkolnym 1936/37 odbywał – zgodnie z zwyczajem – bezpłatną praktykę nauczycielską, po której pracował jako nauczyciel szkół powszechnych w różnych miejscowościach powiatów pińczowskiego i buskiego; w latach 1941–1944 pełnił obowiązki kierownika szkoły w Miernowie.

Z chwilą wybuchu wojny wziął udział w kampanii wrześniowej, walcząc – jako dowódca drużyny w stopniu kaprała – na froncie południowo-wschodnim. Po ucieczce z niewoli niemieckiej wrócił do pracy nauczycielskiej. W okresie okupacji zaangażował się w działalność konspiracyjną. W październiku 1941 wstąpił do Armii Krajowej, w 1943 został mianowany dowódcą plutonu. Jednocześnie zaangażował się w tajne nauczanie, co stało się bezpośrednią przyczyną aresztowania i osadzenia w obozie koncentracyjnym. Przebywał w więzieniu w Busku, a później w obozach koncentracyjnych w Gross-Rosen (obecnie Rogoźnica) i w Oranienburgu, skąd wraz z innymi więźniami (był wśród nich m.in. jego rówieśnik, znany pisarz krakowski – Kornel Filipowicz) szedł w pochodzie ewakuacyjnym aż do Schwerina. Po oswobodzeniu przez wojska ame-



Doc. Stefan Smak

rykańskie wrócił na krótko do pracy nauczycielskiej w Miernowie, następnie pełnił obowiązki kierownika zasadniczej szkoły zawodowej w Porębie w pobliżu Zawiercia. W sierpniu 1947 wstąpił do PPR-u.

W latach 1948–1950 studiował w Instytucie Pedagogicznym ZNP we Wrocławiu, po czym objął posadę nauczyciela Liceum Ogólnokształcącego w Zawierciu, z którym to miastem związał się już po kres życia. Pracując, kontynuował studia w zakresie filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim, ukończone w roku 1952.

W roku 1955 drugim – obok Zawiercia – miastem jego życia stało się Opole, do którego przyszło mu dojeżdżać ponad ćwierć wieku. W listopadzie wymienionego roku został zatrudniony w przeniesionej rok wcześniej z Wrocławia opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Pracował w kierowanej przez prof. Stanisława Kolbuszewskiego Katedrze Historii Literatury Polskiej wpraw jako starszy asystent, od 1957 roku jako adiunkt.

Początkowe zainteresowania badawcze Smaka koncentrowały się wokół piśmiennictwa śląskiego; publikował szkice na temat śląskich teatrów amatorskich w latach 1900–1917 (wspólnie z Tadeuszem Stożkiem), twórczości Aleksandra Skowrońskiego, Franciszka Euzebiusza Statecznego, a przede wszystkim Karola Miarki. W marcu 1963 uzyskał w opolskiej WSP stopień doktora nauk humanistycznych za rozprawę pt. *Twórczość literacka Karola Miarki*, napisaną pod kierunkiem prof. Stanisława Kolbuszewskiego. Trzy lata później rozprawa ukazała się (pod zmienionym tytułem *Pisarstwo Karola Miarki*) w formie książkowej. Do twórczości Karola Miarki powracał jeszcze parokrotnie, opracowując (z Jerzym Pośpiechem) jego listy, pisał również o redagowanym przez Miarkę tygodniku „Monika”, sporządził także obszerny jego biogram do „Śląskiego słownika biograficznego”.

Kolejnym obiektem zainteresowań naukowych Smaka stała się twórczość Ignacego Sewera-Maciejowskiego. Związane z tym tematem szkice ogłaszał od 1966 roku, w 1971 ukazała się w Opolu monografia *Sewer Maciejowski. Życie i twórczość*, wysoko oceniona m. in. przez Henryka Markiewicza.

Obok twórczości Sewera nurtowały Smaka inne jeszcze problemy literatury polskiego Pozytywizmu: wspomniane już zagadnienie emigracji chłopskiej do Brazylii w twórczości Dygasińskiego i Gruszeckiego, a także dramaturgia Dygasińskiego i Asnyka. Interesował go również problem rewolucji 1905–1907 w twórczości polskich pozytywistów.

Dorobek naukowy docenta Smaka nie jest ilościowo zbyt bogaty, na co złożyło się wiele przyczyn, przede wszystkim późny start naukowy: debiut w 44., doktorat w 50. roku życia. Trzeba jednak bezstronnie przy-

znać, że jego monografie o Karolu Miarce i Ignacym Maciejowskim należą bez wątpienia do trwałego dorobku polskiej nauki o literaturze. W przekonaniu tym mogą nas utwierdzić sądy niekwestionowanego autorytetu naukowego – Henryka Markiewicza.

W latach 1973–1977 pracował na stanowisku docenta kontraktowego Instytutu Filologii Polskiej. W ciągu dwudziestu dwu lat etatowej pracy w WSP w Opolu prowadził ćwiczenia i wykłady, przede wszystkim z literatury okresu Pozytywizmu, czasem również okresu Młodej Polski. W kręgu literatury pozytywistycznej pozostawała też tematyka kierowanego przez niego seminarium magisterskiego, z którego wyszło około 80 magistrów.

Był przede wszystkim nauczycielem, niezawodnym przyjacielem, opiekunem i wychowawcą wielu pokoleń nauczycieli – absolwentów opolskiej polonistyki. W pracy tej realizowało się najpełniej jego życiowe powołanie, któremu pozostał zawsze wierny. Wśród swoich studentów – a także wśród kolegów i współpracowników – cieszył się autentycznym, rzadko spotykanym autorytetem, co znalazło wyraz m.in. w licznych nagrodach i odznaczeniach, w tym Krzyżu Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i w Medalu Komisji Edukacji Narodowej.

W marcu 1975 roku środowisko akademickie WSP obchodziło uroczyste jubileusz 40-lecia pracy dydaktycznej doc. Stefana Smaka. Dnia 1 października 1977 przeszedł – po 22 latach pracy w opolskiej WSP – na emeryturę, nie zerwał jednak kontaktów z uczelnią, prowadząc przez następne cztery lata – w ramach zajęć zleconych – seminarium magisterskie.

W ostatnich latach życia, osamotniony po śmierci żony, nie opuszczał już Zawiercia, gdzie też zmarł w dniu 26 listopada 1985 roku.

Ze wspomnień osób, które знаły docenta Smaka jako nauczyciela akademickiego, współpracownika czy przyjaciela, wyłania się obraz niezwykle ciekawej, bogatej, wręcz urzekającej osobowości.

Najbardziej chyba rzucała się w oczy jego ogromna skromność, przejawiająca się w ubiorze, sposobie mówienia, a przede wszystkim w unikaniu poklasku i rozgłosu. Był człowiekiem niemal stale uśmiechniętym. Uśmiech ów był wyrazem jego franciszkańskiej dobroci wobec ludzi, zwierząt i przyrody, wyrazem życzliwości, wiary w człowieka, otwartości na drugiego, gotowości służenia każdemu pomocą i radą.

Był – co wielokrotnie podkreślano – człowiekiem niezwykle szlachetnym i prawym, pracowitym, lojalnym wobec drugich, wiernym swym ideałom, dlatego też pozostanie w pamięci – jak pisał przed laty Władysław Hendzel – *jako wspaniały człowiek, żarliwy pedagog i wielki humanista*.

Odeszli

# Dr hab. Maria Śmiełowska, prof. UO (1943–2013)

Maria Śmiełowska (z domu Krause), urodziła się 15 sierpnia 1943 roku w Lubichowie na Pomorzu Gdańskim. Wychowała się w środowisku nauczycielskim, z którego pochodzili zarówno ojciec Jerzy Krause, jak i matka Wanda, z domu Zielińska. Obaj dziadkowie współtworzyli w latach międzywojennych szkolnictwo na polskim Pomorzu, a także Związek Nauczycielstwa Polskiego. Jej ojciec po powrocie do Polski w 1948 roku był nauczycielem łaciny i muzyki w szkołach Tczewa i Gniewa oraz chórmistrzem w Akademii Muzycznej w Sopocie, mama prowadziła dom.

W pewnym ważnym momencie swojego życia, w 1963 roku, w ostatniej klasie szkoły średniej, Maria Śmiełowska przyjechała do Opola, przejmując częściowo opiekę nad edukacją brata i najmłodszej siostry, i już na stałe związała swe losy osobiste i zawodowe z Opolszczyzną. W Opolu ukończyła szkołę średnią i studia pedagogiczne w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej, na Wydziale Filologiczno-Historycznym (w 1973 r.) obroną pracy magisterskiej o uczestnictwie studentów opolskiej WSP w kulturze. Swoje losy zawodowe związała początkowo z Państwowym Studium Kulturalno-Oświatowym i Bibliotekarskim w Opolu oraz z Instytutem Śląskim. Pracowała w Zakładzie Kultury, początkowo na stanowisku asystenta, następnie po obronie dysertacji doktorskiej (w 1983 r.) pt. *Wartości i aspiracje społeczno-zawodowe młodzieży wybranych środowisk robotniczych* – na stanowisku adiunkta. W latach 1986–1992 pełniła również funkcję sekretarza naukowego Instytutu Śląskiego. W ramach prac badawczych nad kulturą współczesną i kulturą Opolszczyzny, prowadzonych w Instytucie Śląskim, powstały m.in. następujące publikacje: *Wartości i aspiracje zawodowe młodzieży pracującej w zakładach wielkoprzemysłowych województwa opolskiego* (1984) i *Problemy uczestnictwa w kulturze. Z badań przeprowadzonych wśród pracowników zakładów wielkoprzemysłowych województwa opolskiego* (1985).

Z Uniwersytetem Opolskim była związana od 1996 r. Stopień naukowy doktora habilitowanego

uzyskała w 2001 r. na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Jej zainteresowania naukowe początkowo koncentrowały się wokół socjologii kultury, stopniowo ewoluując w kierunku zagadnień tożsamości etnicznej i narodowej mieszkańców Śląska Opolskiego. Taki też tytuł nosiła jej rozprawa habilitacyjnej *Obecności etnicznej i narodowej na Śląsku Opolskim: procesy kształtowania tożsamości i relacji międzygrupowych*. Profesor Maria Śmiełowska była autorką wielu publikacji, z których większość związana jest z zagadnieniami socjologicznymi Śląska Opolskiego, m.in. kulturą śląską i społecznościami lokalnymi. W pracy była cenioną i lubianą koleżanką, życzliwą ludziom, na której zawsze można było polegać. Zawsze życzliwa dla swoich studentów i przez nich lubiana z zadowoleniem pełniła rolę przewodnika, prowadząc prace dyplomowe i magisterskie. Była osobą prawą, nienawidziła obłudy, fałszu i kłamstwa. Kochała życie, muzykę, książki i sztukę. W życiu prywatnym była żoną znanego muzyka i dziennikarza radiowego Stanisława Śmiełowskiego.

Pozostanie w naszej pamięci i w naszych sercach jako osoba wesoła, z poczuciem humoru, zafascynowana fenomenem kultury i literatury.

Teresa Soldra-Gwizdź



Fot. Tadeusz Parcej

# Prof. dr hab. Marian Szuszkiewicz

## (1939–2013)

Profesor urodził się 5 lipca 1939 r. w miejscowości Ilja w pow. Mołodeczno na Wileńszczyźnie. Dzieciństwo spędził w Wielkopolsce, w okolicach Leszna.

W latach 1956–1961 studiował fizykę w Uniwersytecie Wrocławskim. Studia zakończył pracą magisterską wykonaną pod kierunkiem prof. Jana Wesołowskiego.

Działalność naukowo-dydaktyczną rozpoczął w Uniwersytecie Wrocławskim w roku 1961, uzyskując tam wszystkie stopnie naukowe, od doktora do profesora, i przechodząc przez wszystkie stanowiska związane z pracą naukową i dydaktyczną, pełniąc tam funkcje: dyrektora Instytutu Fizyki Doświadczalnej, Kierownika Katedry, Zakładu Zastosowań Fizyki Jądrowej i prodziekana Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii.

Z Opolem związał się w roku 1990 przejmując, po zmarłym profesorze Bronisławie Rozenfeldzie, którego był uczniem, Zakład Zastosowań Fizyki Jądrowej, przemianowany później na katedrę, o tej samej nazwie. Wspólnie z współpracownikami z tej katedry prowadził szeroko zakrojone badania nad zastosowaniem metod fizyki jądrowej w badaniach ciała stałego i rozbudowując aparaturę naukową do badań anihilacji pozytonów. Był inicjatorem i współorganizatorem krajowych i międzynarodowych seminariów naukowych dotyczących badań tego zjawiska.

Był cenionym autorytetem w dziedzinie anihilacji pozytonów i spektroskopii mossbauerowskiej, recenzentem wielu prac doktorskich, habilitacyjnych i wniosków profesorskich z tych dziedzin. Kierował wieloma tematami badawczymi i grantami KBN. Jest autorem ponad stu artykułów naukowych, publikowanych w czasopiśmie o zasięgu światowym.

Odbył liczne staże naukowe: na Uniwersytecie w Katanii, w Politechnice Mediolańskiej, Instytucie Energii i Energetyki Jądrowej w Sofii, Instytucie Fizyki w Halle oraz kilkanaście krótkoterminowych staży w znanych ośrodkach naukowych zagranicznych i krajowych. Był członkiem Komitetu Fizyki PAN i Polskiej Agencji Atomistyki.



Prof. Marian Szuszkiewicz

Za swoją działalność naukową, dydaktyczną i organizacyjną był czterokrotnie nagradzany nagrodami ministra i wielokrotnie nagrodami rektorów.

Był świetnym wykładowcą, lubianym i cenionym przez studentów i współpracowników. Służył im chętnie swoją wiedzą, literaturą naukową i doświadczeniem laboratoryjnym.

Odszedł na emeryturę w 2010 r.

Zmarł 14 marca 2013 r.

**Ryszard Pietrzak**

# Dr Leonard Owczarek

## (1936–2013)

W niedzielę, 17 marca br., zmarł w szpitalu w Kielcach po krótkiej i niespodziewanej chorobie dr Leonard Owczarek. Był emerytowanym, długoletnim i wciąż aktywnym, pracownikiem Instytutu Historii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach.

Karierę nauczyciela akademickiego rozpoczął jednak w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, gdzie w Instytucie Historii pracował jako asystent i adiunkt, w latach 1961–1971.

Rodzina Leonarda pochodziła z Wołynia, z okolic Kowla. Raz tylko, przy okazji rozmów na temat polskich migracji, usłyszeliśmy historię Jego dziadka. Ambitnie i pracowicie powiększał on dobra rodzinne

dokupując morgi za pieniądze zaoszczędzone na kilku mozolnych wyjazdach zarobkowych do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej na początku XX w. To była smutna historia, gdyż te wysiłki dziadka, okupione wielu trudami, zmiażdżyło koło historii. Ziemię Sowieci upaństwowili, a nacjonalizm ukraiński zmusił rodzinę do ekspatriacji (niegdyś zwanej repatriacją) na Ziemię Odzyskaną.

Dr Leonard Owczarek studia ukończył na Uniwersytecie Wrocławskim i zapewne stamtąd wyniknęła wieloletnia przyjaźń i współpraca z prof. Eugeniuszem Konikiem – promotorem Jego pracy magisterskiej i doktorskiej. W pamięci studentów historii z tamtych lat pozostał jako oddany asystent prof. Eugeniusza Konika oraz przyjaciel, towarzysz i kolega atrakcyjnych, młodych naukowców: dr Jerzego Kopecia z filologii polskiej czy mgra Henryka Koniarskiego z historii.

Dla studentów z mojego roku, jak się później okazało, był mężem niemal opatrnościowym. Nasza zażyłość wynikała z faktu, że został mianowany w 1965 r. opiekunem naszego I roku i był nim także przez kilkadziesiąt lat po zakończeniu studiów! Chętnie uczestniczył w nieformalnych zjazdach absolwentów mojego rocznika (a było ich kilkanaście). Lubił chyba nasze towarzystwo, bo chętnie przyjeżdżał na zloty w Straconce, Kielcach czy w Opolu. Opowieściom wówczas nie było końca i trwały one do późnych godzin wieczornych, a nawet porannych. Miał bardzo dobrą pamięć i dzięki temu usłyszeliśmy bardzo wiele zabawnych, a nawet pikantnych historyjek z życia ówczesnej, opolskiej społeczności akademickiej. Jaka szkoda, że nie zostały nagrane!

Wspominali Go zawsze chętnie i dobrze seminarzyści profesora Eugeniusza Konika, którym służył pomocą i wsparciem, niemal zastępując profesora obarczonego obowiązkami dziekańskimi i dojeżdżającego z Wrocławia.

W naszej wdzięcznej pamięci pozostał też jako obrońca studentów w czasie i po wydarzeniach marcowych 1968 r. Moi koledzy z roku: Stefan Marek i Olek Łach tylko dzięki interwencji dr. Owczarka uniknęli represji i nie zostali wydaleny ze studiów. O tych wydarzeniach opowiedział osobiście, uczestnicząc, na zaproszenie prof. Danuty Kisielewicz i moje, w zorganizowanej w marcu 2008 r. w Instytucie Politologii UO konferencji: *Marzec 1968 z czterdziestoletniej perspektywy*.



Dr Leonard Owczarek



Opuścił Opolo w 1971 r. po niemiłych przeżyciach wynikających ze śledztwa prowadzonego po wybuchu w auli WSP, ale o tym mówił niechętnie. Przeniósł się do Kielc, aby tam zorganizować na ówczesnej WSP Katedrę Historii Starożytnej w Instytucie Historii, z którym był związany do końca życia.

Jego pogrzeb odbył się 20 marca br. Spoczął na cmentarzu komunalnym w Nysie obok rodziców i brata.

Bardzo wielu rozmów wciąż nie dokończyliśmy, zupełnie nie przewidując, że nas tak szybko opuści. Wspominamy Go serdecznie, z ciepłym uśmiechem i z wielkim żalem, że już się nie spotkamy...

**Elżbieta Trela-Mazur**

W 1961 roku równocześnie z Leonardem podpisywaliśmy umowy o pracę w ówczesnej WSP w Opolu. I tak przez 52 lata, z krótką przerwą, przeżyaliśmy dobre i złe chwile naszego życia. Było nam łatwiej, bo łączyła nas wewnętrzna potrzeba awansu społecznego dzieci chłopskich, chęć uczenia się i poznawania świata.

Leoś, bo tak się do Niego zwracaliśmy się, był jednym z najlepiej ubranych i najbardziej szarmanckich pracowników WSP. Był obiektem westchnień wielu dziewczyn. Ładnie tańczył i lubił tańczyć, stąd wzbudzał zainteresowanie na ówczesnych zabawach i balach akademickich (dyskotek wtedy nie było). A przy tym był zafascynowany swoją historią starożytną i losami Traków. Był najwytrwalszym i najczęstszym gościem bibliotek uczelnianych. Nic dziwnego, że bardzo szybko doktoryzował się, a później napisał wiele rozpraw, skryptów i pomocy dydaktycznych dla studentów. Zgromadził pewnie najobszerniejszy księgozbiór o Trakach. Był jednak bardzo krytyczny wobec swoich dokonań naukowych i ciągle każdą pracę chciał pogłębiać i udoskonalać. Ktoś inny na Jego miejscu miałby nie jedną, a parę habilitacji, a On ciągle mówił, że to jeszcze za mało. Nie pomagały perswazyje Jego mistrza, profesora Konika, nie mówiąc już o mnie i innych życzliwych Mu osobach.

Pięknie wykładał, wnosząc do wykładu liczne facecje, dowcipy i ciągle wierzył, że studenci chcą się czegoś nauczyć. Był wobec nich bardzo wymagający, ale i sprawiedliwy. Miał duszę społecznika utożsamiającego się z uczelnią. Przeżywał jej sukcesy i gorsze momenty. Tak było w Opolu, a później w Kielcach.

Na Jego życiu bardzo odbiło się to, że w czasie II wojny był oderwany od rodziców, wychowywała go babcia i wuj. Głęboko zaciążyła na Jego życiu śmierć tego wuja z rąk Niemców. Do rodziców i rodzeństwa dołączył dopiero, gdy ojciec wrócił z wojny i osiadł w okolicach Nysy. Jak sam mówił, ojciec nauczył Go szacunku dla pracy, dyscypliny, rzetelności i przyzwoitości.

Ta pracowitość i rzetelność w jednym momencie bardzo źle wpłynęła na Jego życie. Gdy we

wrześniu 1971 r. w nocy wysadzono aulę opolskiej WSP, On jedyny był w gmachu uczelni – studiował te swoje księgi do późnych godzin nocnych. Stąd niemal automatycznie stał się podejrzanym. Po tym były długie miesiące przesłuchań i różnych szykan mimo, iż był czysty, jak przysłowiowa łąza.

Po tych wydarzeniach przeniósł się do Kielc, by pracować w tworzącej się tu WSP. Los sprawił, że ja po trzech latach również przeniosłem się z rodziną do tej uczelni i nasze losy toczyły się podobnymi torami.

Był przyjacielem naszej rodziny, dobrym „wujkiem” dla moich córek. Mieliśmy okazję spędzić razem wiele wigilii i śniadań wielkanocnych. Z Jego inicjatywy nabyliśmy pod Kielcami modne wówczas działki rekreacyjne. Wspólne stawianie płotów, budowy letnich domków, zakładanie upraw, doprowadzanie tzw. mediów – służyły zacieśnianiu przyjaźni i wzajemnemu poznawaniu się. Wiedliśmy wtedy niekończące się dyskusje o bieżących sprawach Polski i Polaków, bowiem przez całe życie byliśmy aktywni politycznie i społecznie. W pewnym momencie nasz wspólny sąsiad działkowy Zygmunt Kuraś zaraził nas swoją pasją – pszczelarstwem. To pochłoneło Leosia nie mniej niż historia. Zdobył o pszczołach ogromną wiedzę teoretyczną i praktyczną. Z wielką dbałością, wręcz czułością odnosił się do każdej pszczołki. Zdobył uznanie jako pszczelarz i miał najlepszy, zbierany niemal w sterylnych warunkach miód. Pomagał mi w tym zajęciu i miał mi za złe, że nie mam do pszczelarstwa takiego nabożnego stosunku, jak On.

Leoś, co z nimi teraz będzie? Zygmunt i ja nawet do swoich nie mamy już sił.

Jeszcze pięć dni przed Jego śmiercią doglądaliśmy tych pszczoł. Leonard bardzo cieszył się zbliżającą się wiosną, a zarazem martwił czekającą Go ilością pracy. Mam przed oczyma, jak dziarsko szedł wtedy do autobusu, a ja o kiju i było mi wstyd. Na drugi dzień dostaliśmy wiadomość o Jego chorobie, a w niedzielę o śmierci. Jakież to szok!

Czuję się tak, jakbym stracił brata.

**Zbigniew Dulewicz**

## Szli żołnierze a-leją...

Starsi absolwenci Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu przypominają sobie niewątpliwie obowiązkowe zajęcia z tzw. studium wojskowego. Osobiście miałem wyjątkowe szczęście, gdyż po półtora semestru komisja garnizonowa we Wrocławiu stwierdziła zdolność do służby wojskowej w formacjach samoobrony (kategoria „c”). W związku z tym brałem udział tylko w zajęciach teoretycznych powszechnej samoobrony, gdzie 90 proc. stanowiły kobiety. Z upływem czasu procent panów na tychże zajęciach się ciągle powiększał, gdyż wielu kolegów w przedziwny sposób doznawało (poprzez załatwienie sobie odpowiednich zaświadczeń lekarskich) uszczerbku na zdrowiu.

Na pierwszym semestrze zajęcia praktyczne odbywały się w poniedziałki. Zamieszkiwałem co prawda wówczas na stacji przy placu Lenina (dziś – Teatralny), ale w poniedziałki jechałem pociągiem z Laskowic Oleskich (miejsce stałego pobytu) do Opola. To miało swoje uzasadnienie w tym, że matka podczas weekendu perfekcyjnie prasowała mój mundur, a buty po tej wizycie też miałem wyglansowane na wysoki połysk. Mój wygląd diametralnie się zmieniał po wywiezieniu nas, wojaków, do pobliskiego Winowa pod Opolem. Pamiętam okopywanie się do pozycji leżącej, kłęczącej i stojącej – za pomocą małej, wojskowej łopatki, w odpowiednio do tego przeznaczonym czasie. Przy tym trzeba było ciągle obserwować wyimaginowanego przeciwnika (wroga), a broń musiała się znajdować w zasięgu ręki. Pecha miał ten, kto trafił na gliniany grunt. Odpowiednia ocena była zagwarantowana.

Samo wspinanie się do podstawionych wojskowych ciężarówek nie było łatwe, biorąc pod uwagę fakt, iż na pasie do podtrzymywania spodni były przymocowane granaty – „ślepaki” i łopatka wojskowa, a każdy miał jeszcze przydzielonego kałasznikowa. Kaziu Lepich i ja, jako najwyżsi w plutonie wzrostem, musieliśmy dźwigać tzw. ręczny karabinek maszynowy Diegtariewa. Cechował go ogromny „talerz” z nabojami – przy spuście. Można je jeszcze zobaczyć w starych wojennych filmach (np. *Cztery pancerni i pies*). U niższych wzrostem wojaków zachodziło niebezpieczeństwo... rysowania łufą po asfalcie.

My, historycy, mieliśmy wspólne zajęcia wojskowe z polonistami i rusycystami. Podczas marszu śpiewano tradycyjnie: *Idą żołnierze a-leją*. Nieodpowiednia intonacja powodowała ostrą reprymendę zwierzchnika.

Rzut granatem na odpowiednią odległość był oczywiście także oceniany. Kolega Trojanowski (rusycysta) – muskularny, silny, był specjalistą rzutu granatem

nie na odległość, ale... wysokość. Granat spadał dosłownie przed jego nosem. Towarzyszyla temu popisowi kanonada odpowiednich kalumnii: *Szeregowy Trojanowski – jesteście kompletnym durniem i bałwanem! Chcecie Pana Boga z nieba wykurzyć?* Oraz ocena niedostateczna.

Zajęcia teoretyczne odbywały się po południu. Najciekawsze były polityczne. Można się z nich było dowiedzieć na przykład, ilu to nieprzyjaciół na nas czyha, kto dąży do wywołania trzeciej wojny światowej... Z tzw. czerwonych książeczek trzeba było na pamięć wykuć skład i liczbę osób w plutonach, dywizjach i armiach nieprzyjaciół Polski. U pułkownika Makuły oczkiem w głowie była perfekcyjna znajomość broni; wymienienie wszystkich części kałasznikowa to był standard. A jest ich... setki. Pamiętam, że w trakcie egzaminu, po wymienieniu około 40 – 50 nazw, pomyliłem szczerbinę z wycięciem. Pomyłka nie do wybaczenia! Riposta był natychmiastowa: *Szeregowy Pośpiech – jesteście nieukiem i baranem!* Na szczęście obyło się bez wpisu do indeksu, ponowne podejście za dwa tygodnie zakończyło się sukcesem.

Zabawne były zajęcia z majorem Józefem Józefowiczem, od wielu lat znanym jako „Balion”. Skąd się wziął ów przydomek, tego nikt nie wiedział. Pewnego razu, na zajęciach z balistyki, major Józefowicz objaśniał kąt lotu pocisku, jego zetknięcie się z metalem, drewnem itp. A figlarzy w naszej grupie było mnóstwo. Marek Dłubak (był do niedawna jeszcze nauczycielem w Krapkowicach) podnosi palec i pyta: – *Obywatelu majorze, a jak wygląda lot pocisku przy zetknięciu się z wodą?* Na roku zapanowała konsternacja, ponieważ odpowiedzi mogliśmy się domyślać. – *Żołnierz podczas działań bojowych nie ma czasu na zadawanie tak głupich pytań* – pada odpowiedź. Śmiech w takiej sytuacji mógł spowodować niezaliczenie semestru.

Jak już wspomniałem, w poniedziałki jeździłem koleją z Laskowic Oleskich do Opola, i odwrotnie. Zajęcia wojskowe kończyły się bardzo późnym popołudniem lub wieczorem. Idę więc sobie ku dworcowi ulicą Krakowską. Zadowolony z udanego dnia, wesoło pogwizdując, naraz aż mnie zamurowało. – *Czemu żeście obywatelu szeregowy nie zasalutowali?* – zwraca się do mnie rubasznym tonem jeden z uczestników patrolu WSW (wojskowa służba wewnętrzna). Stokrotnie przeprosiłem, tłumacząc, że po prostu jest już ciemno i patrolu nie zauważyłem. Skończyło się dzięki Bogu na pouczeniu, bez wpisu do książeczki wojskowej. Tydzień później, kiedy siedziałem już w pociągu – podobna sytuacja. Zdołałem akurat zjeść połowę dopie-

ro co kupionej bułki, a tu znowuż wszechobecne WSW. Bułka powędrowała szybko do kosza, a ja pokornie salutuję.

Zerkam dziś do indeksu (odebrałem go notabene dopiero przed paru laty w uniwersyteckim archiwum). Tyle wspomnień kryje się za każdym z lakonicznych

wpisów. Choćby za tym z lutego 1971 – *zwolniony z wyszkolenia wojskowego*. Podpis: podpułkownik (parę semestrów później już pułkownik) J. Chłodnicki.

**Jerzy Pośpiech**

(student historii WSP w Opolu w latach 1970–1975)

## Listy, polemiki

Roman Krajewski należy do najstarszego pokolenia absolwentów naszej uczelni. Ciągłe jeszcze pracuje w liceum. Studiował matematykę w latach 1957–1961. W zawodzie nauczycielskim przepracował ponad 50 lat. Przez 32 lata uczył matematyki w Zespole Szkół Zawodowych w Bielawie, był wizytatorem metodycznym w Wałbrzychu, następnie konsultantem i koordynatorem do spraw informatyki, by ostatnie 10 lat przed emeryturą znów wykładać ulubioną matematykę. Na emeryturę przeszedł w 1997 roku, wtedy jednak związał się z I Liceum Ogólnokształcącym w Dzierżonowie (godziny zlecone), gdzie m.in. wprowadził w życie dzienniki elektroniczne.

Dwanaście lat temu, w „Indeksie”, w rozmowie z panią redaktor Barbarą Stankiewicz, Romek w wyjątkowo oryginalny i dowcipny sposób opowiedział o latach naszych studiów – doskonale pamiętał konkretne wydarzenia, a nawet pikantne sytuacje. Należy on do osób, które w żadnych okolicznościach nie rezygnują ze swoich marzeń i robią wszystko, co w ich mocy, aby dobrze wykonać wszystko, czego się podejmują. Romek sam się sobie dziwi, że znajduje czas na swoje szerokie zainteresowania, a należy do nich, o czym dobrze wiedzą jego znajomi, fotografowanie. To jemu zawdzięczamy piękny, dwugodzinny film, zaprezentowany na zjeździe z okazji 50-lecia naszej uczelni: ileż pracy musiało kosztować samo obejrzenie klisz fotograficznych z okresu naszych studiów, zeskanowanie wybranych fotografii i dobór muzyki.

Do dziś jakże często oglądamy w „Indeksie” fotografie jego autorstwa – wiem, że wiele z nich zamieści w swojej, przygotowywanej do druku monografii, Wojciech Dindorf.

Roman jest człowiekiem niezwykle serdecznym i koleżeńskim. To on, wspólnie ze swoim przyjacielem, jest organizatorem zjazdów swojej klasy maturalnej – spotykają się co roku w różnych miejscach, w Polsce lub innych krajach. Byli już na Węgrzech, w Czechach, Słowacji, Hiszpanii. W ostatnich latach to on, z Krzysiem Woźniakiem, organizują zjazdy absolwentów matematyki i fizyki opolskiej WSP, w Opolu, a w tym roku, w maju, w Wiśle.

Jest szczęśliwym mężem, ojcem dwóch synów i córki. Razem z żoną Stefanią doczekali się siedmior-

ga wnucząt. Ich dom jest zawsze otwarty, a gospodarze serdecznie przyjmują gości, częstując ich winem, owocowymi przetworami i domowymi wypiekami.

Z okazji minionych złotych godów życzę im *ad multos annos*.

**Cecylia Bohdziewicz**



Stefania i Roman Krajewscy

Dominika Kałuzińska

## Zupełnie inne przedszkole

**Uniwersytet Opolski planuje uruchomienie pierwszego w Polsce przedszkola uniwersyteckiego, które realizować będzie nowatorski program rozwoju dzieci. Inicjatywa zyskała przychyłność władz miasta.**

Pomysł powstania uniwersyteckiego przedszkola zrodził się rok temu. Ze względu na konieczność pozyskania budynku lub ziemi pod budowę przedszkola ruszy ono najszybciej za dwa lata. Przedszkole byłoby otwarte dla dzieci studentów oraz pracowników Uniwersytetu Opolskiego. Placówka będzie miała trzy lub cztery oddziały dla dzieci od drugiego do piątego roku życia. Grupy nie będą liczne, tak aby można było prowadzić nie tylko pracę z zespołem, ale również indywidualną z poszczególnymi podopiecznymi.

– Głównym celem jest stworzenie pomostu między kształceniem teoretycznym a praktycznym studentów w zakresie przygotowania do zawodu. W Instytucie

Studiów Edukacyjnych prowadzone są takie specjalności, jak pedagogika małego dziecka z wychowaniem przedszkolnym oraz kształcenie wczesnoszkolne z wychowaniem przedszkolnym. Studenci odbywaliby tam praktyki, które przygotowywałyby ich do przyszłego zawodu – mówi **dr Stanisława Wloch** z Zakładu Pedagogiki Przedszkolnej i Wychowania Artystycznego Instytutu Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu Opolskiego. – Dzięki temu podniesiona zostałaby również jakość kształcenia i realizowane byłyby zadania, które wyznaczyło Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego – dodaje.

Program zajęć przedszkolnych byłby wzbogacony o naukę dwóch języków – angielskiego i drugiego do wyboru. Przedszkolaki uczestniczyłyby bezpośrednio w różnorodnych formach rozwoju, takich jak w zajęciach w Instytucie Sztuki, a także na kierunkach: fizyka czy biologia. Dzięki temu stymulowane byłyby ich zdolności.



Zajęcia (w ramach praktyki śródrocznej) w opolskim przedszkolu nr 25. Na zdjęciu studentki II roku (studia I stopnia) pedagogiki małego dziecka: Bożena Stec, Kinga Lechowicz i Joanna Glik w trakcie zajęć doskonalących umiejętności do dawania w zakresie ośmiu i poznawanie gry C-dur

Idea przedszkola zakłada ścisłą współpracę pedagogów i studentów z rodzicami pod kątem przekazywania nowoczesnej wiedzy psychologicznej i pedagogicznej. – Próbowaliśmy wprowadzać różne formy współpracy, nie tylko te, które są sprawdzone w Polsce, ale przede wszystkim te nowe – podkreśla dr Stanisława Włoch. – Wychodzimy naprzeciw nowemu systemowi rozwoju dzieci w wieku przedszkolnym. Badania amerykańskie i skandynawskie potwierdziły, że okres przedszkolny jest najważniejszym okresem w życiu każdego człowieka. Program zajęć oparty będzie na sprawdzonych systemach europejskich, próbujemy sięgać do innowacji, nowości tych krajów, które uzyskują świetne efekty w rozwoju dzieci w wieku przedszkolnym i są bardzo dobrze przygotowane do podjęcia obowiązków szkolnych. Będziemy kładli szczególny nacisk na pracę zespołową, ważne jest wychowywanie i stymulowanie rozwoju jednocześnie, szukanie różnych metod i form współpracy.

Program przedszkola opierałby się również na teorii Howarda Gardnera, amerykańskiego psychologa, który jest twórcą teorii inteligencji wielorakiej. Zakłada on, że u każdego człowieka występuje osiem rodzajów inteligencji, które wiążą się ze zdolnościami. Stymulowanie tych inteligencji i ich rozwijanie prowadzi do konkretnych osiągnięć.

Przedszkole to świetny pomysł i odpowiedź uniwersytetu na potrzeby studentów oraz pracowników uczelni. Wielu studentów wychowuje dzieci, które mieszkają również w akademikach – możliwość zostawiania

ich w przedszkolu to pomocna rzecz. Również studiujący pedagogikę na naszej uczelni będą mogli odbywać tam praktyki i staże, co uzupełni ofertę Uniwersytetu Opolskiego o praktyczne kształcenie – mówi **Krzysztof Cieciora**, przewodniczący Samorządu Studenckiego Uniwersytetu Opolskiego.

Odpłatności za pobyt dziecka w znacznej części pokrywałaby dotacja ze strony miasta. Godziny otwarcia placówki byłyby ograniczone, ale dostosowane do potrzeb rodziców dzieci uczęszczających do przedszkola. Przedszkole znacznie ułatwiłoby życie studentom studiów niestacjonarnych, gdyż będzie otwarte również w soboty i niedziele.

W planach jest również współpraca z opolskim środowiskiem nauczycielskim, polegająca między innymi na organizacji różnych form szkoleń dla nauczycieli wychowania przedszkolnego, tak aby nauczyciele korzystali z najnowszej wiedzy. Stworzenie uniwersyteckiego przedszkola wpisuje się również w idee stworzenia specjalnej strefy demograficznej.

Inicjatywa ma na celu nie tylko pomóc studiującym rodzicom, ale przede wszystkim stymulować rozwój dziecka. Program nauki w przedszkolu byłby modyfikowany po rozpoznaniu potencjału dzieci, tak aby dostosowywać go do możliwości i potencjału rozwojowego dziecka. – Naszym marzeniem jest, aby z dzieci uczęszczających do przedszkola wyrosły osoby zdolne, z rozwijającą się dominantą inteligencji, które znalazłyby swoje miejsce w świecie – podsumowuje dr Stanisława Włoch.

**Agnieszka Wojcieszek**  
**Kinga Markowska**

## Politycy przy tablicy

Lutowy tydzień polityczno-ekonomicznych debat z politykami rozpoczął się od **Janusza Palikota**. Spotkanie z nim odbyło się 25 lutego w Collegium Civitas. Przybył do Opola na zaproszenie Studenckiego Koła Naukowego Politologów w ramach cyklicznych debat pod hasłem: „Spotkania z polityką”.

Sala wypełniona była po brzegi, a tłum słuchaczy zgromadził się również za drzwiami. Trudno jednoznacznie określić, czy taka frekwencja to skutek merytorycznego zapotrzebowania, czy też efekt otoczki medialnej oraz kontrowersji, z jakich ten polityk słynie. Oczekujący sensacji wyszli zawiedzeni. Spotkanie miało bowiem rzeczowy, ekonomiczny charakter i było próbą odpowiedzi na pytanie: dlaczego do euro?

Argumentów za przyjęciem nowej waluty było wiele. Od danych statystycznych, poprzez skrupulatne wyliczenia sięgające kilka lat wstecz, aż po niezbyt optymistyczne prognozy na przyszłość. Zdaniem polityka, kwestia euro nie powinna podlegać już społecznej dyskusji, ponieważ za jego wprowadzeniem Polacy opowiedzieli się kilka lat temu.

– Odpowiedź na pytanie, czy wprowadzać euro, padła w referendum w 2003 roku. Podkreślić należy – argumentował Palikot – że było to referendum, w którym uczestniczyła ponad połowa obywateli uprawnionych do głosowania i opowiedziała się za Unią Europejską oraz za wprowadzeniem euro. Zasadnym byłoby zaś zastanowić się, kiedy wprowadzenie byłoby w Polsce

możliwe i – z punktu widzenia kalendarza politycznego – najbardziej korzystne. Bardzo wielu ekonomistów uważa, że powinien być to moment, w którym Unia Europejska ponownie zacznie się rozwijać i wejść na ścieżkę wzrostu. Powinien być więc to okres pomiędzy 2015 a 2017 rokiem. Musimy pamiętać również, że będzie to czas już po istotnych wyborach – w Niemczech i we Francji. Prawdopodobnie wtedy dojdzie do ponownego zintegrowania Europy po kryzysie i z pewnością fakt ten ma dla nas ogromne znaczenie – przekonywał.

Owa integracja okazała się tematem, któremu poświęcona została znaczna część wystąpienia. Zdaniem Janusza Palikota wykorzystanie ogromnego potencjału polityczno-ekonomicznego byłoby możliwe jedynie poprzez stworzenie modelu federalnej Europy. To pozwoliłoby wytworzyć wiele nowych mechanizmów, skutkujących oszczędnościami. Pytał Palikot: - Po co nam, Europejczykom, utrzymywanie tylu placówek dyplomatycznych? Czy nie możemy mieć jednej ambasady Unii Europejskiej, która załatwi sprawy wszystkich Europejczyków? Przecież za taką decyzją przemawiają gigantyczne oszczędności, ponieważ w wyniku synergii zjednoczona Europa mogłaby wygospodarować miliony euro. Co więcej, dopiero zjednoczone przedsiębiorstwa europejskie będą w stanie stać się konkurencyjnymi wobec gigantów handlowych, z którymi dziś nie mają żadnych szans.

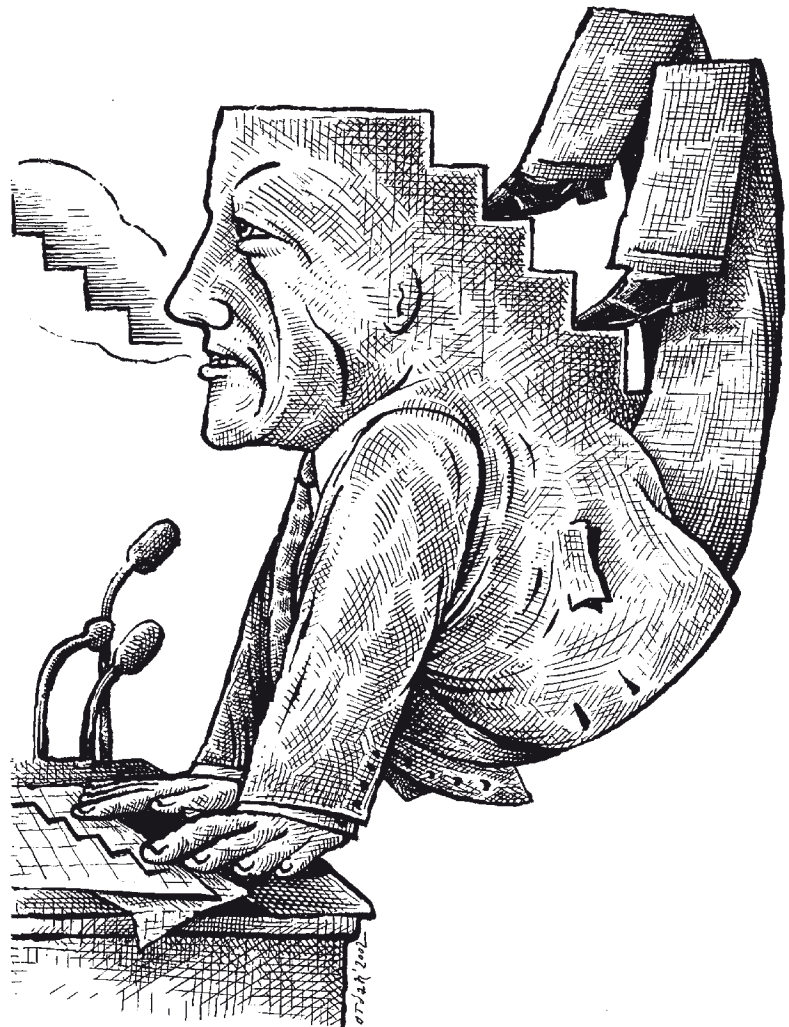
Zdaniem Janusza Palikota idea zjednoczenia ma sens nie tylko w odniesieniu do polityki i ekonomii, ale może przyczynić się też do ocalenia potencjału kulturowego Europy.

– Pod każdym względem jesteśmy dziś otoczeni rzeczywistością nieeuropejską. Doszło do sytuacji, w której Europa – tworząca wzorce kulturowe w ciągu setek lat – znów może zostać skolonizowana. Dlatego my, jako politycy, odwołujemy się do poczucia patriotyzmu europejskiego. Jeśli jednak chcemy zatrzymać europejską tożsamość, musimy pokonać pewne niechęci i atawizmy narodowe. Następnie należy wprowadzić język angielski jako drugi język urzędowy, który obowiązywał będzie obok języka narodowego. Ponadto w każdej szkole, oprócz histo-

rii narodowej, powinna być historia Europy, właśnie po to, żeby wykształcić poczucie tożsamości i przynależności kontynentalnej. Czy w związku z tym przestaniemy być Polakami? Nie! Będziemy nimi dalej, ale wykorzystamy swój potencjał i dokonamy niesamowitego usprawnienia mechanizmów, którymi dysponujemy.

Janusz Palikot proponował opolskim studentom nie tyle nawet zmianę systemu monetarnego i edukacyjnego, co zmianę stylu życia, a nawet – jak okazało się później – światopoglądu.

– Dziś kryteria patriotyzmu znacznie się zmieniły. Nie chodzi już o naiwne, podnoszone przez prawicę, patriotyzm krwi. Dużo ważniejszy jest patriotyzm kulturowy i ekonomiczny. Patriotyzm kulturowy sprawia, że jako naród dążymy do wykształcenia norm, które inni będą naśladować, a poprzez które uda nam się zbudować indywidualną tożsamość. Patriotyzm ekonomiczny z kolei polega na wytwarzaniu produktów lepiej od innych, po to, by zapewnić lepszą jakość czy niższą cenę. To spowoduje, że pozostali będą chcieli kupować nasze produkty. Z politycznego punktu widzenia to oczywiste, że powinniśmy mieć euro, bo to



Wspinaczka, Rys. Leszek Ołdak

oznacza, że mapa, która jest przekleństwem dla naszego kraju, będzie granicą europejsko-rosyjską, a nie granicą Polski i Rosji czy Polski i Niemiec. O tę zmianę na mapie powinien walczyć każdy, kto jest patriotą – zaznaczył polityk.

Obecny na spotkaniu z Januszem Palikotem jego doradca z okresu kampanii wyborczej – **dr Krzysztof Iszkowski** (Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie) przyznał się do „bycia jeszcze większym euroentuzjastą”. Jego zdaniem „Europa nie będzie czekać” i nową walutę należałoby wprowadzić w ciągu najbliższych 2–3 lat.

Największe emocje wzbudziły jednak nie monologi gości, ale dyskusja, która rozgorzała po ich zakończeniu. Zabierający głos opolscy studenci okazali się bowiem zwolennikami tradycyjnego modelu państwa i konserwatywnego podejścia do kwestii zjednoczenia narodów, demonstrowali niechęć do rewolucyjnych planów politycznych, a przede wszystkim do nowego definiowania pojęcia patriotyzmu.

– Podczas tego spotkania tyle mówiono o kwestiach ekonomicznych, politycznych i kulturowych w odniesieniu do stworzenia modelu federalnej Europy. Nam chodzi jednak przede wszystkim o dobro własnego kraju. My, Polacy, jesteśmy odpowiedzialni za własny los i chcemy samodzielnie rozwiązywać swoje problemy. Nie pozwolimy, żeby decyzje o naszym życiu podejmowane były przez polityków, z którymi nigdy nie mieliśmy do czynienia. Bruksela nie może o tym decydować, nie mając pojęcia o problemach bacy z Podhala czy przeciętnego Opolanina – stwierdził jeden ze studentów.

Ta wypowiedź spotkała się z uznaniem publiczności, były oklaski i okrzyki poparcia. Sceptycyzmu sali nie udało się Januszowi Palikotowi ostudzić, mimo iż na zakończenie spotkania rozdawał swoją książkę opatrzoną autografem.

O ile Janusz Palikot jest rewolucyjnym mówcą i bez większego problemu mógł liczyć na interakcję ze strony audytorium studenckiego, o tyle były premier **Józef Oleksy** – choć o rewolucji mówił – rewolucji w studenckich głowach nie dokonał. Był w Opolu 28 lutego na zaproszenie uniwersyteckiego Koła Naukowego Marketingu Politycznego i przez ponad godzinę starał się wyjaśnić, jak wygląda stanowisko Europy wobec wyzwań globalnych.

– Dzisiaj nadal, po czterech latach kryzysu, jeden procent ludzi na świecie trzyma 40 procent gospodarki w swoich rękach – zobrazował sytuację na wstępie.

W przeciwieństwie do Janusza Palikota, Józef Oleksy nie skupił się jednak na dylemacie korelacji pomiędzy wprowadzeniem euro a dobrobytem w Polsce.

Zdaniem byłego premiera największe znaczenie ma bowiem to, w jaki sposób pieniądzem się zarządza. Z wykładu jasno wynikało, że Europa nie ma obecnie narzędzi do tego, aby euro wysforowało gospodarkę europejską na światowe prowadzenie.

– Obecnie to dolar ma największe znaczenie w gospodarce światowej – zdiagnozował Józef Oleksy. Z krytyką premiera spotkały się także próby ratowania gospodarki europejskiej, polegające na wytwarzaniu papierów wartościowych, zamiast fizycznie istniejących produktów.

– Dziś derywaty mają wartość 800 bilionów dolarów. Tyle samo, co 15-krotny produkt globalny brutto, 50-letni produkt krajowy USA i 1230-letni Polski – grzmiał były premier.

„Waluta, gospodarka, waluta, gospodarka – czy to jest Europa?” – takie pytanie zadawali sobie studenci jeszcze przed wykładem. Jednoznaczna odpowiedź jednak nie padła. Dla osoby z tak dużym doświadczeniem na scenie politycznej, jaką jest Józef Oleksy – Europa została sprowadzona do konstrukcji–projektu, nad którym architekci zastanawiają się: czy dobudować nowe piętra.

– Musimy zastanowić się nad tym, czy przyjmować nowych członków i otworzyć się bardziej na wschód? – pytał retorycznie Oleksy.

Oscylowanie między propozycją trwania w kapitalizmie a sposobem zburzenia granic społecznej obojętności na to, co dzieje się na świecie, poprowadziło wykład Józefa Oleksego do wniosków niemal oczywistych, że wyzwania globalne to temat bardzo aktualny dla naszego pokolenia. „Czy taki wniosek Europie nie ubliża?” – reagowali uczestnicy wykładu. Próby zjednoczenia Europy znamy przecież od czasów upadku Cesarstwa Rzymskiego, zatem jest to temat aktualny dla każdego pokolenia, a w tym sporze zmieniły się tylko sposoby i narzędzia skutecznego połączenia.

\*\*\*

Spór na temat zjednoczenia Europy i wprowadzenia w Polsce nowej waluty wciąż jest otwarty. Prawdopodobnie dlatego nie jest to również koniec spotkań opolskich studentów z politykami. Członkowie wyżej wspomnianych kół naukowych już zapowiedzieli kolejne debaty, które będą doskonałym pretekstem do wymiany zdań. Idea jest słuszna. Trudno pozbyć się jednak wrażenia, że mimo chęci do rozmowy, każda ze stron trwać będzie uparcie przy swoim stanowisku.

**Agnieszka Wojcieszek  
Kinga Markowska**

## Symposium *Świadomość i kultura prawna w społeczeństwie obywatelskim* Życie i paragraf

9 stycznia br. w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. E. Smółki w Opolu odbyło się sympozjum pt. *Świadomość i kultura prawna w społeczeństwie obywatelskim*. Na zaproszenie dyrektora biblioteki **Tadeusza Chrobaka** w spotkaniu wzięli udział pracownicy Wydziału Prawa i Administracji UO: **prof. dr hab. Stanisław Leszek Stadniczeńko**, kierownik Katedry Prawa Ustrojowego i Praw Człowieka oraz patron Kliniki Prawa – Studenckiej Poradni Prawnej **dr Przemysław Malinowski**, prodziekan ds. kształcenia i studentów, a także **mgr Anna Mordel**, asystentka w Katedrze Prawa Ustrojowego i Praw Człowieka, kierownik organizacyjny Kliniki Prawa. W spotkaniu uczestniczyli studenci WPiA zaangażowani w rozwój ruchu klinicznego, a także zaproszeni goście oraz przedstawiciele mediów.

Sympozjum rozpoczęło się wykładem prof. dr. hab. Stanisława Leszka Stadniczeńskiego pt. *Dialogowość w demokratycznym państwie prawa*, w którym profesor tłumaczył m.in. pojęcie dialogowości, która, jako zasada, zapisana jest w preambule Konstytucji RP z 1997 r. Profesor zaznaczył, że człowiek istnieje w społeczeństwie i przez społeczeństwo, dlatego osoba ludzka jest przyporządkowana dobru wspólnemu całości. Za jedną z najważniejszych zasad społeczności uznaje zasadę pomocniczości, której podstawową płaszczyzną jest relacja między państwem a społeczeństwem. Prelegent zwrócił również uwagę na fakt, iż we współczesnym świecie nie istnieje takie pojęcie, jak kryzys wartości. Wartości, zdaniem prelegenta, nie zmieniły się. Zmieniło się podejście społeczeństwa do nich, co nazwać można kryzysem człowieczeństwa.

Mgr Anna Mordel przedstawiła referat pt. *Studenckie poradnie prawne – cele i działalność*, w którym przybliżyła historię ruchu klinicznego w Polsce i na Opolszczyźnie, a także najważniejsze cele działalności studenckich poradni prawnych (edukacyjny i społeczny). W dobie wszechobecności prawa, które jest skomplikowane i podlega nieustającym zmianom, zapew-

nienie każdemu dostępu do pomocy prawnej jest wręcz warunkiem realizacji obywatelskich praw. Podkreślała również, że poprzez udział w poradni student poznaje poszczególne aspekty praktyki prawniczej, nabywa kompetencji do wykonywania zawodu, doskonali umiejętności prawnicze, uczy się odpowiedniej komunikacji z klientem, a także rozumienia znaczenia prawniczej etyki zawodowej.

**Mgr Hanna Jamry** z kolei przybliżyła obecnym historię powstania oraz działalność studenckiego punktu pomocy prawnej działającego przy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Opolu. Z pomocy prawnej Koła Młodych Prawników w ciągu sześciu lat skorzystało wielu Opolan – poradnia zajmuje się ok. 150 sprawami rocznie i cieszy się ogromną, wciąż rosnącą popularnością wśród mieszkańców Opoli i Opolszczyzny.

Zwieńczeniem spotkania było wręczenie dyplomów studentom, a także opiekunom Studenckich Poradni Prawnych, którzy swoim zaangażowaniem przyczynili się do rozwoju ruchu klinicznego. Dyplomy i podziękowania wręczyli prof. dr hab. Stanisław Leszek Stadniczeńko oraz dr Przemysław Malinowski.

Justyna Mazurek



Na zdjęciu (od lewej): prof. Stanisław L. Stadniczeńko, dyrektor biblioteki Tadeusz Chrobak, mgr Anna Mordel, dr Przemysław Malinowski



## II Studencki Dzień Kobiet

Co zrobić, by zawsze czuć się piękną, zdrową i szczęśliwą? – odpowiedzi na to pytanie poszukiwały uczestniczki II Studenckiego Dnia Kobiet, który 12 marca odbył się w Studenckim Centrum Kultury. Organizatorem spotkania było Chrześcijańskie Stowarzyszenie Akademickie, które zadbało nie tylko o świetną atmosferę i wiele atrakcji, ale również o to, by hasło przewodnie spotkania – *Piękna, zdrowa, szczęśliwa* – nie było jedynie sloganem.

W ramach tego wydarzenia w SCK-u pojawili się trenerzy fitness, dietetyk oraz kosmolog, którzy udzielali cennych wskazówek i porad, a także chętnie odpowiadali na pytania zgromadzonych pań. Te wystąpienia przeplatały niespodzianki innego typu – koncert skrzypcowy, przepelnione humorem prezentacje multimedialne, wywiad z Miss Polski 2009 – **Anną Jamróz**, a także poczęstunek i losowanie atrakcyjnych nagród.

Punktem przewodnim spotkania był zaś wykład na temat szczęścia, prowadzony przez **Annę Krajkę**. Prelegentka przekonywała studentki, że – tak często i bezskutecznie poszukiwane szczęście – jest w zasięgu ręki, albowiem w nas samych.

– O szczęściu warto rozmawiać, warto o nim marzyć, by w rezultacie po nie sięgać. Recept na jego osiągnięcie jest mnóstwo i każdy z nas powinien je zdefiniować we własnym zakresie. Od nas tylko zależy, w jaki sposób korzystamy z jego dobrodziejstw. Najważniejsze jednak, to unikać dwóch dróg uniemoż-

liwiających osiągnięcie pełni szczęścia: strachu i braku wdzięczności – przekonywała.

Chrześcijańskie Stowarzyszenie Akademickie jest ogólnopolską organizacją pozarządową, promującą wartości chrześcijańskie. Skupia ona wokół siebie młodych entuzjastów Pisma Świętego, którzy posiadają niebanalne pomysły i pasję, a jednocześnie nie boją się zadawania trudnych, życiowych pytań i poszukiwania na nie odpowiedzi. Studencki Dzień Kobiet to jednak nie jedyna inicjatywa opolskiego oddziału ChSA.

– W ostatnim czasie wiele osób słyszało o ChSA w związku z kilkudniowym Festiwalem Czegoś Więcej, jaki zorganizowaliśmy w listopadzie. Z tej okazji zaprosiliśmy profesora z Oxfordu, który skierował kilka słów do opolskich żaków. Prócz tego pojawili się również studenci z zagranicy, którzy mieli okazję pomagać podczas organizacji festiwalu jako wolontariusze – mówi **Maria Kokot**, regionalny koordynator ChSA.

Spotkania ChSA odbywają się w każdą środę o godzinie 19.00 w Domu Studenckim „Kmicic”. Posiadają one ciekawą, przystępną formę, a także zróżnicowaną tematykę, która na pewno spodoba się młodym ludziom. A kolejna okazja do spotkania w ramach Studenckiego Dnia Kobiet już za rok.

Agnieszka Wojcieszek



Dzień Kobiet w Studenckim Centrum Kultury

# O obrotach kół naukowych UO

Forum Studenckiego Ruchu Naukowego Uniwersytetu Opolskiego (FSRN UO) zrzesza ponad pięćdziesiąt najróżniejszych kół naukowych (licząc wraz z ich sekcjami, które – jak czas pokazuje – stają się coraz bardziej autonomiczne). Najwięcej jest na Wydziale Historyczno- Pedagogicznym. Warto tu dodać, że media studenckie (Radio Sygnały i Portal, Gazeta Studencka oraz Telewizja Studencka UO) także mają status koła naukowego, co niekiedy przysparza problemów Radzie Wykonawczej FSRN UO.

Przy Wydziale Chemii funkcjonuje tylko KN Chemików „Koronan”, przy Wydziale Matematyki, Fizyki i Informatyki są to KN Fizyków i Matematyków, a przy Wydziale Teologicznym działają dwa koła – Nauk o Rodzinie oraz Studentów Muzykologii. Lista kół naukowych jest długa; zapraszam na naszą stronę internetową, gdzie znajdują Państwo kompletny wykaz.

Zadania FSRN UO to: ułatwianie pracy kołom naukowym, dofinansowanie projektów i wyjazdów, promocja, współpraca z najróżniejszymi podmiotami, organizacja wydarzeń naukowych i kulturalnych, reprezentacja studenckiego ruchu naukowego na macierzystej uczelni oraz w środowisku akademickim i wśród Opolan. Bardzo dużo czasu spędzamy na doradztwie, wyjaśnianiu zawiłych kwestii (np. rozliczenia finansowe czy poszukiwanie alternatywnych źródeł pieniędzy). Penetrujemy Internet, gromadząc i upowszechniając informacje o stypendiach, konkursach, programach skierowanych do studentów, wyjazdach i konferencjach. Uporządkowaliśmy system wydawania pieniędzy; w skali roku fundusze ogromne nie są, ale na razie muszą wystarczyć. Liczę jednak, że w najbliższej przyszłości ulegnie to – zgodnie z obietnicami rektorskimi – zmianie.

Rok kalendarzowy (w takim cyklu działa FSRN UO) podzielony jest na trzy tury finansowania. W trzech terminach (20 stycznia, 1 maja, 15 października) składane są wnioski. Przekształciliśmy całkowicie wzór wniosku, który jest teraz niezwykle przejrzysty, np. pokazuje, w jakim stopniu projekty kół naukowych uzewnętrzniają przedsiębiorczość, są odpowiedzialne społecznie i rozwijają realizatorów projektu. Środki stałe to przedmioty, sprzęty, instalacje i udogodnienia, które posłużą kołom naukowym nie tylko raz. O fundusze na ten cel można starać się tylko i wyłącznie na początku roku. Oczywiście jest także ustanowiona rezerwa na nagłe przypadki (np. w ubiegłym roku dofinansowaliśmy publikację pokonferencyjną KN Hydrologów). Na rozliczenie projektu koła mają 30 dni, tworząc osobną dokumentację dla Rady Wykonawczej Forum w formie sprawozdania merytoryczno-financego. Pozwala nam to trzymać w ryzach roczny bu-

dżet. FSRN UO posiada osobny regulamin dotyczący podziału środków (jest na naszej stronie internetowej).

Ubiegły rok był pełen wrażeń. Emocji i więcej pracy przysporzyły wybory rektorskie. Współtworzyliśmy – kręcony przez Samorząd Studencki – LipDub, reprezentowaliśmy UO na I Opolskim Festiwalu Wolontariatu, dołączyliśmy do Ogólnopolskiego Związku Akademickich Kół Naukowych, współpracujemy z Akademickim Centrum Karier, Akademickim Inkubatorem Przedsiębiorczości – Akademickim Klubem Biznesu. Zaktualizowaliśmy stronę internetową, utworzyliśmy niezbędny w tych czasach profil na Facebooku, poprawiła się znacząco komunikacja między kołami a radą wykonawczą.

Przechodzimy płynnie od informowania za pomocą plakatów na rzecz elektronicznych powiadomień, używania telebimów, mediów studenckich, stron internetowych i mailingu. Ścisłe współpracujemy z Samorządem Studenckim oraz Parlamentem Studentów. Zostały wprowadzone zmiany w regulaminie, m.in. wydłużenie kadencji rady wykonawczej do dwóch lat i utworzenie komisji nadzwyczajnych. W ciągu roku dołączyło do nas dwanaście nowych kół, dofinansowaliśmy 37 wniosków, wykorzystując cały budżet. Rozpoczęliśmy pracę nad rocznikiem, który – mam nadzieję – niebawem ujrzy światło dzienne.

Jednym z większych zmagañ, a zarazem źródłem największych radości, była niedawno zorganizowana Gala Młodego Naukowca. W zamyśle jest to inicjowanie kolejnej uniwersyteckiej tradycji. To wyjątkowe spotkanie młodych naukowców z władzami uczelni, miasta, województwa i potencjalnymi partnerami do współpracy. Zależało mi na swobodnej atmosferze wymiany myśli i doświadczeń między młodymi a doświadczonymi ekspertami w swym fachu. To było fantastyczne wydarzenie, cieszę się ogromnie, że tak wielu wspaniałych gości zaszczyciło nas swoją obecnością. To bardzo pozytywnie wpłynęło na studentów. Liczę, że od tego momentu o pracy kół naukowych będzie można usłyszeć w szerszych kręgach. Korzystając z okazji, jeszcze raz dziękuję osobom, bez pomocy których nie byłoby tej wspaniałej inicjatywy.

Na koniec przedstawię zdobywców tytułu Najlepszego Koła Naukowego Swojego Wydziału 2012. Przy wyborze rada wykonawcza zwracała uwagę na zaangażowanie naukowe (wyjazdy na konferencje, organizacja wykładów otwartych, spotkań, itp., dorobek w pismach naukowych, publikacje pokonferencyjne), odpowiedzialność społeczną (działalność na rzecz Opolan, młodzieży ponadgimnazjalnej, organizowanie warsztatów, happeningów, akcji charytatywnych), zaangażowanie środowiskowe (aktywność w ramach

FSRN UO), działalność promocyjną (informowanie o swoich działaniach w mediach, pokazywanie rezultatów pracy).

Oto zwycięzcy:

Wydział Teologiczny – KN Nauk o Rodzinie; Wydział Chemii – KN Chemików „Koronan”; Wydział Matematyki, Fizyki i Informatyki – KN Fizyków; Wydział Przyrodniczo-Techniczny – KN Biotechnologów; Wydział Prawa i Administracji – Bona Fides; Wydział Filologiczny – KN Kulturoznawców; Wydział Historyczno-Pedagogiczny – KN Politologów. Ponieważ media studenckie traktowane są jako koła naukowe, a nijak nie można ich porównać do standardowego koła, należało rozpatrzyć je w innych kategoriach. Werdykt

brzmiał: Medium dynamicznie rozwijające się 2012 to Gazeta Studencka, Medium najbardziej zaangażowane akademicko 2012 – Radio Sygnały, a statuetkę za odważne poczynania mediowe 2012 odebrała Telewizja Studencka UO.

Koła naukowe nie działają dla nagród. A praca w kole to nie tylko nauka, ale i rozwijanie umiejętności interpersonalnych, zarządzanie organizacją, działania promocyjne. To nauka życia.

**Magdalena Kurowska**

przewodnicząca Forum Studenckiego Ruchu Naukowego  
Uniwersytetu Opolskiego

**Elżbieta Trela-Mazur**

## Portret chorych na Polskę

Niesłabnącym zainteresowaniem naukowym cieszy się wciąż fenomen pokolenia, które wychowało się lub dojrzało w II Rzeczypospolitej, doznało okrucieństw wojny i walczyło na frontach o dopiero co odzyskaną niepodległość, utraciło ją, a wraz z połową terytorium kraju wszystkie dobra materialne, wreszcie zmuszone zostało do banicji i rozproszyło się po świecie. Czy można mówić o pokoleniu straconym i przegranym?

Uczciwa i patriotyczna postawa, nieustający zapał w realizacji śmiałych wizji, bardzo często także dowcip i wielka kultura osobista charakteryzują bardzo wielu tych już dziś leciwych Polaków. Dostrzec wspomniane cechy możemy jeszcze u żyjących naszych babek i prababek. Współcześnie w Polsce pięknie reprezentuje je np. podziwiany za stałość charakteru i elokwencję Władysław Bartoszewski, środowiska nieżyjących już: Jerzego Turowicza, Kisiela, Wisławy Szymborskiej i wielu innych...

Za granicą pozostali i działali redaktorzy „Kultury” paryskiej, „Zeszytów Literackich”, Radia Wolna Europa i najliczniejsze w Europie środowisko londyńskie. Mniej rozpoznawalni są ci, którzy wyemigrowali w czasie i po wojnie za ocean. Jednakże ich zasługi w walce o Polskę demokratyczną i europejską okazują się wyjątkowe, co udokumentowała w sposób naukowy i bezdyskusyjny prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak w naukowym opracowaniu: *Polska w Nowym Jorku*.

Na polskim rynku naukowym jest to pierwsza, kompleksowa, tak mocno osadzona w dokumentacji źródłowej, prasowej i wspomnieniowej oraz w literaturze

naukowej praca, pokazująca szeroką panoramę postaci, organizacji, poglądów i politycznych koncepcji, które wywoływały burzliwe dyskusje w klubach, na łamach prasy polonijnej i polskich rozgłośni w Ameryce. Ta dyskusja nad drogami odrodzenia Polski niepodległej przedstawiona została poprzez aktywność publiczną i publicystyczną co najmniej kilkudziesięciu *chorych na Polskę* polityków i działaczy – głównie piłsudczyków osiadłych w USA.

Przewijają się na kartach tego dzieła liczne, wybitne osobistości przedwojennej Rzeczypospolitej na czele z Wacławem Jędrzejewiczem, wiceministrem skarbu, ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego (bratem premiera i reformatora Janusza Jędrzejewicza), Józefem Retingerem (współpracownikiem gen. Władysława Sikorskiego), Feliksem Grossem, działaczem PPS-u, prawnikiem, socjologiem, a po wojnie wykładowcą na kilku europejskich i amerykańskich uniwersytetach, także autorem wielu znanych w świecie publikacji, a przede wszystkim wieloletnim prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku. W Kongresie Polonii Amerykańskiej – tym potężnym instrumencie w działaniach na rzecz sprawy polskiej i kuźni pomysłów programowych aktywnie uczestniczyli m.in.: Stefan Korboński, Kazimierz Łukomski, Jerzy Lerski, Zygmunt Nagórski jr, Jan Nowak-Jeziorański oraz Bolesław Wierzbiański. Temu ostatniemu, jako patronowi Collegium Civitas na Uniwersytecie Opolskim i wieloletniemu redaktorowi naczelnemu najbardziej poczytnego pisma polskiego na amerykańskim

rynku: „Nowego Dziennika”, należałoby poświęcić tu znacznie więcej miejsca – uczyniła to jednak w swej pracy prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak.

Lista postaci przewijających się przez karty tej książki obejmuje nie tylko polityków i działaczy, także poetów, pisarzy i aktorów, którzy zainicjowali w 1953 r. działalność Klubu Literacko-Artystycznego „Zielony Balonik” (bardzo zasłużonego dla tzw. bratniej pomocy), oraz wojskowych, naukowców, hrabiów i ziemian polskich, profesorów lwowskich, wileńskich, krakowskich, a nawet biznesmenów. Atmosferę poważnych dyskusji i towarzyskich spotkań Polaków ilustrują liczne, często także dowcipne i satyryczne opisy oraz cytaty z relacji bezpośrednich uczestników i obserwatorów wydarzeń. Tak barwna paleta postaci czyni tę książkę zupełnie wyjątkowym źródłem poznania środowiska polskich i amerykańskich obyczajów, poziomu i temperatury dyskusji, polemik toczonych w salonach, instytucjach na łamach gazet i radia w ciągu powojennego półwiecza.

Wspomnieć wypada, że zmagania o polską rację stanu musiały się przebić przez mury amerykańskiego izolacjonizmu (jest to powracająca od 1823 r. tendencja w polityce zagranicznej USA), charakterystycznego do dziś dla większości amerykańskiego społeczeństwa. Odbywały się też one w bardzo zmiennych i burzliwych czasach zimnej wojny w stosunkach międzynarodowych i trudnych okresach wewnętrznych problemów społecznych w Ameryce.

Tę prowadzoną na wielu frontach wojnę pięćdziesięcioletnią pokolenie polskich tułaczy w końcu wygrało! Współczesne młode pokolenie powinno uczyć się i podziwiać tę nieustającą determinację w działaniu i wiarę w sukces, który był efektem wieloletnich, różnorodnych zabiegów.

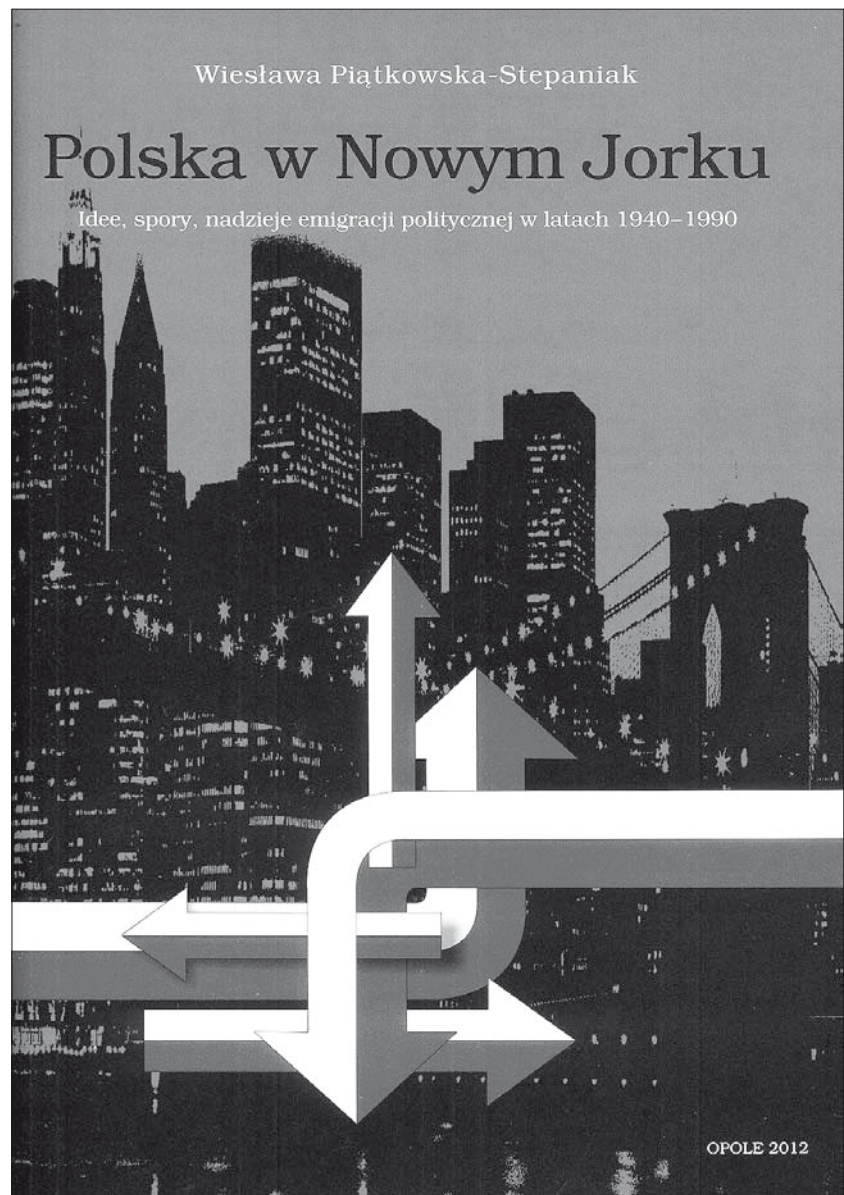
Wielość wątków, piękna narracja, swoboda opisu postaci i sytuacji, liczne zabawne cytaty powodują, że naukowe opracowanie czyta się z przyjemnością i nieustannym zaciekawieniem – jednym tchem niemal (co jednak nie jest możliwe przy tej objętości książki). Jakże wiele mówią już same tytuły rozdziałów np.: *Głos wolny, wolność wspomagający; Wolna Europa w Nowym Jorku, „Mały ONZ” – czyli Zgromadzenie Europejskich Narodów Ujarcz-*

*mionych, Spory o zgodę, Dwa skarby – mniej pieniędzy... itd.*

Staranna szata graficzna, liczne fotografie postaci i wydarzeń, a nade wszystko słownik przybliżający biografie 53 znamienitych, najbardziej zasłużonych Polaków, wśród których nie ma Zbigniewa Brzezińskiego, gdyż jest amerykańskim politykiem i politologiem, obecnym jednak na łamach książki, wreszcie wspomniana już ogromna baza źródłowa, czynią z tej pracy dzieło naprawdę wybitne i jakże ważne w dziejach polskiej myśli politologicznej.

Elżbieta Trela-Mazur

Wiesława Piątkowska-Stepaniak, *Polska w Nowym Jorku. Idee, spory, nadzieje emigracji politycznej w latach 1940–1990*, Opole 2012, ss.504.



Okładka książki *Polska w Nowym Jorku*

Piotr Sadowski

## Opolskie stronice w krakowskim *Słowniku*

W 2012 r. w Wydawnictwie *Universitas* ukazał się, liczący 1513 stron, *Słownik historii i tradycji Uniwersytetu Jagiellońskiego* wybitnego romanisty polskiego prof. zw. dr. hab. Janusza Sondla. W tym samym wydawnictwie ukazał się wcześniej zawierający ponad 100 000 haseł bardzo cenny i przydatny, uwzględniający łacinę antyczną i średniowieczną, *Słownik łacińsko-polski dla prawników i historyków*, za który Profesor otrzymał Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, zwaną „polskim Noblem” za 1998 rok.

Profesor Janusz Sondel w latach 1984–1987 był kierownikiem Zakładu Prawa Rzymskiego, a w latach 2003–2007 kierownikiem Katedry Prawa Rzymskiego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego. Piastował wiele funkcji uniwersyteckich,

m.in. w latach 1981–1987 był prodziekanem Wydziału Prawa i Administracji UJ, a w latach 1990–1993 prorektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od 2001 r. jest także rektorem Wyższej Szkoły Turystyki i Ekologii w Suchej Beskidzkiej.

Dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego zajmują ważne miejsce w badaniach profesora Janusza Sondla – do tego tematu wraca w licznych pracach, a zwłaszcza w monografii *Zawsze wierny. Uniwersytet Jagielloński a Kościół rzymskokatolicki* (Kraków 2006).

*Słownik historii i tradycji Uniwersytetu Jagiellońskiego* wpisuje się w nurt tych badań.

*Słownik...* zawiera hasła rzeczowe i biograficzne. Dzieje *Almae Matris* zostały przedstawione w szerszym kontekście historycznym, np. na tle losów in-



13 maja 2010 r., podczas VI Opolskiego Colloquium Prawno-Historycznego w Niewodnikach, prof. Janusz Sondel (drugi z prawej) otrzymał Nagrodę Peregryna z Opola

nych uniwersytetów europejskich, z uwzględnieniem wpływów Kościoła w średniowieczu. Autor był przy tym pomny tego, że uniwersytet to nie tylko przejrzyste struktury i funkcjonalne pomieszczenia, ale przede wszystkim ludzie. Profesor przypominał więc zmarłych pracowników naukowych, nie pominął też szczególnie zasłużonych darczyńców Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z grona żyjących uczynił wyjątek dla doktorów *honoris causa* UJ, kolejnych rektorów, biskupów i sławnych absolwentów.

*Słownik historii i tradycji Uniwersytetu Jagiellońskiego* to skarbnica faktów, i to nie tylko o samej Akademii Krakowskiej. Słusznie podkreśla profesor Sondel, że układ hasłowy tego wielostronicowego dzieła pozwala na jego wybiórczą lekturę. Wiele hasel dotyczy kształtowania się tradycji uniwersytetu np.: *Ceremoniał uniwersytecki, Łańcuch rektorski, Obiady profesorów, Odnowienie doktoratu, Patron Uniwersytetu, Pieczęć, Pierścień rektorski, Święto Uniwersytetu, Tablice pamiątkowe, Tradycja uniwersytecka* i inne. Dzisiaj anachronizmem musi wydawać się sytuacja opisywana przez profesora Sondla w haśle *Kobiety na Uniwersytecie*, że córka Jana Andrzejowego (zmarłego w 1348 r.), która przez pewien czas prowadziła zamiast niego wykłady, musiała być zasłonięta kotarą, aby nie rozpraszać scholarów. Wzruszający jest opis Nawojki, która w latach 1415 – 1417 w męskim przebraniu miała studiować na Uniwersytecie Jagiellońskim, aż do momentu, gdy w czasie jej choroby prawda wyszła na jaw – Nawojka miała wtedy za karę zostać zamknięta w klasztorze. Pociuszające jest to, że z czasem miała zostać w nim ksienią... W 1894 r. Senat UJ zgodził się, aby trzy kobiety studiowały farmację, ale ich uczestniczenie w wykładach uzależnił od woli poszczególnych wykładowców. Ta senacka decyzja o kilka lat wyprzedziła decyzję ministerialną, która dopiero w roku akademickim 1899/1900 pozwoliła kobietom na pełnoprawne studiowanie. Jakże cenne jest objaśnienie (w haśle *Uniwersytet*) różnic terminologicznych między *starożytnymi uniwersytetami, uniwersytetami a studium generale*. Jakże wstydliwie brzmi dzisiaj informacja, podana w haśle *Żydzi*, że były lata, gdy na Uniwersytecie Jagiellońskim wyznaczono specjalne ławki dla Żydów, tworząc tzw. getto ławkowe.

Z hasła *Lacina* dowiadujemy się, że Erazm z Rotterdamu postulował, aby greki i łaciny uczyć już dzieci, jak i tego, że w Akademii Krakowskiej, w 1533 r., pojawiło się zarządzenie, by scholarzy rozmawiali ze sobą: latem od godziny 10.00 do 22.00, a zimą od 12.00 do 24.00, wyłącznie w języku łacińskim. Autor *Słownika* informuje nas o karach, jakie groziły za nieprzestrzeganie tego zarządzenia: jeden denar dla przyłapanych przez *scriptores* na mówieniu po polsku, a także chłosta w przypadku młodszych scholarów.

Ze *Słownika* prof. Janusza Sondla dowiadujemy się także o tym, że historię Uniwersytetu Jagiellońskiego współtworzyli ludzie wywodzący się z Opolszczyzny: *Jan z Kluczborka, Henryk z Brzegu zw. Czechem*

= *Czech Henryk z Brzegu, Goldberg Mikołaj z Nysy, Franciszek (Krzyszowic, Cresewitz, Creysewicz) z Brzegu, Wawrzyniec Neuschin (Kaczer) z Raciborza zwany Wawrzyńcem z Raciborza, Bernard (Mikosz) z Nysy = Mikisch alias Crontiphul z Nysy, Mikołaj Tempelfeld z Brzegu, Taczel Jan z Raciborza, Faber Franciszek z Nysy czy Erazm z Nysy*. Wspomniany został także Walenty Krautwald, nauczający w Nysie Fabera Franciszka z Nysy.

Jan z Kluczborka (ok. 1370 po 1423 r.) był profesorem i dziekanem Akademii Krakowskiej. Wcześniej studiował w Pradze. Po zwycięstwie grunwaldzkim wygłosił mowę pochwalną ku czci Jagiełły. Opuściwszy Kraków osiadł w klasztorze augustianów we Wrocławiu. Czech Henryk z Brzegu (zm. po 1428 r.) według Długosza był profesorem Akademii Krakowskiej, a nawet dziekanem Wydziału Sztuk Wyzwolonych (1408/1409), choć profesor Sondel przyznaje, że jest to źródło odosobnione. Oskarżony był o szerzenie husytyzmu i magii. Osądzony, uniknął kary – dzięki interwencji królowej. Mikołaj Goldberg z Nysy (zm. w 1429 r.) był profesorem, a nawet (w 1421 r.) rektorem Akademii Krakowskiej; nie podjął dyskusji z poselstwem husyckim, które wtedy przybyło do Krakowa. Franciszek (Krzyszowic, Cresewitz, Creysewicz) z Brzegu, urodzony w Krzyszowicach koło Brzegu, zmarł w 1432 r. Był profesorem sztuk wyzwolonych i teologii, dziekanem Wydziału Sztuk Wyzwolonych, a nawet dwukrotnie rektorem (w latach 1407 i 1429/1430). Przed samą śmiercią powierzono mu urząd dziekana teologii. Współpracował z Janem Husem, opowiadał się za wyższością soboru nad papieżem.

Zwolennikiem koncyliaryzmu okazał się także Wawrzyniec Neuschin (Kaczer) z Raciborza zwany Wawrzyńcem z Raciborza (ok. 1393 – ok. 1448), który swoje poglądy zmanifestował w *Determinatio Basiliensis*. Był wykładowcą filozofii, astronomii, a nawet matematyki, później dziekanem Wydziału Sztuk Wyzwolonych (1421/1422 i 1426/1427). W latach 1428 – 1429 piastował urząd rektora. Około 1424 r. rozpoczął studiowanie teologii, osiągając w tej dziedzinie tytuł profesora. Różnie oceniana jest jego działalność teologiczna, niewątpliwie jednak był znakomitym kaznodzieją.

Bernard (Mikosz) z Nysy (zm. w 1490 r.) był profesorem sztuk wyzwolonych i teologii. Doktorat z teologii uzyskał w 1484 r. Przejawiał zainteresowania humanistyczne. Sprawował funkcję dziekana Wydziału Filozofii (1470/1471) i rektora Akademii (1489/1490). Zmarł podczas pełnienia funkcji rektorskiej, pochowano go w kościele św. Floriana w Krakowie. Mikołaj Tempelfeld z Brzegu (przed 1400 – 1474) jako dziekan Wydziału Sztuk Wyzwolonych studiował teologię, w 1433 r. objął funkcję rektora, później nauczał teologii. Komentował pisma Arystotelesa, krytykował Jerzego z Podiebradu, swoimi kazaniami dbał o morale studentów. Profesor teologii i opat cysterski Taczel Jan z Raciborza (ok. 1440–1503) w czasie wykładów lan-

sował albertyzm i tomizm. Faber Franciszek z Nysy (1497–1565) urodził się faktycznie w Otmuchowie, a studiował w Krakowie i Lipsku. Krytykując husytyzm, bronił luteranizmu. Pozostawił po sobie poematy *Bohemia* i *Sabothus sive Silesia*. Związany ze Świdnicą i Wrocławiem, przejawiał tendencje antypolskie. Natomiast Erazm z Nysy (XIV/XV w.) piastował funkcję dziekana Wydziału Sztuk Wyzwolonych w Pradze w 1401 r., a dwukrotnie, w latach 1403/1404 i 1412/1413, w Krakowie.

W hasłach rzeczowych figuruje także znajdujące się w Krakowie, przy ul. Gołębiej 14–18, *Collegium Opolskie*, odnowione w latach 1979–1986 ze środków województwa opolskiego. Na początku XIX w. w budynku nr 14 znajdowała się drukarnia uniwersytecka. Dzisiaj *Collegium Opolskie* służy Instytutowi Filologii Polskiej, Instytutowi Sztuk Wizualnych oraz Instytutowi Bibliotekoznawstwa i Informatyki. W tym *Collegium* przed laty uczył się student filologii polskiej Karol Wojtyła.

Zdarzają się w *Słowniku* i nieścisłości. Omawiając sylwetkę Wacława Osuchowskiego profesor Sondel wspominał, że w Paryżu zdobywał on wiedzę pod kierunkiem Pierre’a Collineta. Tymczasem nie był to Pierre, a Paul Collinet (1869 – 1938), który najczęściej tak właśnie podpisywał swoje dzieła, czasem podpisując się także: M. Collinet (od Monsieur). Na nagrobku profesora wyryto *Paul Collinet*, choć naprawdę nazywał się Jean Paul Joseph Pol Collinet (W 2010 r. dane mi było spędzić jakiś czas w bibliotece im. Paula Collineta w Institut de Droit Romain (Université Panthéon-Assas) w Paryżu, a nawet przymierzyć przechowywaną tam z pietyzmem jego togę). Ze *Słownika* możemy się też dowiedzieć, że w roku 1433 rektorem Akademii Krakowskiej był Andrzej Tempelfeld z Brzegu. Tym-

czasem był nim wzmiankowany już wcześniej przez profesora Sondla – Mikołaj Tempelfeld z Brzegu.

Uderzająca jest też miłość, jaką autor darzy swoją *Alma Mater*. Widać to wyraźnie choćby w hasle: *Rolla Uniwersytetu Jagiellońskiego*, w którym Profesor omówił szczegółowo wiele osiągnięć środowiska uniwersyteckiego na przestrzeni lat. Początkowo Akademia Krakowska spełniała bowiem rolę służebną względem państwa, rządzących czy Kościoła. Zasiadając w różnych komisjach, opracowując rejestry czy podręczniki z różnych dziedzin, profesorowie stawali się czynnikami opiniotwórczym, a swoimi innowacjami, choćby w zakresie chirurgii, ułatwiali życie potomnym. Uczelnia zawsze dostarczała państwu kompetentnych specjalistów poszczególnych dziedzin, była ostoją patriotyzmu i kuźnią postaw patriotycznych. Nie dziwi zatem, że Sejm RP w okolicznościowej uchwale w 600. rocznicę odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego nazwał tę uczelnię „dobrem całego narodu”.

Uniwersytet Jagielloński chlubi się, że związani z nim byli między innymi: Mikołaj Kopernik, Mikołaj Rej, Bernard Wapowski, Maciej z Miechowa, Jan Dantyszek czy Jan Kochanowski. *Słownik historii i tradycji Uniwersytetu Jagiellońskiego* jest jedną z wielu, aczkolwiek bardzo ważną przesłanką, by móc powiedzieć, że szczęśliwym okazało się to, że naukami romanistycznymi i prawnohistorycznymi przyszło paruć się Profesorowi Januszowi Sondlowi.

**Piotr Sadowski**

Janusz Sondel, *Słownik historii i tradycji Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Kraków 2012, ss. 1513.

## Noty o autorach:

**Dr Maciej Borkowski** – historyk, pracownik naukowy Instytutu Śląskiego w Opolu, badacz historii Żydów i miast górnośląskich. Autor książek: *Śladami Żydów. Dolny Śląsk, Opolszczyzna, Ziemia Lubuska*, Warszawa 2008 (z Andrzejem Kirmielem i Tamarą Włodarczyk), *Gmina żydowska w Opolu w latach 1812–1944*, Opole 2009, *Biała – historia i współczesność*, Opole–Biała 2011 (z Markiem Pawłem Czapląnskim).

**Marian Buchowski** – publicysta, pisujący też wiersze, autor książkowych zbiorów reportaży oraz biografii Edwarda Stachury. Publikował m.in. w „Odrze” i „Polityce”, pracował w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Opole” i „Trybunie Opolskiej”. Współpracuje z katowickim miesięcznikiem „Śląsk”.

**Józef Chyży** – absolwent Instytutu Sztuki UO (2008 r., dyplom z wyróżnieniem). Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, grafiką oraz ilustracją. Jego prace znajdują się w kolekcjach prywatnych w Polsce, Niemczech, Francji, Szwajcarii oraz Stanach Zjednoczonych. Jest laureatem I Nagrody na Quadriennale Drzeworytu i Linorytu Polskiego 2011, Nagrody Prezydenta Miasta Opola w Dziedzinie Kultury 2010, Nagrody ZPAP na Salonie Jesiennym 2010, 2011 oraz Honorowego Wyróżnienia Marszałka Województwa Opolskiego 2012.

**Dr Joanna Czaja** – absolwentka Uniwersytetu Opolskiego (ochrona środowiska), adiunkt w Zakładzie Zoologii Bezkręgowców Samodzielnej Katedry Biosystematyki UO. Tematy badawcze: Rewizja afrotropikalnych rodzajów żółwinkowatych (Hemiptera: Heteroptera: Scutelleridae).

**Dr hab. Beata Gaj** – adiunkt w Katedrze Cywilizacji Śródziemnomorskiej Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego. Badaczka historii starożytnej Grecji i Rzymu. Opublikowała książki: *Tradycje retoryczne na dawnym Śląsku (XVI–XVIII wiek)* (Katowice–Opole 2007) i *Ślaczka. Pomiędzy rustica grossa i Pallas Silesiae – portret kobiety w literaturze łacińskiego Śląska* (Opole 2010), współautorka kilku podręczników.

**Prof. dr hab. Stanisław Gajda** – kierownik Katedry Języka Polskiego Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO. Członek wielu organizacji naukowych, m.in. Międzynarodowego Komitetu Słowistów, Komitetu Językoznawstwa PAN, Komitetu Słowianoznawstwa PAN, Rady Języka Polskiego, Rady Naukowej Instytutu Języka Polskiego PAN, Rady Naukowej Instytutu Badań Literackich PAN. Członek korespondent PAN. Zainteresowania badawcze: język polski, języki słowiańskie (teoria i historia języka, onomastyka, socjolingwistyka, teoria tekstu, stylistyka, leksykologia i kultura języka).

**Jan Goczoł** – poeta, publicysta, absolwent opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, autor książek poetyckich: *Małgorzata* (1961), *Topografia intymna* (1961), *Sprzed drzwi* (1969), *Manuskrypt* (1974), *Poezje wybrane*

(1985), *Znad Odry* (1996), *Zapisy śladowe* (1999), *Z pogorzelska* (2011) i felietonów literackich *Na brzoazowej korze* (2000).

**Andrzej Hamada** – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od sześćdziesięciu lat.

**Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski** – pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji UO. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV–XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

**Dominika Kaluzińska** – studentka III roku filologii polskiej (I stopnia) Uniwersytetu Opolskiego, przewodnicząca Studenckiego Koła Naukowego Literatury i Kultury Modernizmu.

**Łukasz Kropiowski** – historyk sztuki, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Zajmuje się sztuką współczesną, pracuje w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu.

**Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO** – pracownik naukowy Instytutu Filozofii UO. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

**Dobromir Kożuch** – opolski poeta, autor trzech tomików wierszy.

**Magdalena Kurowska** – przewodnicząca Forum Studenckiego Ruchu Naukowego Uniwersytetu Opolskiego.

**Prof. dr hab. Barbara Kurzak** – pracownik naukowy Wydziału Chemii UO. W swojej pracy naukowej zajmuje się głównie badaniem procesów tworzenia związków koordynacyjnych w wyniku reakcji jonów metali ze związkami organicznymi (ligandami) o znaczeniu biologicznym w roztworach wodnych, w szerokim zakresie pH. Od wielu lat prowadzi zajęcia dydaktyczne z chemii kosmetycznej.

**Cecylia Ławniczak-Bohdziewicz** – absolwentka opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej z 1959 r. (filologia polska).

**Kinga Markowska** – studentka II roku filologii polskiej (studia II stopnia) Uniwersytetu Opolskiego, członkini Koła Naukowego Onomastów UO.

**Justyna Mazurek** – studentka V roku prawa na Uniwersytecie Opolskim, koordynator ds. Kliniki Prawa Przy Wydziale Prawa i Administracji UO.

**Leszek Ołdak** – grafik, plakacista, rysownik, ilustrator i scenograf. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Karykatury w Warszawie, Muzeum Plakatu w Wilanowie, Biurze Wystaw Artystycznych w Zamościu, Archiwum Satyrykonu w Legnicy oraz w kolekcjach prywatnych w kraju i zagranicą.

**Prof. dr hab. Piotr Obrączka** – emerytowany pracownik Uniwersytetu Opolskiego (specjalność: literatura polska i niemiecka), autor ponad 170 publikacji, w tym



14 książek. Jego zainteresowania naukowe dotyczą literatury polskiej okresu Młodej Polski, zwłaszcza dzieła Jana Augusta Kisielewskiego oraz stosunków literackich polsko-niemieckich, ze szczególnym uwzględnieniem polskiej recepcji literatury niemieckojęzycznej.

**Tadeusz Parcej** – opolski fotografik. Swoje zdjęcia publikował w pismach artystycznych: „Format”, „Exit”, „Sztuka”, „Dialog”, „Teatr” oraz wydawnictwach książkowych. Autor wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. *Kościół drewniane Opolszczyzny* (2007), *Album rodzinny* (2009). Stały współpracownik „Indeksu”.

**Ks. dr hab. Joachim Piecuch, prof. UO** – pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia człowieka, ontologia, fenomenologia.

**Prof. dr hab. Anna Pobóg-Lenartowicz** – kierownik Katedry Historii Średniowiecznej Instytutu Historii UO. Zainteresowania naukowe: monastycyzm średniowieczny (ze szczególnym uwzględnieniem kanoników regularnych, cystersów i dominikanów), dzieje Księstwa Opolskiego (do 1532 r.), historiografia średniowieczna, nauki pomocnicze historii.

**Jerzy Pośpiech** – absolwent historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu (studia w latach 1970–1975).

**Ks. dr Piotr Sadowski** – adiunkt w Katedrze Doktryn Polityczno-Prawnych i Prawa Rzymskiego Wydziału Prawa i Administracji UO.

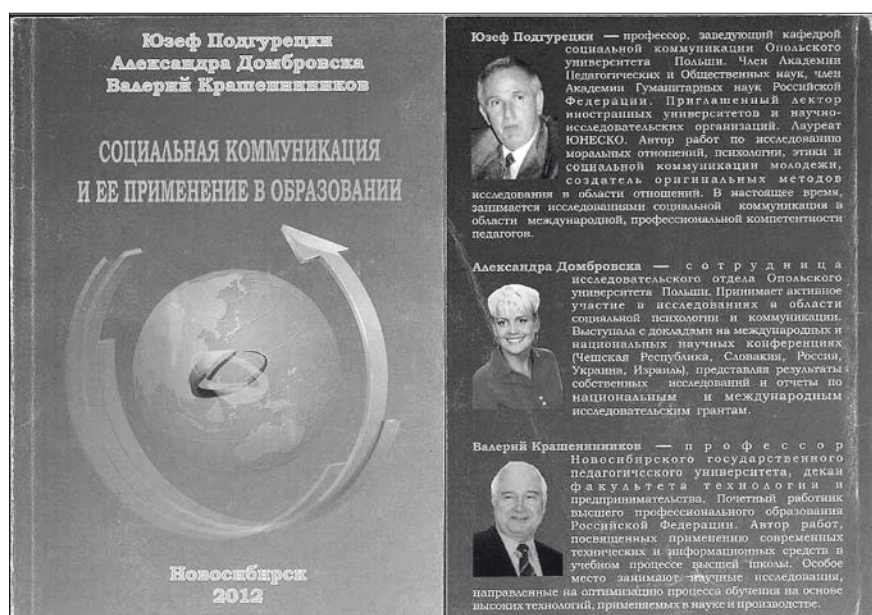
**Bartosz Suwiński** – poeta, krytyk literacki, doktorant filologii polskiej na Uniwersytecie Opolskim. Poezję, prozę, szkice krytyczne i artykuły naukowe publikował m.in. w „Kresach”, „Frazie”, „Toposie”, „Polonistyce”, „Odrze”, „Śląsku”. Opublikował tom wierszy *Sehir* (2010).

**Dr Adam Wierciński** – starszy wykładowca w Katedrze Literatury Polskiej (Zakład Literatury XX i XXI wieku) Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

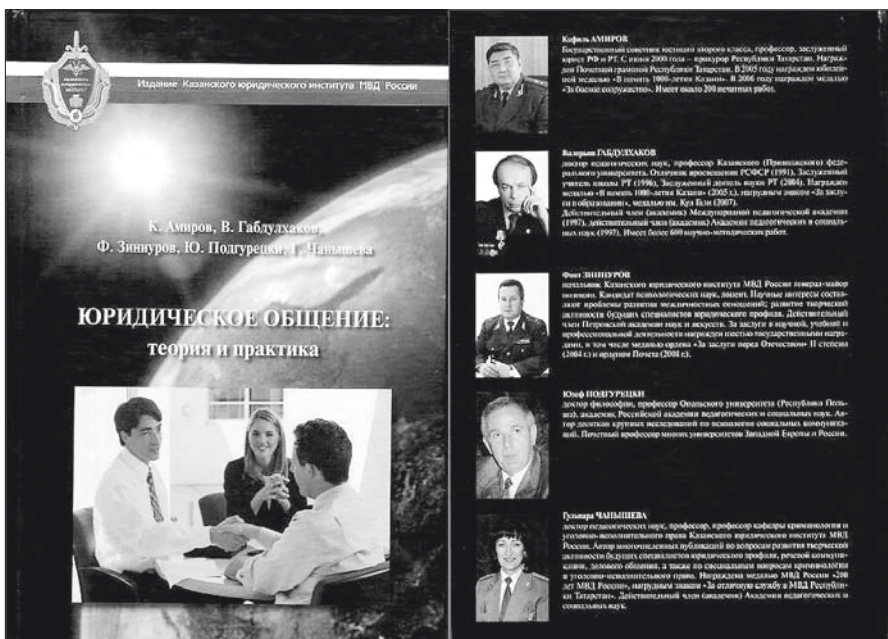
**Agnieszka Wojcieszek** – studentka II roku filologii polskiej (studia II stopnia) Uniwersytetu Opolskiego, członkini Koła Naukowego Onomastów UO i Koła Naukowego Literatury i Kultury Modernizmu.

**Dr hab. Aleksander Woźny** – zajmuje się historią najnowszą, w tym m.in. historią wojskowości, operacjami wywiadu i kontrwywiadu oraz kwestiami bezpieczeństwa państwa. Autor licznych artykułów naukowych. Najnowsza publikacja to *Łużyce w planie dywersji polskiego wywiadu wojskowego w latach 1931–1939* (Opole 2010).

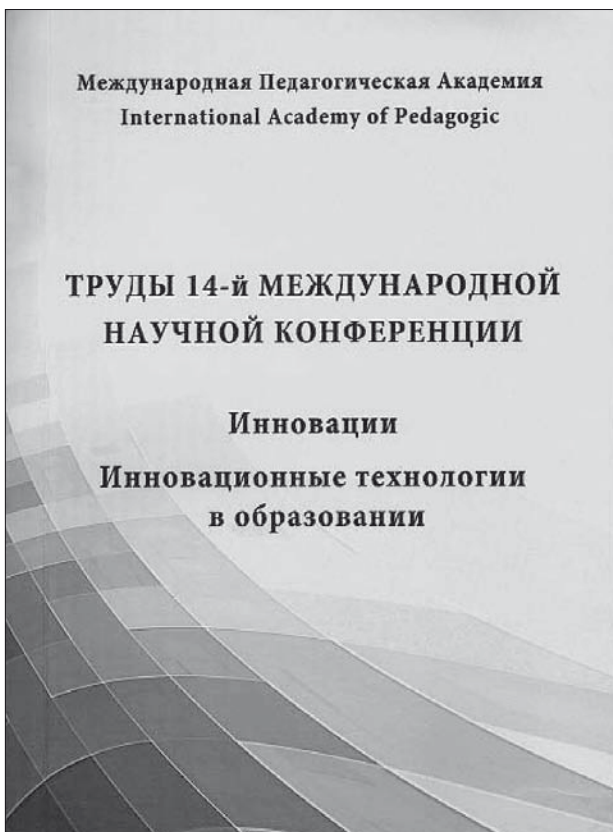
## Książki wydane za wschodnią granicą



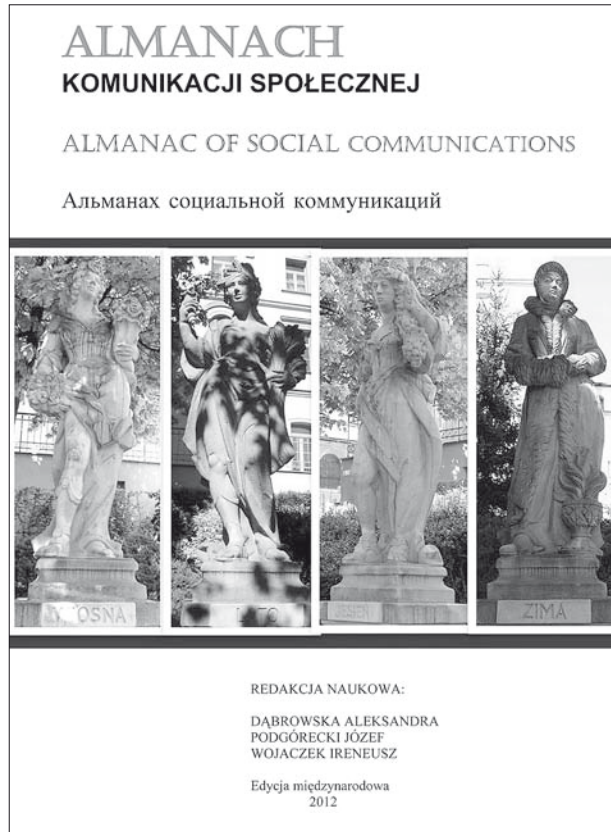
**Podgórecki J., Dąbrowska A., Kraszeninnikov W.W.,** *Socjalnaja komunikacija i jejo primienienie w obrazowaniu*, wyd. Ministerstwo Szkolnictwa i Nauki Rosyjskiej Federacji, Nowosybirskij Gosudarstwiennij Pedagogiczeskij Universitet, Nowosybirsk 2012, ss. 306, ISBN 978-5-85921-878-3.



**Podgórecki J., Amirov K., Gabdulhakov W., Zinnurov F., Czanyshewa G.,** *luridyczeskije obszczenie: teoria i praktyka. Uczebnoje posobie*, wyd. Kazański luridyczeskij Uniwersitet Ministerstwa Wnutriennych Diel Rosji, Centrum Innovacjonnych Technologii, Kazań 2012, ss. 328, ISBN 978-5-901593-28-8.



Artykuły pracowników Katedry Komunikacji Społecznej Instytutu Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego ukazały się także w czasopiśmie wydawanym w Moskwie: **J. Podgórecki, A. Dąbrowska,** *Atrybucje empatii w komunikacji społecznej*, [w:] *Innowacji. Innowacjonnyje technologii w obrazowani*, International Academy of Pedagogic, Moskwa 2012, s. 2-27, ISBN 978-83-93-46-05-9-2. **J. Podgórecki, A. Dąbrowska,** *The application of modern Communications theory in the process innovation and creativity*, [w:] *Innowacji. Innowacjonnyje technologii w obrazowani*, International Academy of Pedagogic, Moskwa 2012, s. 28-78, ISBN 978-83-93-46-05-9-2.



**Dąbrowska A., Podgórecki J., Wojaczek I.** (red.), *Almanach Komunikacji Społecznej*, wyd. American Institute of Social Sciences and Management in Education, Altajska Akademia Pedagogiczna, Katedra Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Opolskiego, Kuzbaska Akademia Pedagogiczna, Państwowy Uniwersytet w Gorno Altajsku, Tatarski Państwowy Humanistyczno-Pedagogiczny Uniwersytet, Uniwersytet Łomonosowa w Moskwie, Uniwersytet w Bańskiej Bystrzycy, Uniwersytet w Ostrawie, Uniwersytet w Taganrogu, Uniwersytet Jagielloński, Wydanie Międzynarodowe 2012, ss. 264, ISBN 978-83-934605-4-0.

## Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO



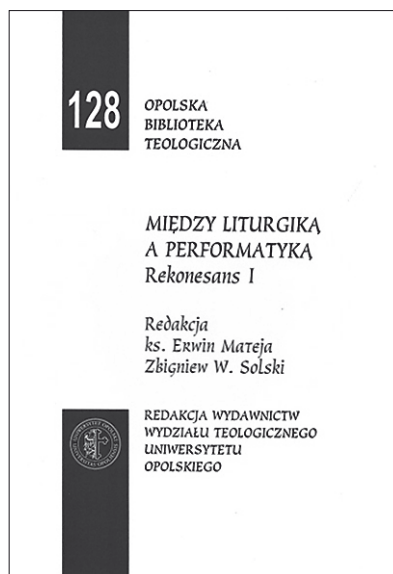
**Jaskóła Piotr** (red.), *Studia Oecumenica* (czasopismo, nr 12), Opole 2012, 398 s., cena 26,25 zł



W niniejszym czasopiśmie publikowane są artykuły dotyczące ruchu ekumenicznego, dialogów międzywyznaniowych oraz doktryny różnych wyznań chrześcijańskich.



**Mateja Erwin, Solski Zbigniew** (red.), *Między liturgiką a performatyką* (seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 128), Opole 2012, 343, cena 13,65 zł



Tom jest pokłosiem międzynarodowej konferencji naukowej *Między liturgiką a performatyką*, która odbyła się w Opolu w dniach 23 – 24 listopada 2011 r.



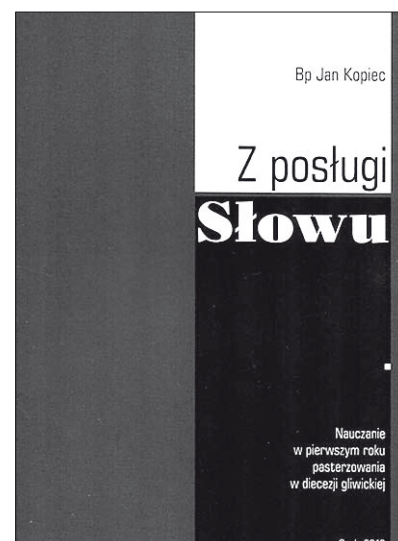
**Worbs Marcin** (red.), *W przestrzeni wiary* (seria: Sympozja, nr 83), Opole 2013, 228 s., cena 10,50 zł

Ta publikacja, stanowiąca pokłosie najnowszej serii Wielkopostnych Wykładów Otwartych, organizowanych rokrocznie przez Wydział Teologiczny UO, jest niejako drugą, dopełniającą częścią publikacji zawierającej teksty ubiegłorocznych wykładów. Zarówno

w 2012, jak i 2013 roku wykłady otwarte były bowiem poświęcone tematyce wiary, w związku z aktualnie przeżywanym Rokiem Wiary.



**Kopiec Jan**, *Z postugi Słowu* (seria: Pomoce Duszpasterskie, nr 20), Opole 2013, 157 s., cena 9,45 zł



W książce zostały zawarte kazania i homilie bp. Jana Kopca, wygłoszone w pierwszym roku pasterzowania w diecezji gliwickiej.

Przygotował: **Piotr Juszczyszyn**

## Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego



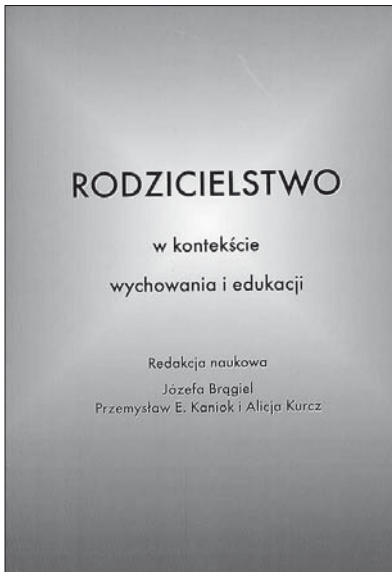
**Brągiel J., Kaniok P. E., Kurcz A.** (red. nauk.), *Rodzicielstwo w kontekście wychowania i edukacji*, ISBN 978-83-7395- 526-4, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 490 s. oprawa miękka, cena 42,00 zł

Książka stanowi zbiór tekstów autorstwa polskich i zagranicz-

nych naukowców, którzy zajęli się, w sposób pośredni lub bezpośredni, problematyką rodzicielstwa w kontekście wychowania i edukacji. Z uwagi na wielowątkowość materiałów całość pogrupowano na trzy części. W części pierwszej – *Wychowawczo-edukacyjne role rodziców* – znalazły się teksty poświęcone różnorodnym formom oddziaływania rodziców na dzieci

i młodzież, poruszono także kwestię pomocy udzielanej krzywdzonym przez nich dzieciom. W części drugiej – *Edukacja i wspieranie rodziców* – zaprezentowano opracowania poświęcone kształceniu rodziców do rodzicielstwa oraz motywowaniu ich do realizacji swych ról. Część trzecia – *Rodzicielstwo w obliczu niepełnosprawności i niedostosowania* – zawiera

## Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego



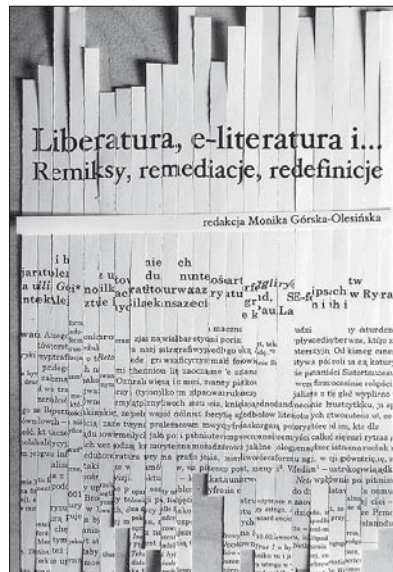
teksty dotyczące problemów rodzin będących w sytuacji kryzysowej oraz osób niedostosowanych społecznie.

Książka adresowana jest do tych osób, które przejawiają zainteresowania lub poszukują źródła wiedzy o rodzicielstwie w kontekście procesu wychowania i edukacji.



**Górska-Olesińska M.** (red. nauk.), *Literatura, e-literatura i... Remiksy, remediacje, redefinicje*, ISBN: 978-83-7395-515-8, Opole: Wyd. UO, 2012, format B5, 330 s., oprawa miękka, cena 28,35 zł

Tom przynosi rozprawy będące wynikiem interdyscyplinarnej dyskusji, w której udział wzięli zarówno badacze (kulturoznawcy, estetycy, literaturoznawcy, językoznawcy), jak i praktycy (twórcy i tłumacze) zainteresowani literaturą, e-literaturą, cyfrowymi narracjami, sztuką zmediatyzowanego słowa oraz problematyką kultur Internetu. Pośród włączonych do tomu artykułów znalazły się teksty o charakterze ogólnym (ich autorzy starają się wypracować aparat pojęciowy adekwatny do przemian, jakim w kulturze kształtowanej przez media elektroniczne i zja-



wiska konwergencji ulega szeroko definiowana piśmienność, medium książki, kategoria czytelnika, narracja), jak i teksty rozpatrujące poszczególne dzieła i strategie twórcze (projekty Pedra Meyera, Marka Ameriki, Wojciecha Bruszewskiego, Stephanie Strickland, Toma Phillipsa i innych).

Książka adresowana jest nie tylko do środowiska akademickiego, ale i do szerszego grona czytelników. Może być wykorzystywana w dydaktyce akademickiej na studiach kulturoznawczych, medjoznawczych, filologicznych, a także na uczelniach artystycznych.



**Włoch A.** *Edukacja teatralna w procesie kształcenia i wychowania młodzieży szkół gimnazjalnych i licealnych na Opolszczyźnie*, (Studia i Monografie nr 484), ISBN 978-83-7395-493-9, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 372 s., oprawa miękka, cena 42,00 zł

Książka poświęcona jest tematyce edukacji teatralnej i sposobów jej realizacji przez nauczycieli szkół gimnazjalnych i licealnych, a także działalności związanej z wyzwaniem aktywności twórczej uczniów i kształtowaniem ich



kompetencji kulturowych. W publikacji przedstawiono charakterystykę teatru i edukacji teatralnej w ujęciu teoretycznym oraz wyniki badań diagnostycznych, ukierunkowanych na poznanie dydaktycznych i wychowawczych aspektów edukacji teatralnej, podejmowanej przez nauczycieli w szkołach województwa opolskiego. Monografia stanowi również bogate źródło metod i form wspomagających proces kształcenia i wychowania teatralnego. W książce zamieszczono ponadto projekt edukacji teatralnej, którego istotnym elementem jest przykład realizacji spektaklu z młodzieżą (dodatek – płyta DVD).

Praca adresowana jest do nauczycieli języka polskiego, nauczycieli edukacji teatralnej w szkołach i placówkach pozaszkolnych, instruktorów teatralnych, animatorów kultury, studentów pedagogiki oraz filologii polskiej.

### Ponadto ukazały się:

„Opolskie Studia Administracyjno-Prawne“, X/4/2012, W. Kaczorowski (red. nauk.), ISSN 1731-8297, Opole: Wyd. UO, 2012, format B5, 140 s., oprawa miękka, cena 11,55 zł

## Wiosenne promocje Wydawnictwa UO

8 marca br., z okazji Dnia Kobiet, Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego przygotowało promocję swoich publikacji. Promocja cieszyła się zainteresowaniem wśród pracowników i studentów naszej uczelni oraz bibliotek uniwersyteckich.

23 kwietnia br. w dniu Światowego Dnia Książki zapraszamy wszystkich zainteresowanych na kolejną promocję. W siedzibie Wydawnictwa UO przy ul. Sienkiewicza 33 (oficyna) można będzie kupić książki z 20 proc. rabatem.

Kolejna wiosenna promocja przeznaczona jest dla bibliotek zainteresowanych zakupem naszych publikacji. 8 maja br. z okazji Dnia Bibliotekarza i Bibliotek ceny będą niższe o 20 proc.

Wszystkie informacje o promocjach zamieszczane są na stronie internetowej Uniwersytetu Opol-

skiego: [www.uni.opole.pl](http://www.uni.opole.pl), Wydawnictwa UO: [www.wydawnictwo.uni.opole.pl](http://www.wydawnictwo.uni.opole.pl), w gablotach informacyjnych Wydawnictwa UO przy ul. Oleskiej 48 i Pl. Kopernika 11 (gabłota przy rektoracie).

Przygotowała: **Lidia Działowska**

Pełna oferta Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego znajduje się na stronie internetowej wydawnictwa [www.wydawnictwo.uni.opole.pl](http://www.wydawnictwo.uni.opole.pl) tam też działa księgarnia internetowa



Obraz Krzysztof Buckiego (1967 r.) – własność Jana Goczoła



Fot. Tadeusz Parceł

# *Dola idola*



Fot. Jarosław Mokrzycki



Fot. Jarosław Mokrzycki



Fot. Jarosław Mokrzycki



Fot. Jarosław Mokrzycki